



OSIOŁKIEM

ANDRZEJ STASIUK

Andrzej Stasiuk

Osiółkiem

Projekt okładki Agnieszka Pasierska / Pracownia Papierówka

Projekt typograficzny Robert Oleś / d2d.pl

Fotografia na okładce © by NoorImages / EastNews

Copyright © by Andrzej Stasiuk, 2016

Redakcja Magdalena Budzińska

Korekta Alicja Listwan / d2d.pl, Małgorzata Poździk / d2d.pl

Redakcja techniczna Robert Oleś / d2d.pl

Skład Agnieszka Fryszak / d2d.pl

Skład wersji elektronicznej d2d.pl

ISBN 978-83-8049-395-7

Spis treści

[Strona tytułowa](#)

[Strona redakcyjna](#)

[Motto](#)

[Osiółkiem](#)

[Kolofon](#)

Jechali my na chuj, na chuj na maszynie.

Siergiej Sznurow

Śnieg z deszczem idą od północy. Chwilami robi się całkiem biało. Przyjechałem wieczorem od pana Mirka, a rano odruchowo patrzę pod przód i widzę, że coś nakapało. Prawa strona dyfra usrana, półośka usrana, przegub też. Olej poszedł. Dzwonię i mówię, co jest, a pan Mirek, że stary simering dobrze wyglądał, to go założył. Pytam, czy to półośka nie wyskoczyła, bo jednak po nowych amortyzatorach, sprężynach i oponach w zawieszeniu zaszły spore zmiany. Mówi, że nie, nie powinna, ale pewność w głosie ma trochę niepewną.

No bo zaszły. Sztywne się zrobiło, pięknie trzyma na zakrętach, chociaż buda poszła w górę z siedem centymetrów. Szkoda, że nówki ateki to zasłaniają, bo amory żółte, a sprężyny turkus. W każdym razie pięknie to wszystko wchodzi w zakręty i wychodzi, i trzyma się jak przyklejone. Jak ja w ogóle przejechałem i przeżyłem te wszystkie kilometry na oryginalnym zawiasie, to jest tajemnica. Dwanaście lat i prawie trzysta tysięcy. Byłem po czterdziestce, jak kupowałem. Teraz jestem po pięćdziesiątce i wciąż się jeszcze trzyma. Coś tam się raz i drugi wysypało, jakiś przegub, jakiś krzyżak, ale tak to tylko zmieniałem olej, żarówki i opony. Trzysta tysięcy. Czarnohora, Bałkany, Albania zimą, Albania latem. Po ojczyźnie świątek – piątek, bo kupiłem, jak benza była w miarę tania i dopiero potem do codziennych jazd i dalszych tras trzeba się było przesiąść na szybkiego diesla z umiarkowanym apetytem. No ale zielony osiołek został, bo jak tu się pozbyć wiernego mechanicznego bydłęcia, które nigdy nie zawiodło? Nie można. Więc trochę wczasował, trochę robił w polu, drewno woził: jak się siedzenia złożyło, to i ćwierć metra bukowych metrówek weszło, i się drapał przez najgorsze wertepy: jedynka, reduktor i smyrał z dobrze dociążonym dupskiem pod najwyższą górę, traktorek zielony. No i tak w obrębie gminy, najdalej powiatu się wypuszczaliśmy. Ekonomia wszystko zabije. Ził-130 ze swoim V8 palił minimum czterdzieści litrów na setkę. Minimum. To była fantazja. Pamiętacie ten lwi gulgot sześciolitrowego silnika? No ale koniec końców taka fantazja zabiła też komunizm. Minimum czterdzieści litrów, dwa zbiorniki po sto siedemdziesiąt, razem trzysta czterdzieści. Dzisiaj te cacka z cienkiej blaszki przejechałyby na tym na Gibraltar i z powrotem. Dwa razy do Stambułu i nazad. Ale czy to nie jest droga donikąd? Kiedyś miałem rumuńskie aro z silnikiem od uaza. Rumun to były straszliwe paści, zasadzka i technologiczny pogrom, ale uazowski silnik to był uazowski silnik. Padła pompa paliwowa – proszę bardzo: trzy śruby, chyba trzynastki, śrubokręt, pyk, pyk, pyk, już widać membranę, już zaworki i wszystko jak na dłoni. Z gaźnikiem to samo: śrubokręcik, ostrożnie, żeby tych mosiężnych dupereli nie pogubić, na jakiś paperek czy na coś, przedmuchać, złożyć i wio! Z zapłonem też: śrubka, trochę do przodu albo do tyłu, dokręcić i jazda. Albo od nowa do skutku. Wolność. Zrobisz albo nie zrobisz, ale wolność. A dzisiaj? Podnosisz maskę, patrzysz jak szpak i dzwonisz po lawetę. Albo od razu dzwonisz, bo na co tu patrzeć? Na kawał plastiku, na dekiel z logo światowego koncernu? Tak.

No a w zimę za pogotowie służył. Jak się ktoś gdzieś zakopał, to zawsze było czym wyciągnąć. Przez całe życie ze dwa razy nie zapalił – przy minus trzydziestu. Ale wystarczyło zaczekać, aż słońce się podniesie, i przy minus dwudziestu pięciu nie było kłopotu. Co benzyna, to benzyna. Dzielny jak skuter śnieżny, jak sanie motorowe. Z łańcuchami na tylnych kołach szedł jak poduszkowiec. Jak się wieszał na brzuchu, to trzeba było podkopać, trochę do tyłu, rozpęd, dwadzieścia metrów, łopata, znowu to samo i w półtorej godziny przebijał się przez kilometr metrowych zasp. Osiołek.

Więc po tych wszystkich latach w gminie i powiecie pomyślałem: Pojedziemy sobie. Dlatego pan Mirek założył żółte amory i turkusowe sprężyny. Wymienił rozrząd, filtry, świece, końcówki drążków i co tam jeszcze. Włożyliśmy nowy, ciut większy akumulator. No i ateki. Porządna, gruba kocha z

centymetrowym bieżnikiem. Ze cztery centymetry wyższe niż oryginały. Nieco papuśny przód furki od razu nabrał wyglądu. Agresji nabrał, jak to się współcześnie mówi. Tylko tatuaży mu brakowało. Ale ten usrany olejem przegub... Od razu z rana pojechałem i zostawiłem panu Mirkowi. Pan Mirek jest w porządku, bo dużo mówi o tym, co robi. Dzieli się wiedzą. Jest tak, tak, tak i robimy to, to i to. A nie tajemnicza mina jak u niektórych szamanów układu smarowania. Nie znam się specjalnie na autach, zwłaszcza na tych nowych silnikach, gdzie pod maskę trudno rękę wcisnąć. Nigdy przy nich nie dłużałem, bo albo się po prostu nie psuły, albo zwyczajnie nie potrafiłem. Jestem z epoki uaza i polskiego fiata, z epoki gaźnikowych czterocylindrowców z aparatem zapłonowym.

No i pan Mirek, że to, że tamto, że trzeba tak i owak. Byłem mu wdzięczny, ale zaraz zapominałem. Myślałem po cichu: Na pewno się nie zepsuje. Trzeba w to wierzyć, bo inaczej w ogóle nie pojadę.

Wieczorem zadzwoniłem. To rzeczywiście był simering. Duperel znaczy. Można było nowy, ale stara szkoła kazała oszczędzać. A, jeszcze będzie, jeszcze wytrzyma. Stara szkoła czasów niedoboru. Kiedyś mieliśmy wołgę. Prawdziwą wołgę GAZ-24 w kolorze buraczkowym. Szpachla odłaziła płatami. Wcisnął nam ją znajomy. Za trzyletniego malucha. Byłem idiotą, kompletnie nie znałem się na autach. Miała ze dwadzieścia lat. Ten znajomy jeszcze żyje i wciąż ma dobre samopoczucie. Od błotników odlatywała ta szpachla, od drzwi. Piękne auto. Prowadziło się jak wersalkę. Płynęło. Póki silnik nie zaczął stukać jak najstarszy diesel. Rozebraliśmy z kolegami: poszła panewka na pierwszej korbie. Zawlekleśmy wołgę do warsztatu. To była lodowata buda z cementową podłogą. Zaczynał się grudzień. Na betonie leżały całe stosy korbowodów, tłoków i panewek. Dziesiątki, setki części na kupie. Wszystko używane, rozbiórkowe, szrot sowiecko-polskiego złomu.

– Do Żyda czy dla siebie? – zapytał mechanik. – Bo jak do Żyda, to się da folię aluminiową i dwa tygodnie pojeździ.

– Jaką folię? – zapytałem.

– Zwyczajną, taką od czekolady. Składasz pan parę razy, zawijasz na korbę, dajesz pan panewkę i dwa tygodnie pojeździ. No, może tydzień.

Powiedziałem, że jednak dla siebie, i wtedy popatrzył na mnie jak na idiotę, westchnął i zaczął grzebać w stosie panewek. Mamrotał:

– To żukowskie, to fiat, to chuj wie co, to chyba cyganka, znaczy się dacia, o, jest. Ale chycona.

Przerzuczał dalej brzękliwy złom i czasem zerkał na mnie znad okularów. Nikt już wtedy nie jeździł wołgą. Przecież to żarło minimum piętnaście. Kiedyś na stacji nalali nam bez pytania ropy, bo jak już ktoś coś takiego miał, to wkładał jakiś wysokoprężny ze starego merca. Trzeba było spuszczać. No ale w końcu spośród tysiąca sztuk wybrał „niechyconą”, założyliśmy, korbowod, miska, zalaliśmy olej i odpaliło. Jeszcze ze dwa lata jeździła, nim zaciągnęli ją na sztywnym holu do Drohobycza.

Tak więc tylko simering. Nie chciałem pana Mirka denerwować i już nie pytałem, czy jak ten prawy założył nowy, to i lewy też. Pan Mirek jak ja był dzieckiem czasów niedoboru. Jedna sztuka kosztuje ze czterdzieści złotych. Cieszyłem się, że to już prawie koniec z mechaniką. Jeszcze tylko skrzynia, bo piątka gwizdże jak hamujący tramwaj.

Skończyłem pięćdziesiątkę i postanowiłem, że jadę. Nie było na co czekać. Później nie będzie mi się chciało, pomyślałem. Teraz też mi się właściwie nie chciało. Nie lubię wyjeżdżać. Nie lubię tych wszystkich przygotowań, tej gonitwy, tego uczucia, że się czegoś zapomniało, wypełniania formularzy wizowych, robienia sobie zdjęć, wciskania się w te rubryczki, w których nigdy się nic nie mieści. Nazwisko się nie mieści, adresy się nie mieszczą, wyłazi ci to na bok i od razu czujesz się jak przestępca. W ogóle się czujesz jak przestępca. Jakbyś się chciał zakraść, wjechać na lewo, coś im tam ukraść, wynieść z tych ich krajów, do których nie jeździ nikt poza kierowcami tirów, księżmi i paroma plecakowcami. Czujesz się, jakby ci robili łaskę, że cię w ogóle wpuszczą na te swoje bezludzia

porośnięte krzakami i zasypane piachem. Rosyjska dwukrotna, kazachska dwukrotna. Jakieś vouchery, jakieś ubezpieczenia, jakieś biura z kosmosu, które za ciężką kasę wystawiają ci lipne zaproszenia. Kiedyś próbowałem się w rosyjskim konsulacie dowiedzieć, jak się załatwia wizę. Nie rozumieli po polsku. Po rosyjsku zresztą też nie. Odkładali słuchawkę.

W bramie za konsulem było biuro pośrednictwa. Przy biurku siedział zadowolony z siebie tusty koleś. Zapytałem, czy nie można po prostu. Zrobił minę i powiedział:

– A co my byśmy wtedy robili?

Założę się, że mieli tajne przejście w ścianie, żeby nawet na ulicę nie wychodzić. Ale dziewczyna w konsularnym okienku była ładna, delikatna i miła. Poprosiła, żebym przyszedł za tydzień. I rzeczywiście wiza była. I nawet badań na HIV nie musiałem robić. Bo przy wielokrotnej to już trzeba.

Tak więc nie lubię, bo wydaje mi się, że nie zdążę. Że jak z jednym się wyrobię, to mi zabraknie czasu na następne. Kazachską można było kiedyś załatwić przez biuro. Wysyłało się paszport, kwit, fotę, kasę i za dwa tygodnie paszport przychodził z elegancką wklejką. Ale było, minęło. Teraz trzeba osobiście, żeby cię obejrzel. No to pojechałem. Na siódmą, żeby zająć kolejkę. Lało. Stałem pod daszkiem. Uliczka była cicha, wille, limuzyny. Od razu widać, że krajowi się powodzi. Bo na przykład mongolska ambasada to jest w jakimś bloku na Mokotowie. Byłem tam kiedyś, wjechałem windą, stukam, słysząc jeden zamek, drugi, łańcuch, w końcu drzwi się otwierają, staje w nich niewielki Mongoł, mówię, że chcę wizę, a on mówi: „Nie ma”, i zamyka.

No ale pod kazachską patrzyłem, jak pada deszcz. Razem ze mną patrzyli kierowcy tirów, katoliccy księża i ze dwóch backpackersów. W końcu koło dziewiątej dyplomacja zaczęła się zjeżdżać limuzynami na niebieskich blachach. Ależ wytwornie wyglądali. No, nienagannie. Ani jednej zmarszczki na garniturach. Czerń i biel. Kierowcy truchtali obok z parasolami. Tamci pozdrawiali zmoknięty lud dyskretnymi skinieniami głowy. Furtka zaraz się zatrząskiwiała. Zawsze mnie zastanawiała ta miłość dalekich narodów do europejskich strojów. Jakimś kolonializmem to pachniało. Jakby nie mieli swoich albo się ich wstydzili. Oni się u nas przebierają, a my, jak do nich jedziemy, to nie. Wprawdzie u siebie też chodzą po naszymu, ale jakiś dysonans jednak pozostaje. Tylko baron Roman von Ungern-Sternberg paradował w żółtym mongolskim delu, który jednakowoż był „brudny i podarty”.

Zaczęli wpuszczać trójkami. Trochę jakby do piwnicy. Nerwowo przyglądałem się swoim kwitom. Ledwo można było rozczytać. Dawno straciłem zdolność wyraźnego pisania, a jak już wypełniałem coś urzędowego, nawet w domu, to mi elektrokardiogram wychodził. Podeszedłem do okienka. Ładna ciemnowłosa dziewczyna przebiegła wzrokiem gryzmoły, potem spojrzała na mnie i powiedziała z lekkim akcentem:

– Bardzo lubię pana książki. Ale proszę jeszcze wpisać trasę, którą zamierza się pan poruszać.

Więc nie lubię. Co zabrać, co zostawić, co się schrzani po drodze, a co wytrzyma? Wziąć dwa zapasy czy jeden wystarczy? Ile kanistrów? Plastik czy blaszane? Co na wodę? Bańki? Worki? Lifta brać czy nie brać? Przecież to waży ze dwadzieścia kilo. Liny, szkle, karabinki. Sznurki do wulkanizacji. Kompresor. Śrubek nakupiłem, opasek. Węże gumowe, kawałek twardego plastikowego, żeby sztukować, jak pęknie któryś od chłodnicy. Wkładałem do skrzynki i wyjmowałem. Wkładałem i wyjmowałem. Przecież osiołek to nie land cruiser. Rozkładałem na płaskim i robiłem selekcję. Poobijaną trumnę wrzuciłem na dach. Na śpiwory, ubrania, na lekciznę. Po namiot specjalnie pojechałem. Taką patelnię, co się sama rozkłada, żeby się wieczorami nie męczyć, gdy noc idzie, a człowiek po całym dniu jazdy na oczy nie widzi. I ciągle mi wychodziło, że czegoś brakuje. Albo że na chuj tyle rzeczy? A jeszcze garnek, czajnik, kuchenka, jakieś łyżki by się przydały, jakieś kubki, tabasco, bo cholera wie, czy tam w ogóle coś kupisz do smaku. I się kolejna skrzynka zrobiła. Tygodniami to trwało. Dokupowanie, dokładanie, odejmowanie. Paski klinowe, uszczelniacz do chłodnicy, płyn z uszczelniaczem do wspomaganie, bańka oleju do silnika,

świecie... Bo jak na pustynię, to przecież nie ma przebaczenia i znikąd ratunku nie będzie.

Męka. Jeszcze to, jeszcze tamto. Lekarstwa na sraczkę, na chorobę wysokościową, przeciwbólowe. Mapy. Dobrze, że net jest, to można wyklikać. Te mapy na przykład. Najlepsze są niemieckie z plastiku. Różnie z dokładnością, ale się nie drą i jak pada, to można z nich sobie zrobić pelerynkę. Pachną przyjemnie, trochę słodkawo. Jak się całkiem zestarzeję, to będą mi musiały wystarczyć. Włożę sobie jakieś plus pięć, wezmę lupę i w drogę. Przez te wszystkie kraje, w których byłem, które znienawidziłem, ale zaraz po powrocie zaczynałem do nich tęsknić. Na stole, pod lampą. Gdy już będę zbyt ślepy, żeby prowadzić auto. Gdy będę zbyt słaby. Wzdłuż tych wszystkich dróg, nad którymi unosił się piasek, a wokół ciągnęła się nicość. Wzdłuż wyschniętych rzek, z których w środku lata pozostały tylko nazwy. Będę siedział i patrzył, przecierając od czasu do czasu te plus pięć dioptrii. I szukał tych wszystkich miejsc, gdzie stawałem na noc. A jeśli ich nie znajdę, to mam nadzieję, że pamięć opuści mnie ostatnia i będę mógł do nich wracać w godzinę śmierci, amen.

Bo to się tak skończy, jak się zaczęło. Na mapach się skończy i na nazwach. Na przestrzeni, której ktoś nadał imię. Pierwsze lekcje geografii były chyba w piątej klasie. Zobaczyłem wtedy mapę ścienną półtora na półtora albo i większą. Podklejoną szarym płótnem. Wieszano się ją na specjalnym stojaku. Na dole była pomarańczowo-żółta, potem zielona i na górze błękit. Rzeki były chyba granatowe. Jeziora o ton ciemniejsze niż morze. Nauczycielka coś mówiła, ale zupełnie mnie to nie interesowało. Zwyczajnie nie słyszałem, wpatrzony w płaski kwadrat, który był obrazem kraju i ziemi. Marzyłem i wyobrażałem sobie. Co? Prawdopodobnie to, że unoszę się jak duch nad wodami i ładami. Że to wszystko jest moje i że mogę tego dotknąć, że mogę na to patrzeć, nigdy nie zaznajac nasycenia. Mapę nawijało się na dwa drewniane drążki. Coś jak Torę. Nauczycielka stuknęła w powierzchnię drewnianą wskazówką i mówiła. Mówiła i mówiła. Nic mnie to nie obchodziło. Tak jest do dzisiaj. Nie obchodzi mnie, dokąd jadę. Obchodzi mnie tylko to, co widzę. Nic więcej. Kurz, światło, kształty, cień. Obchodzi mnie, jak się ściemnia i gaśnie dzień. Jak to wszystko zamiera i zamienia się w czerń, w nicość. Najlepiej widać na ekranie mojego olympusa: obraz kruszy się, ziarnieje, pikseluje, rozpada, aż całkiem zniknie. Elektronika nie jest taka głupia. No więc zaczęło się i skończy na ślepieniu w mapy. Na tym ludzkim zamiarze ocalenia świata przed erozją. Tak.

*

Pierwszym autem, do którego wsiadłem, była warszawa M-20. Ta garbata. Sąsiad miał i kiedyś mnie przewiózł. Kilometr albo dwa. To trochę dziwne, ale wtedy nie każdy miał auto. To znaczy prawie nikt nie miał. Powiedzmy w sześćdziesiątym siódmym albo ósmym. Siedziałem z tyłu jak na tapczanie. Patrzyłem na okrągłą tarczę szybkościomierza. Strzałka zbliżała się do osiemdziesięciu. Potem w nocy nie mogłem spać. Dwa litry pojemności, pięćdziesiąt koni i co najmniej czternaście litrów na sto. Silnik zerżnięty z dodge'a D5, tyle że zamiast sześciu cylindrów były cztery. I Bóg wie ile do setki. Ale i tak czułem się jak na latającym dywanie. I ten zapach: delikatna woń benzyny, spalin, gumy i plastiku. Chyba z pięć minut to trwało. Mgienie i zarazem wieczność. Wracałem na piechotę. No i nie mogłem potem zasnąć. O co chodziło? Że się świat jakby rozstępuje i wpuszcza do środka? Że tak na przestrzał przestrzeni? Albo że cud maszyny, która jest prawie jak żywa? Że się wyświetla na szybach film? Kto to może wiedzieć... A wszystko dzięki prawie półtonowej blaszanej obłej budzie z tapczaniem i pięćdziesięciokonnemu dolnozaworowemu silnikowi.

Pojechałem do takiego jednego i obstałowałem aluminiowy bagażnik na dach, żeby się trzy kanistry dwudziestki akurat mieściły. Narysowałem nawet, jak ma wyglądać. Dałem mu kartkę. Jak na kowala-

Ślusarza miał straszny porządek. Wszystko poukładane, żadnych kłopotów na podwórku, żadnego złomu. To powinno mi dać do myślenia, ale się spieszyłem i w ogóle szczęście, mówiłem sobie, że chce robić. Tak że tylko popatrzyłem na ten ordnung i pomyślałem, że czasy się zmieniają i nawet kowale mają blachy i pręty poskładane według asortymentów, wszędzie pozamiatane, a pod płotem tak zwane igłaki poprzycinane w jakąś geometrię. Bo kiedyś do warstata – tak, do „warstata” – to się wchodziło jak do jakiejś jaskini, do groty tajemniczej. Półciemno było, śmierdziało spawaniem i trzeba było patrzeć pod nogi, żeby ran nie odnieść. Zejście do podziemi, do pomieszczenia diabła trochę. W końcu Tubalkain, „który młotem pracował i kował wszelkie roboty z miedzi i żelaza”, był potomkiem Kaina. Lubiłem czerwien rozgrzanego metalu w półmroku. Lubiłem patrzeć, jak pracuje kowal Kruk jeszcze za czasów pegeeru. Mieliśmy wtedy gazika, znaczy się gaza-69. Załadowałem kiedyś na pakę z kubik buka, jakąś tonę mniej więcej. Poszedł resor z tyłu. Ucho pękło. Wynałazłem gdzieś dłuższe pióro, nie wiadomo od czego, ale ucho w nim było nie okrągłe, tylko kwadratowe, i pojechałem do kowala Kruka. Popatrzył, zmrużył jedno oko i powiedział: „Będzie”. Trzeba było tylko ten kwadrat wyprostować, trochę przyciąć i potem zagiąć na okrągło, żeby przypasowało na sworzeń. Włączył dmuchawę, sypanął koksu na żar i się zaczęło: poczerwieniało, spomarańczowiało i na koniec zazłociło. Położył na kowadło i nawet niespecjalnie mocno stukał kilowym, może mniejszym młotkiem. Gięło się, poddawało, prostowało, jakby te wszystkie kryształki rzeczywiście zmieniły się w półpłynną, subtelną materię. Leciały iskry. Kowal Kruk miał czarne włosy, siwiejący wąs i smagłą od tellurycznego ognia twarz. Pięknie wyglądał w czerwonym poblasku. Nieporuszony, na rozstawionych nogach, mocarny, i tylko ramię rytmicznie opadało i nadawało metalowi nowy kształt. Kowadło stało na dębowym pniaku. Betonowa podłoga drżała jak od podziemnych wstrząsów.

Przyjechałem po tygodniu. Zamiast bagażnika z kartki stało pudło z dwumilimetrowej aluminiowej podestówki. Kartka zginęła. Zakładaliśmy to na dach, a facet opowiadał jakieś ginekologiczne dowcipy. Nie chciało mi się nic mówić. Chciało mi się jak najszybciej odjechać. Ale trzy plastikowe dwudziestki mieściły się na płask jak ulał. Musiałem tylko okleić skrzynkę z przodu i z tyłu szarą taśmą, bo odbijała słońce jak lustro.

No dobra, to są tylko rzeczy. Ale co z myślami? Co z tym wirem w głowie? Co z tymi tysiącami metrów taśmy, która przewija się i wyświetla obrazy przyszłości? Nasączone słodkim lękiem niewiadomego. Leży się i ni to marzy, ni śni pyliste drogi znikające na horyzoncie. Królestwa, które powstały i upadły. Ludy przybyłe z otchłani ziem i wieków. Wieże z kamienia. Czerwone słońce przesłonięte pustynnym pyłem. Szkielety zwierząt, które wolno i nieubłagane powracają do krainy minerałów. Długie cienie jeźdźców. Nazwy sprzed wieków: Mawarannahr, Mogolistan, Merkici. Groby z gliny. Gorące powietrze, które załamuje kształty rzeczy i produkuje złudę. Skorpiony i węże niczym stworzenia z innej ery. Ziemia powleczona białą, gorzką solą.

Albo że chłodnica poszła. Że wydmuchało uszczelkę spod głowicy. Że się na tablicy zapaliło jedno albo drugie czerwone, że nie ładuje, że za gorąco, że nie smaruje. Albo że skręcasz, a w jednym albo drugim przegubie klekot i rzegot. Albo i bez skręcania. Najpewniej w prawym. No, ile tych wszystkich kłopotów trzeba by zabrać na zapas? Przyczepę chyba. To są te wizje na jawie i we śnie. Linę porządną wziąć, żeby mieli cię na czym ciągnąć. Albo i dwie, bo lina nic nie waży i zawsze można gdzieś upchnąć. Parę karabinków, szekłę jedną, drugą. O wyciągarce myślałem, ale puknąłem się w głowę. Czy ja na wojnę z przyrodą jadę? Ja jestem spokojny człowiek i lubię patrzeć, a nie się gdzieś przedzierać, ryc po wądołach, topić po bagnach, a potem wrzucać na fejsa foty z niezapomnianej męskiej przygody w czasie urlopu. Po twardym głównie będę jechał. Czasem gdzieś w bok, żeby namiot rozbić. Na wzgórze, żeby w dal popatrzeć. W zasadzie i osobówką by się pewnie dało, tylko strach, że nie przetrzyma. No i szacunek na drodze mniejszy.

Z. spotkałem na ulicy. Słabo się znamy. Czasami wpadamy na siebie i opowiadamy, gdzie kto był. Bo on też lubi się przejechać tu i ówdzie. Ale raczej na rowerze. Chyba nawet po Ameryce jeździł. Zapytał, czy gdzieś byłem ostatnio albo czy się wybieram. Powiedziałem, że mam zamiar. Na to on, że może pojechać jako zmiennik. Na to ja, że czemu nie. I zaraz pomyślałem: Co ja robię? Przecież go prawie nie znam. Tydzień razem w aucie? W obcych krajach?

– Mówisz po rosyjsku? – zapytałem.

Powiedział, że mówi całkiem dobrze. OK, pomyślałem, wyluzuj, poznawaj nowych ludzi. Kiedyś poznawałeś codziennie parę osób. Nie możesz być takim wybrednym cykorem. Powiedziałem mu, jaki jest plan, jakie wizy, i się pożegnałem, żeby trochę pomyśleć. Miałem zrobić piętnaście tysięcy po pustyniach i pustkowiach, a tu się jednego faceta wystraszyłem. Że będzie gadał całą drogę. Albo że będzie jechał jak jakiś emeryt. Starzałem się. Dobrze, pomyślałem, to tylko pięć tysięcy, a potem se poleci jakimiś ruskimi liniami z powrotem. Siedziałem półtora roku w więzieniu z bandytami i złodziejami, wytrzymam tydzień w aucie.

Potem był lublin-51 wuja. Jak zielona zabawka. Zabierał ledwo dwie i pół tony. W połowie z drewna, paka z desek, buda ze sklejki. Klamki z szarosrebrnego stopu przypominały te do zwykłych drzwi. W środku brązowa amerykańka z twardego skaju. Zielona blaszana deska rozdzielcza z okrągłymi zegarami. Nawet nie były podświetlane, tylko wystawała taka metalowa lampka i świeciła na całość. Kierownica z czarnego bakelitu musiała mieć odpowiedni rozmiar, bo przecież nie było wspomagania. Wuj rozwoził zaopatrzenie do sklepów. Jesienią jechaliśmy na wieś do dziadków po jabłka.

Ładowało się druciane kosze pełne malinówek i koszteli. Dzień był krótki i jechało się po zmierzchu. Przysypiałem. W półśnie widziałem czerwone światła aut, które nas wyprzedzały. Jechaliśmy nie więcej niż sześćdziesiąt. Padał deszcz i czerwien smużyła się na asfalcie i w powietrzu. Kiedyś zatrzymała nas milicja. Słyszałem tylko urywane słowa. W kabinie było ciasno. Ojciec siedział z prawej, a ja w środku. Czułem, jak o kolano ociera mi się dźwignia biegów. Skrzynia była niesynchronizowana i trzeba było wysprzęglać na dwa. Silnik ten sam co w warszawie, tyle że dołożyli mu dwa odjęte wcześniej cylindry. Więc rzędowa szóstka i siedemdziesiąt koni. Pachniało benzyną i jabłkami. Jechało się trzy godziny w jedną stronę. Wtedy wszystkie auta pachniały benzyną. Wokół rozpościerała się noc, a ja byłem bezpieczny w ciemności, w zapachu owoców, etyliny, otulony miękkim, niskim dudnieniem silnika. Chciałem, by to się nigdy nie skończyło, chciałem, by trwało wiecznie. Cyferblat ojcowskiego zegarka fosforyzował zielonkawo.

Tylko ta piątka jeszcze została. Pan Tadeusz, drugi mechanik, u którego wcześniej też dużo robiłem, powiedział, że najlepiej znaleźć jakąś używkę w necie. Pewnie miał rację, ale mnie to przerosło. W ogóle kupowanie w necie mnie przerasta, bo to jest jak handel obietnicami, gadką i obrazkami. Kupowanie to jednak powinno być takie, że się ogląda, maca, skrobie, zagląda i potem daje kasę i bierze towar. Albo i nie. Coś za coś. A nie, że płacisz i przychodzi jakiś paździerz. Albo że wywalasz hajs na jakieś wyobrażenie, co sobie marzycielsko przedsięwzięłeś na podstawie cwanej nawijki i paru fotek. Że niby prawie za darmo dają ci ósmy cud świata. Tak już pewnie będzie, ale mnie to przerasta i unikam jak ognia. Więc podjechałem do pana Mariusza i powiedziałem:

– Gwiżdże.

Wsiadł, przejechaliśmy pięćset metrów i powiedział:

– Gwiżdże, ale się robi. Łożysko. Wyjmie się, rozbierze i robi.

Znaczy się: po staremu. Przecież nie można wszystkiego, kurwa, od razu wyrzucać. Już i tak nie ma gdzie. Biedacy jeszcze biorą i dłubią w struclach. Merce becзки dożywają wieczności na stepach i pustyniach. Golfy dwójki jako transport dyskotekowy na zadupiach też są nieśmiertelne. Przynajmniej dopóki nie zaliczą przydrożnej wierzby o piątej nad ranem. Na przedmieściach Durrës widziałem całe

hektary szrotów. Albańczycy uwijali się gumówkami i wycinali, co tam jeszcze zdrowe było, z nadgniętego cielska niemieckiej motoryzacji. Sprowadzali bzdury morzem i automobilizowali kraj. Ale to się skończy. Nie będzie czego wycinać. Wszystko po trzech albo pięciu latach rozdupczy się zgodnie z instrukcją. Jak Dodge Monaco w finale Blues Brothers. Żaden biedny się nie pożywi.

Potrzebowałem pociechy przed drogą, więc pojechałem do chłopaków z 4x4. Mieli garaż za komendą policji. Na betonowym placu stały wybebeszone dyskoteki i cruisery. Magazyn części zapasowych. Żeby trzy jeździły, trzeba mieć ze cztery inne. Wieczna transplantacja. A w środku jeszcze fotele, bagażniki dachowe, półośki, amory, sprężyny, tarcze i co tam się da, bo sam garaż był dość mały: mieściło się w nim właściwie tylko jedno auto, warsztat i skład co cenniejszych rzeczy. Pojechałem do nich po pociechę, bo zawodowo jeździli w dalekie strony, wożąc głodną wrażeń klasę średnią na urlopach. Zwłaszcza Mariusz woził. Kiedyś trochę narzekał, że klasa średnia jest upierdliwa i potrafi oczekiwać gorącej kąpieli w środku pustyni, ale potem powiedział:

– Kurczę, co ja gadam. Przecież do końca życia mógłbym zasuwać w fabryce.

Wtedy pomyślałem: Jezu, ja przecież też. Mógłbym siedzieć w FSO na jakiejś zgrzewalni, spawalni albo mechanicznym, najpierw jako chłopak, potem jako facet, a w końcu, po czterdziestce patrzeć, jak przychodzą Koreańczycy i wprowadzają swój azjatokapitalizm w miejscu, które mój proletariacki ojciec budował. Tak mogło być. A potem patrzyłbym na powolny upadek warszawskiego giganta, który zmotoryzował mój kraj.

– Jeśli byłaby jeszcze jakaś fabryka – odpowiedziałem.

Podwoziłem go, bo swojego kolejnego landka albo dyskotekę odstawił do mechanika. Znowu miał gdzie wieść klasę średnią, do Czarnogóry, Macedonii albo w Czarnohorę. Ale do Mongolii też jeździł. Więc chociaż mógłby być moim synem, czułem się przy nim jak młodszy brat, bo najdalej zielonym osiołkiem dojechałem do Albanii w Góry Przekłete, czyli Bjeshkët e Nemuna. A on do Mongolii tam i z powrotem przez Rosję i tylko raz zatrzymała go ruska psiarnia. W każdym razie tak twierdził.

Tak więc potrzebowałem rad, wsparcia i pociechy. Że nic mi się nie zepsuje, że niczego nie zapomnę, że jakoś to będzie, że na ogół jak się wyjeżdża, to się jednak wraca. To w końcu Mariusz kazał mi założyć ten turkusowo-żółty zawias i nawet sprowadził. I ateki też.

Rany, cztery tysiące sto czterdzieści słów, prawie dwadzieścia siedem tysięcy znaków ze spacjami, a ja ciągle w domu. Snuję się po powiecie, zamiast zdobywać Azję. Wspominam, zamiast bohatercko patrzeć w dal. Wszystko pewnie ze strachu. Boję się przecież Rosji i boję się reszty. Nie jestem taki odważny jak ci kolesie z wodolotu parę lat temu na Bajkale. Ze czterech ich było. Mieli na sobie biało-czerwone dresy z wielkimi orłami i darli się na cały statek:

– Tylko ich nie prowokujmy, tylko nie prowokujmy!

To było akurat wtedy, gdy nasz prezydent leciał do Gruzji.

No więc pojedę na szarozielono. Ja jestem tchórz.

Jeszcze tylko ta piątka, dwumilimetrowa blacha na spód pod aluminiowy dyfer i miskę i już pojedę. Tak sobie obiecuję.

A pierwszy raz samodzielnie pojechałem właśnie lublinem. Stał na wsi przy płocie zagrody wuja. Chyba była niedziela. Wszyscy dokądś poszli. Pamiętam tę ciszę. Ciszę niedzieli. Może pies gdzieś czekał i to wszystko. Podszedłem na palcach. Rozejrzałem się raz i drugi i sięgnąłem do klamki. Ledwo dostałem. Drzwi ustąpiły. Wspiąłem się do kabiny. Brązowy plastik siedzeń był twardy, trójramienna kierownica wielka jak koło od składaka, prawie nic nie widziałem przez szybę. Ciężarówka miała oddzielnie zapłon i starter. Zapłon był na kluczyk, a starter na pstryczek zakończony ebonitową kuleczką. Chyba tak. Pstryknąłem. Auto stało na biegu, bez ręcznego. Ruszyło i przetoczyło się parę centymetrów. Wystraszyłem się i cofnąłem przełącznik. Stanęło. Ale nie mogłem wytrzymać i spróbowałem jeszcze i

jeszcze. Trzy, cztery metry jazdy mogło się uzbierać, zanim padł akumulator. Nigdy już tego nie zapomniałem.

*

W końcu pojechałem. Przymocowałem jeszcze dodatkowo tablice blachowkrętami i pojechałem. Była siódma rano, czerwcowy poranek, słońce, Z. już czekał. Miał niewielką torbę. Spojrzał przelotnie na objuczonego zielonego osiołka, powiedział: „No dobrze” i wsiadł. Przez Słowację pojechaliśmy. Serpentykami na Magurę, potem w dół i prosto jak strzelił do granicy. Sto razy wyjeżdżałem tą drogą z kraju. Do Siedmiogrodu, na Istrię, na Bałkany, do Stambułu, ale jeszcze nigdy tak daleko. W Zborovie w lewo, obok opuszczonego kościoła. Powtórzenia. Życie. Jakbyś co dzień do korpo wychodził, stał w korku albo kartę do czytnika w metrze przykładał. Może. Spróbujcie inaczej. Pola się zaczęły. Słowackie monokultury bez jednego drzewa. Na Ublę pojechaliśmy, na przejście. U Topola kiedyś wyczytałem w Siostrze o tej Ubli, że tam jest jakieś barokowe przedpiekle pogranicza, że namioty, stragany, walki psów, trujący koktajl Wschodu i Zachodu, fałszywe mirra, kadzidło i złoto, kontrabanda i cygańskie tancerki. Dziesięć lat temu pojechałem z pielgrzymką, żeby to wszystko zobaczyć. Nic tam nie było. Schludne domki po obu stronach szosy. Taka Austria drugiego gatunku. Na końcu w krzakach stało kilkanaście samochodów i czekało na odprawę. Napisałem do Jáchyma: „Co jest? Jakie pandemonium?”. Odpowiedział: „A wiesz, ja tam nigdy nie byłem. Spojrzałem na starą mapę Czechosłowacji i znalazłem jakąś dziurę najbardziej na wschód, żeby egzotycznie wyszło...”.

No ale dzięki temu znalazłem przejście na Ukrainę, gdzie się prawie nie stoi. I teraz tam jechaliśmy. Rusińskie cerkwie się zaczęły, nazwy po słowacku i rusińsku, skręt do Mikovej Warhola. Medzilaborce z Warholowym muzeum i romską dziatwą na placyku obok wielkich puszek z zupą Campbella i potem dalej. Na przejściu poszło w pięć minut. Słowacki strażnik coś tam opowiadał o banderowcach, bo mieszkał w słowackiej części Bieszczadów i miał swoje lata, więc dobrze pamiętał radzieckie czasy. Banderówka po ukraińskiej stronie była ładna i pięknie się uśmiechała. Pistolet przyjemnie się jej układał na biodrze. Tak więc pięć minut i byliśmy w Bereźnem, byliśmy w kraju wojennym. Zresztą od lat tak wyglądał. Jakby ulicami najcięższe czołgi przejechały. Dziury, w dziurach woda. U nas już wszystko jako tako połatali, pomalowali, roślinność zasadzili i przystrzygli, trzodę wypędzili, kosiarek nakupili i teraz se siedzą w cieniu na plastikowych krzesłach. A tutaj tylko sklepy z wódką pobudowali dla spragnionych taniocy słowackich Europejczyków. Reszta stoi i niszczeje wytrwale. Cement się kruszy, blacha rdzewieje, konie się pasą w środku miasta. Nie ma szczęścia ten kraj. Nigdy nie miał. Nie miał szczęścia do siebie ani do innych. Nie to co my.

Jechałem przez te dziury i czułem, jak osiołek się męczy. Nie było dla niego gorszej rzeczy niż wyrwy w asfalcie. Niecałe dwa i pół metra rozstawu osi, sztywny most z tyłu. Już wiedziałem, jak będzie wyglądała ta podróż. Oberwę sobie flaki. Kręgosłup mi się rozleci. Może dobrze, że zabrałem pas ortopedyczny.

Taki sam miał pan Gamba, który wiózł nas przez Gobi swoim uazem blaszanką. Blaszanka bez przerwy się psuła. Rozbieraliśmy gaźnik, przedmuchiwalismy i znowu składaliśmy. Tak się robi z uazowskim silnikiem. Tak sam robiłem, gdy miałem tamto rumuńskie aro z ruskim benzyniakiem. Prawie zawsze się udawało. Rozkładasz, przedmuchiujesz dysze, składasz i zazwyczaj odzyskuje moc. No więc rozbieraliśmy z panem Gambą i wydmuchiwalismy pustynny pył. Płukaliśmy benzyną. Odkręciliśmy komorę pływakową i odginalismy albo przyginalismy złocistą blaszkę od zaworu iglicowego. Rozbieraliśmy pompę i sprawdzaliśmy tekstolitowe zaworki. W środku piachu po horyzont. W trzydziestu

pięciu stopniach. Ale mieliśmy ze sobą z sześćdziesiąt litrów wody, więc nie było strachu. Kiedyś złamało się druciane cięgło od gazu. Zrobiliśmy bez spawarki. Za pomocą rurki, ułamanego wiertła dwójki, wiertarki-

-korby i dwu śrubek z nakrętkami. Pan Gamba miał ze sobą z pięćdziesiąt kilo żelastwa w dwu skrzynkach. O. jechał z przodu i pytał, dlaczego w blaszance nie ma pasów bezpieczeństwa. Pytał, dlaczego czuć benzynę. O. był z Niemiec.

Tak więc wiozłem ten pas na wszelki wypadek, gdybym miał konać z bólu na jakiejś pustyni. Pan Gamba zakładał go o świcie i zdejmował przed snem. Podziwiałem go. Może właśnie z podziwu zabrałem tę ortopedię. Chciałem choć trochę być jak on, chociaż miałem wtrysk bezpośredni i klimatyzację, a w jego aucie nie dało się nawet otworzyć okna. Można było najwyżej odkręcić całą ramę z szybą, ale wtedy zdychało się od kurzu.

Tak, parę ukraińskich dziur, a ja już myślałem o swoim kręgosłupie. Pewnie po to, by za bardzo nie myśleć o wojnie. Na początku chciałem pojechać przez wschodnią Ukrainę, przez Zaporozże i Donieck, i wjechać do Rosji gdzieś na wysokości Rostowa nad Donem. A dalej przez Elistę i Kałmucję, żeby zobaczyć suhaki, wielbłądy, pustynię i europejskich buddystów. Zobaczyć mongolski lud, który rozłożył swoje jurty na skraju naszego kontynentu. A wcześniej może Hulajpole, ziemię Nestora Machny, miejsce narodzin stepowej utopii. Tak to działa: wyobrażasz sobie różne rzeczy i wydaje ci się, że w końcu trafisz chociaż na ich ślady. Zmieniasz zawieszenie, bierzesz kanistry, worki na wodę, a potem i tak tułasz się gdzieś we wnętrzu własnej głowy. Równie dobrze można było zostać w domu. Ale takie czasy, że wszyscy jeżdżą. W celu poznawania świata oraz uzyskania wiedzy. Prawdopodobnie bardzo przydatnej. Ja nie miałem złudzeń. Jechałem, żeby sobie pojeździć. Żeby sobie różne rzeczy powyobrażać przez te wszystkie długie, nudne dni, gdy się będę tłukł pustawymi, dziurawymi drogami, wajchując nieustannie bez specjalnej nadziei na więcej niż siedemdziesiąt, osiemdziesiąt na godzinę. Żeby sprawdzić, jakie myśli przychodzą, gdy nic się nie dzieje. Z. też chyba nie miał ochoty na naukę, bo się nie domagał, żebyśmy coś zwiedzali albo oglądali. Niewymagający był. Dla zabicia czasu dopasowywał swoje długie ciało do wnętrza i fotela.

Pojechaliśmy na północny wschód. Oczywiście prościej i szybciej byłoby przez Użhorod, ale chciałem przez góry. Pamiętałem tę drogę sprzed lat. Za Wołosianką skręcało się w prawo, asfalt przechodził w szutrówkę i po lewej w dole było widać bojkowskie chyże, splechety, płotki, wygony, jednym słowem starowiecze i żadnych maszyn na polach. Jak u dziadków na wakacjach. Tak sobie Polacy Ukrainę wyobrażają. Że jakaś taka dziecinna. A z drugiej strony banderowska. Dziwnie. Jak jakieś krwawe dziecko albo odłączona młodsza siostra. Trochę zdradziecka, trochę porwana. Nie miałem zdania. Zawsze tu wjeżdżałem jak do obcego kraju. To znaczy obcego, ale bliskiego. Bandera nikogo mi nie zabił. Sowietnicy niczego mi nie odebrali. W połowie lat dziewięćdziesiątych we Lwowie, wprawdzie na bańce, płakałem na widok ukraińskiej flagi na ratuszu i wcale się tego nie wstydę. Jak wjeżdżałem, to nie przychodziło mi do głowy, że do jakiejś dawnej Polski wjeżdżam. To znaczy wiedziałem, że Polska tu była, ale mnie to jakoś nie jarało. Nawet podobały mi się te zrujnowane pałace, klasztory i reszta. Taki mam gust. Tak samo podoba mi się tak zwane poniemieckie na Śląsku.

Całe godziny straciliśmy przez moją miłość do żółtych dróg, z których niby lepiej widać świat. No ale trzeba się skupić na tym, żeby koła nie urwać. W dziurach połyskiwała czarna woda. Kto mógł zgadnąć, co jest na dnie. Chaty stały w sadach. Po wiejsku niebieskawe. Kwiaty, kury, rowery, staruszki na ławkach. Senność i sielskość. Mało co jechało. Czasem jakaś łada 2101 rwała przez asfaltowe wykroty i zostawiała nas w tyle. Ciągnął się za nią brzęk. Prawie pięć milionów tego wyprodukowali. Jeździło stąd po Kamczatkę. Nigdy w żadnej nie siedziałem. Trochę się tym gardziło. Po wsiach to gdzieś mieli przy ruskiej granicy. No a teraz będę oglądał brzęczące kanciaki przez całe miesiące. Ale bezlitosne były dla

wschodniogalicyskich dziur. Jakby nic nie czuły. Ta sunęła niczym poduszkowiec. Tylko metaliczny klekot zdradzał, że ma kontakt z podłożem. Zazdrościłem im. Też bym tak chciał. Ale zaraz gdzieś skręcili, zaparkowali w cieniu grusz i jabłoni, a ja miałem przed sobą tysiące kilometrów.

Po południu stanęliśmy w Złoczowie, żeby wziąć z bankomatu trochę hrywien. Byłem tutaj przed kilku laty. W letni weekend. Spałem w hotelu gdzieś niedaleko ulicy Stepana Bandery. Przez zamek Sobieskiego przelewał się turystyczny tłum. Fotki, klapki, dziatwa, kanikuła. Dreptali po dziedzińcu. Po mogile znaczy. Latem czterdziestego pierwszego, gdy szli Niemcy, NKWD zlikwidowało swoich więźniów, których trzymało na zamku. Wykopali długi płytki dół i zastrzelili sześciuset, może siedmiuset. Gdy parę dni później Niemcy już przyszli, Ukraińcy z OUN razem ze zwykłymi obywatelami i SS wymordowali złoczowskich Żydów. Część w tym samym miejscu, bo Żydzi mieli najpierw wydobyć z dołu zastrzelonych przez NKWD. Żeby zrobić miejsce dla siebie. Teraz były tu alejki, latarenki, klombiki, przystrzyżone krzaczki. I weekendowicze po tym dreptali z aparatami. Głównie ukraińscy i trochę polskich. Bardzo elegancki i niewinny był ten Złoczów. Gdzieś na murze z boku znalazłem dyskretną tablicę: że SS.

Ale sam chciałem. Mogłem sobie pojechać do Belgii na małże. Albo do Szwajcarii po zegarek. Skoro pojechałem na Wschód, nie mogłem się migać. Wziąłem pięćset hrywien. Na żadnym banknocie nie było jeszcze Bandery. Z chłopackich bryk nawalało disco. Pojechaliśmy na Tarnopol. Przez półsenny, niewinny kraj. No ale co mają zrobić te wszystkie kraje, które na banknotach drukują wizerunki poetów układających wiersze w nikomu nieznanym językach? Co mają zrobić kraje, których bohaterowie wstawili się jedynie klęskami? Zapadał błękitny zmierzch. Opadał na ogrody i sady, na babcine chaty ze złotawymi światełkami w oknach. Zapadał na to wszystko i otulał spokojnym snem. Z. powiedział, że prześpimy się w Kijowie u jego dawnej znajomej. Dojechaliśmy koło północy. Ruch był jak o czwartej po południu. Trochę się błakaliśmy wśród dziesięciopiętrowych blokowisk. Pytaliśmy po rosyjsku i po rosyjsku nam odpowiadali. W końcu znaleźliśmy zaułek parterowych domków wciśnięty między betonowe spalnie.

No więc pewnie po pięćdziesiątce przyszła mi do głowy cała ta jazda. Z wiekiem. Przed rokiem. Gdy wydrapaliśmy się hondą stepwagon na trzy tysiące metrów i zaczęły się zaspły. Był początek lipca. Jurty wyglądały jak kretowiska pod śniegiem. Już w dole trochę prószyło i kierowca zatrzymał się przy swojej chacie na przedmieściach Naryna, żeby zabrać łańcuchy. Ale jakoś szło bez zakładania. Może to była wersja 4×4? Nie pamiętam. Dzielną białą vanik. Ślizgał się, kręcił kanciastym kuprem, ale szedł. Śnieg był świeży i mokry. Pod spodem płynęła żółtawa woda. Osły i owce stały bezradnie w bieli. Kilku facetów próbowało wypchnąć zakopaną ładę. Więc niewykluczone, że tam przyszło mi do głowy, żeby zrobić to samemu. Pojechać najdalej, jak tylko się da, i wrócić. Niespecjalnie się przejmując, dokąd właściwie się jedzie. Gdzieś do Azji. Że już nie można dalej, bo Chiny na przykład, a tam się własną furą nie wjedzie i bez chińskiego prawa jazdy. Tak to miałem wymyślone. Żeby się kawał świata przesunął za oknem. Żeby obce powietrze wpadało przez opuszczoną szybę. Żeby nieznaną kurz się zbierał. Żeby nie było wiadomo, jak to się skończy. Żeby było jak kiedyś, gdy wsiadało się do autobusu, potem do następnego i następnego, żeby znaleźć się w obcej części miasta. Albo jeszcze po ciemku do podmiejskiego pociągu, żeby oglądać zimowy brzask w Skierniewicach.

Domek był bardzo skromny. Właściwie biedny. Mebelki miały po kilkadziesiąt lat i tłoczyły się na niewielkiej przestrzeni. Ale wszędzie stały książki i wisiały obrazy. Oboje byli jak z filmu o dawnej inteligencji. Ona miała piękną twarz i więcej mówiła. On był delikatny, cichy i trochę skrępowany. Może skromnością wnętrza, a może po prostu naszą obecnością. Mówiliśmy oczywiście o Rosji. Ona twierdziła, że Rosjanie to w gruncie rzeczy barbarzyńcy, których ukształtowała niewola tatarska. Nie zaprzeczałem. Zawsze wołałem słuchać. Poza tym miałem za sobą te wszystkie kilometry. Z. rozmawiał.

Po rosyjsku. Położyliśmy się w śpiworach na podłodze. Nareszcie było jak na wakacjach. Zasypiałem z dziwnym uczuciem, że otaczają mnie wieżowce. Śniadanie zjedliśmy w ogródku. Rododendrony, róże, pnącza, rosa i słoneczne plamy. Od uliczki odgradzał nas mur. Gospodarz podarował mi maleńką figurkę konia ze złocistego stopu. Projektował takie rzeczy i chyba własnoręcznie odlewał. Miał pomysł, że wykona komplet ozdobnych szachów i rząd będzie takie zamawiał na prezenty dla dostojników, zagranicznych gości i podobnych cwaniaków. To miało go urządzić na resztę życia. Piękny sen. Przymocowałem konika na desce rozdzielczej i jest ze mną do tej pory. Gospodarz pojechał z nami na Majdan. Z estrady przemawiali mężczyźni w kozackich strojach. Był z nimi brodaty ksiądz. Z plakatów patrzyli Putin i Miedwiediew poprzebierani za esesmanów i Bandera o chłopaczkowatej twarzy. Można było sobie zrobić zdjęcie z białym gołębiem albo z kimś przebranym za niedźwiedzia. Było upalnie i sennie. Spomiędzy wojskowych namiotów ciągnął zapach drzewnego dymu i smażeniny. Snuli się faceci w połowych mundurach i kłapkach. Poszliśmy na kawę do eleganckiej knajpy. Młody kelner mówił do nas po angielsku. Więc tak wyglądało zaplecze frontu. Prawie wszyscy robili zdjęcia. Więc tak wyglądał wojenny kraj. A ja byłem tchórzem i nie chciałem jechać przez Donieck. Pocieszałem się wrednie, że skoro oni tutaj siedzą i smażą wieprzowinę, to nie muszą. Kto wie: może nawet byłem trochę zły, że trzeba się wlec przez tę Ukrainę, zanim się wyjedzie naprawdę. Zanim zacznie się dzikie, dalekie i groźne. Zanim zacznie się ta Rosja po prostu. To znaczy nieskończoność jakaś, którą sobie tak przyjemnie wyobrażać, gdy się siedzi nad mapą i liczy odległości, i wymawia po cichu te wszystkie nazwy: Woroneż, Borisoglebsk, Saratów i dalej. Aż po Ułan Ude, Czytę i Birobidżan można tak wymawiać. Po Chabarowsk. No więc trochę mnie wkurzała ta Ukraina ze swoją bliskością, pobratymstwem i że mniej więcej wiadomo, o co z nią chodzi. Niby się wyjechało, a zarazem nie bardzo. Bo przecież jak jechać, to w pizdu na skraj kontynentu, a nie Banderę oglądać i niedźwiedzie, którym trampki spod sztucznego misia wystają. Banderę to ja miałem w domu. Od dzieciństwa mnie nim straszili. Dzikim Banderą, który się zamieniał w czarny i zarazem krwawy sztandar. Łopotał nad dzieciństwem. Nie miałem pojęcia, kto to jest, ale w zasadzie było jasne, że Ukraina i Ukraińcy to nic przyjemnego. Tyle że na szczęście leżała gdzieś bardzo daleko. Bóg raczył wiedzieć gdzie. A teraz myk i już. Bez wizy nawet. Z pięknymi żołnierzkami oraz ich pistoletami na biodrach. No ale to było za mało, żeby zostać. Kurczę, może jakiegoś większego Bandery potrzebowałem? Nie takiego prowincjonalnego, tylko z rozmachem wszechświatowym? Dlatego może do tej Rosji chciałem, do kraju oberbanderowskiego, gdzie wszystko się robiło z gestem i na globalną skalę? Zdaje się, że na Magadan chciałem jechać, na Sołowki, na Kołymę. Lecz zanim wypłataliśmy się z Kijowa, minęła co najmniej godzina i chyba ze trzy razy przejechaliśmy Dniepr.

Ten gaz-69 to było moje pierwsze auto. Co najmniej piętnastoletnie. Jeszcze z dolnozaworowym silnikiem. Jechaliśmy z Warszawy. Silnik zatarł się już w Jankach. Zwolnił, zadymił i stanął. Akurat pod bramą jakiegoś mechanika. Facet od razu wyszedł. Woń go zwabiła. Bez pytania podniósł maskę. Popatrzył ze zdziwieniem oraz uznaniem i pokręcił głową. Gwizdnął głośno i zaraz zjawili się dwóch łebków w poplamionych kombinezonach.

– Patrzcie, młodzi: tak wygląda prawdziwy dolniak – powiedział.

– Co, szefie? – zapytali.

– Silnik dolnozaworowy.

Pochylili się we trzech. Szef przeprowadził krótki wykład i na koniec dodał rozmarzony:

– Kurwa, nie myślałem, że jeszcze coś takiego zobaczę.

A potem się okazało, że akurat ma nowy żukowski. Wepchnęliśmy maszynę na plac i powiedział, że za dwa tygodnie można przyjechać. Zapytał jeszcze, czy pozwolę mu zatrzymać dolniaka w celach dydaktycznych i sentymentalnych. Wymyje się, posrebrzy kaloryferówką, osprzęt da częściowo na

czerwono, postawi w rogu na postumencie i wycieczki będą przychodzić.

Po dwóch tygodniach rzeczywiście było gotowe. Nawet niedrogo wyszło. Niewykluczone, że silnik był z taniego źródła i facetowi zależało, żeby na widoku nie zalegał. Ech, jak to szło. Prawie dwa razy więcej mocy. Luźne blachy dzwoniły i powiewały. Łopotała plandeka. Na zakrętach potomek czapajewa kładł się jak żaglówka. Amortyzatory były ramieniowe. Zamiast oleju gwizdało w nich powietrze. Kolektor połączyło się na sztukę ze starą rurą i czasami walił ogień. Gang miał jak benzynowy V8. Wszyscy się z szacunkiem oglądali. Psiarni na szczęście nie było po drodze, bo przecież w papierach miał wbite numery pozostawionego eksponatu, ale nikt sobie tym głowy nie zaprzętał. W ogóle psiarni było wtedy mniej i jakiejś innej. Poza tym jechaliśmy w południowo-wschodnie ostępy ojczyzny, gdzie żyliśmy poza prawem. Papiery, prawdę mówiąc, też zaraz zginęły i nawet lewego przeglądu nie było gdzie wbić. Potem podczas off-roadów poodlatywały tablice. 69 służył raczej do zadań taktycznych niż strategicznych. Operował w promieniu kilkunastu kilometrów w terenach lesistych. Do sklepu i z powrotem. Do pekaesu i nazad. Z wesołą gromadą kolegów w celu zdobycia tego albo tamtego beskidzkiego szczytu. Na asfalt zapuszczał się rzadko i zwykle pod osłoną nocy. Jego reflektory przypominały lampy naftowe i dzięki temu był słabo wykrywalny. Jak nocne wojenne konwoje pod bombami. Kiedyś pewien kolega w recenzji jednej z moich książek w wysokonakładowym dzienniku ogólnopolskim napomknął, że się w ciemnościach wypuszczam do miasta. Niedługo potem spotkał mnie na ulicy komendant powiatowy policji. Odciągnął mnie na bok i zniżając głos, powiedział:

– Panie Andrzejku, przecież my wiemy, że pan prawa jazdy nie posiadasz oraz nawet głupich blach na samochodzie, ale po co od razu gazety muszą o tym pisać...

Bo rzeczywiście nie posiadałem. W ogóle mi się prawo jazdy z prowadzeniem auta nie kojarzyło. Długie lata. Kapitalizm dopiero się zaczynał i nikt nie wiedział, w którą stronę to wszystko pójdzie.

Na granicy byliśmy o zmierzchu. Przejście nazywało się Junakiwka. Wokół było płasko, pusto i rolniczo. Nowe szare budynki, nowe druty kolczaste, nowy beton. Wszystko na szaro. Żywa dusza nie przekraczała. Szybko poszło. Przez ziemię niczyją toczyliśmy się pięć na godzinę. Co tu kryć: trochę się bałem. Wiedziałem, że to jest wielkie jak nic na świecie. Mogło nas pochłoniąć na wieki i bez śladu, jak pochłonęło miliony przed nami. Co taki zielony osiołek, skoro przepadły tu całe pociągi, narody i kraje. Ledwo kropelka w tym oceanie lądu. W tej niebacznosci na szeregół, w tym zamięłowaniu do otchłani. Dlatego pięć na godzinę, żeby odwlec. Robiła się niebieska stepowa noc. Stał nieruchomy gorąc. Trochę jak do bezkresnego pieca się wjeżdżało. Takiego staroruskiego z chlebową czeluścią.

No ale Rosja nas nie chciała. To znaczy mnie. To znaczy mojego samochodu. Bo to nie był mój samochód. Inaczej: był, ale nie mój, tylko na firmę. A przecież wszystko przewidziałem. Miałem kwit od notariusza, kwit na pięć stron, że moja firma mi pozwala, żebym sobie wziął moje auto i pojechał nim, dokąd mi się podoba. W szczególności właśnie do Rosji i dalej, gdzie oczy poniosą. Nawet do Mongolii sobie pozwoliłem jechać. Przez pół roku mogłem się wycierać zielonym szerszeniem po ostępach Eurazji. Bez limitu kilometrów. Pod pikiem Lenina zaparkować i po lodzie Bajkał przejechać. I wszystko usłużnie na rosyjski przełożone z wielkimi okrągłymi pieczęciami tłumacza przysięgłego. No ale Rosja nie chciała. Ciemno już się zrobiło. Zmianę w budce miał młody szczupły chłopak. Czytał moje kwity raz i drugi. Podnosił wzrok znad papieru i patrzył na mnie z niemym wyrzutem. Ocierał pot z czoła. Z okienka ciągnęło gorącym jak z rozkręconej na ful nagrzewnicy. Czułem, że chce dobrze, ale nie może. Niewykluczone, że starsi koledzy wysłali go na posterunek, żeby poćwiczył asertywność. Czytał i czytał. Kręcił głową. Przedreptywałem z nogi na nogę i składałem coraz dłuższe zdania po rosyjsku. W duchu powtarzałem: A co, kurwa, taki tu ruch macie? Drzwiami i oknami się do was pchają na to zadupie? Zwłaszcza teraz, jak se wojnę urządziliście w ramach atrakcji turystycznej? Taki wyzywający wewnętrznie byłem, ale na zewnątrz przymilny:

– No co ci, bracie, szkodzi? Przecież tylko przejazdem, trzy dni najwyżej i już mnie nie ma. Jeszcze benzyny natankuję parę razy, a czasy idą niepewne i każdy grosz w budżecie się liczy. Prześpię się, zjem coś i będę po świecie rosyjską gościnność sławił.

Nic. Tylko papier czytał, w którym stało, że pozwalam sobie własnym autem jeździć. W końcu westchnął, wsparł się łokciami o blat i powiedział:

– Ale cel! Jaki jest cel podróży? Nie ma nic napisane o celu i nie mogę was puścić.

– Miasto Murgob w Tadżykistanie – odpowiedziałem. – Tam mam zamiar dojechać i stamtąd wracać.

Pokręcił głową.

– To nie jest cel. Po co tam jedziecie? Do tego Mur... Mur... do tego miasta w Tadżykistanie? Nie można tak sobie jechać.

Rany, pomyślałem, celu baraniej głowie się zachciało. Całe życie jeździłem bez celu i dopiero w tej ciemnej dupie ktoś się przyczepił. Do tego Murgobu też jechałem bez celu. Właściwie tylko dlatego, że mi się nazwa spodobała, a on mnie tutaj ze spraw egzystencjalnych przepytuje. A jak po kartofle, toby było dobrze? Albo że po trzy kilo afgańskiej hery, to dałoby się pojąć? Kurwa, gnój mnie w pięćdziesiątym czwartym roku życia o cel będzie pytał... Nabrałem powietrza i powiedziałem:

– Podróż i droga są celem!

Pokręcił głową.

– Tak nie można. Zresztą w dokumencie nic takiego nie ma. W ogóle nic nie ma o celu.

– Murgob – mówię.

– Przecież nawet nie wiadomo, gdzie to jest – odpowiada.

– W Tadżykistanie – mówię.

– Każdy może tak powiedzieć – on na to.

– No to co mam zrobić?

– Nużen nowy dokument...

Ja pierdolę, myślę, jak? Z powrotem do ukraińskich Sum czy Sumów, pisać, dzwonić, żeby przysłali? Mailem? Przecież musi być oryginał od notariusza z pieczęciami, więc pewnie z tydzień zajmie, jak nie więcej, więc hotel, nuda, wóda, żeby w Sumach przetrwać. A jaki tam tydzień, jeszcze tłumaczenie. Dwa tygodnie w Sumach. Przecież przejeżdżałem, widziałem, nie da się. Od biedy gdzieś pojechać, kumpli ukraińskich poodwiedzać albo w ogóle do domu, przecież daleko nie jest. Jednym słowem tydzień, dwa jak psu w dupę. I raptem zimny pot mnie oblewa: bo przecież mam już wbity wjazd, już mnie grenszuce wpuścili, a teraz tylko na cle z zielonym osłem stoję. A mam wizę dwukrotną, więc nawet jak dokument załatwię, to jest po ptakach, bo jeszcze tylko raz mogę wjechać i wyjechać. Czyli zamiast do Murgobu mogę sobie skolko ugodno po Rosji jeździć przez trzy miesiące. Na Kamczatkę i z powrotem. Pięknie, ale nie taki był plan. No więc mówię, że ni chu-chu i ani kroku w tył. Młody na to, że w przód też nie, co najwyżej na placyk przy budce. OK, dobre i to. Podjeżdżamy i robimy naradę, z której niewiele wynika. Siedzimy, gadamy i patrzymy na stepową noc. Przeglądam numery w telefonie, ale przecież nie mam żadnych ważnych. Sami kumple. W końcu w desperacji wybieram jeden. Cud, odbiera i całkiem dobrze słychać. Mówię:

– Kurwa, zrób coś, bo Ruskie mnie nie chcą wpuścić, wszystko mam w porządku, tylko im się jakiegoś „celu” zachciało, czyli nieodgadniony Sfinks imperialnej biurokracji... Gdzie stoję? A chuj wie!

Idę do baraku, w którym siedzi trzech nieogolonych tirowców w klapkach, i pytam, gdzie właściwie jestem.

– Sudża – odpowiadają.

Mówię do telefonu nazwę i wracam do samochodu. Z. pyta, do kogo dzwoniłem.

– Do G. – mówię.

– To ty znasz G.? – pyta z podziwem.

– Znam – odpowiadam – ale z czasów, gdy jeszcze nie był tym G., tylko jak normalny człowiek zajmował się literaturą, kulturą i poezją. Kazał czekać.

Żeby zleciało, otwieram bagażnik, wydaję maszynkę, czajnik i robię kawę. Zaraz zjawia się mundurowy w okrągłej czapce i mówi, że nie zia. Kiwam głową i czekam, aż się zagotuje. Przecież nie rzuci się i nie będzie zakręcał gazu. Razem czekamy. Chcę go poczęstować, ale odchodzi. Popijamy sobie z Z. W końcu dzwoni telefon z rosyjskim prefiksem. Z polskiego konsulatu. Mówię jeszcze raz co i jak, podaję namiary geograficzne oraz nadmieniam, że szykana jest delikatna i na razie nasza słynna polska godność jeszcze nie ucierpiała. Facet odpowiada, że zaraz postarają się coś zrobić. Ciekawe co, myślę. Pewnie zadzwonią do kogoś ważnego. Tak to się robi. Przecież wojska nie wyślą. Zadzwonią i powiedzą: „Trzymacie w szczerym polu narodnego pisatiela. Na chuj wam to? Wróci i dupę wam obsmaruje, a potem ogłosi to jeszcze w najważniejszych językach europejskich. Puśćcie, niegroźny jest. W porównaniu ze średnią narodową to on ma niski poziom antyrosyjskości we krwi. Stężenie jak na Polaka niewielkie, i to się wam jeszcze może opylać. Naszym zdaniem to on chyba nawet coś nie ten tego z głową, że do was jedzie. Po waszemu gada, na ścianie ma zdjęcie rosyjskiego pisarza Płatonowa, do gazet mówi, że jest dzieckiem komunizmu, i widać bardziej mu pasuje ten wasz bardak niż wysoko rozwinięta zachodnia cywilizacja, w której przestrzega się praw człowieka. W Ameryce był raz, a do was pcha się już trzeci. Ze swej strony radzimy wpuścić, specjalnych strat wizerunkowych nie poniesiecie”.

No i rzeczywiście: po godzinie coś się zaczęło dziać. Młody z budki poleciał do naczelstwa. Jeden z drugim wyżsi stopniem podeszli na parę metrów, żeby nas obejrzeć. Sfinks się namyślał. Młody wrócił. Odczekałem i poszedłem. Minę miał nieco znękaną, ale raczej przychylną. Powiedział, że wyjątkowo i już nigdy więcej. Podbił bumagę na automobil i życzył szczęśliwej drogi.

*

Jezu, jak ciemno było w tej Rosji. Coś tam się świeciło w dali, ale pruliśmy czarnym asfaltem, na nic się nie oglądając. Żeby jak najdalej wjechać, jak najgłębiej, żeby o nas zapomnieli, żeby się zgubić jak igła w ruskim stogu siana. Mogli się przecież rozmyślić. Mogli kogoś za nami wysłać albo gdzieś zadzwonić. Oni wszystko mogli. Tylko przez chwilę się wydawało, że jest inaczej. Sam chciałem się na to nabrać, ale przez skórę czułem, że się nie uda, że to pobożne życzenie i złudzenie. Że nie da się namówić tego kraju, żeby ogolił nogi, dezodorantów używał, ograniczył tłuszcze i cukry oraz łykał suplementy diety. Pewnie dlatego mnie tu ciągnęło. Z ciekawości i strachu. Że jednak można inaczej.

No więc ciemno było, choć oko wykol, i gorąco. Coś tam płonęło w oddali, w tej nocy bez końca. Trawy? Pola? Domy? Bóg wie. Jakiś ogień na stepie się podnosił. Zaczynał się jedenasty czerwiec. Wyobrażałem sobie, że jest wojna. Gdzieś po prawej, na wschodzie leżała Prochorowka. Wyobrażałem sobie te wszystkie czołgi, działa pancerne, niszczyciele, tysiące silników pod pancierzami, rzędowe, widlaste, gwiazdowe, dziewięcio-, dwunastocylindrowe, chłodzone cieczą albo powietrzem, diesle albo benzyniaki jak w churchillu, jak w tygrysach, wyobrażałem sobie niski, gulgoczący ryk, gdy startują i wyrzucają czarny smolisty dym, nim się rozgrzeją na dobre. Było lato, jak siedemdziesiąt jeden lat temu, i dość łatwo mi to przychodziło. Znaczący to wyobrażanie, jak żar promieniuje od pancernych płyt, jak przenika powietrze, aż nie ma czym oddychać. Niektórzy wspominali wielki upał, chociaż w rzeczywistości tamte dni były deszczowe. Więc musiało być duszno. Wilgoć mieszała się ze spalinami i wszystko było tłuste i śliskie. Wyobrażałem sobie, jak wchodzi kolejno, zatrzasnąwszy za sobą włązy i

ogarnia ich strach w żelaznym półmroku. Bo przecie prawie nic nie było widać przez te szczeliny, wizjery i peryskopy. Ciasny obraz rwał się, podskakiwał i znikał, gdy się gnało w dal zrytego i rozjeżdżonego stepu. W smrodzie i ciasnocie. I w głuchocie zupełnej. W takiej suce, czyli SU-76, mechanik siedział obok niczym nieosłoniętego silnika. A właściwie dwóch sprzężonych benzyniaków każdy po sześć cylindrów. Co za pomysł.

No więc wślizgiwali się do środka, zatraskiwali włązy i ruszali do walki, wiedząc, że mogą spłonąć. Że to, co ich osłania przed śmiercią, w końcu ich uwięzi. Trzydzieści, pięćdziesiąt, sto milimetrów najlepszej stali zamknie ich w swym wnętrzu i zmiesza parujące ludzkie ciała z eksplozjami własnej amunicji i paliwa. Wyobrażałem sobie te wszystkie ultranowoczesne sarkofagi panter, tygrysów, T-34, KW-1, shermanów, panzerów IV, valentine'ów, SU-122, SU-152, jak brną przez rozmokły step niby płonące pogrzebowe kondukty w stronę ostatecznego miejsca pochówku, gdzie pozostaje już tylko nadpalona kość i smród w czarnym od sadzy wnętrzu.

Bolszoje Sołdatskoje, Skorodnoje, Domra, Czeremosznoj. Ledwo coś tam poświecało. Opuściłem szybę i szukałem w gorącym powietrzu zapachu spalonej ropy. Kto wie, może nawet woni trupów. Dwulitrowy benzyniaczek mrucał przyjaźnie jak kot. Im lepsza stawała się broń, tym gorsza była śmierć. Pewnie od tego myślenia zrobiło mi się duszno i dlatego otwierałem okno. Okrutniejsza od czołgu musiała być tylko łódź podwodna z tą absolutną ciszą wokół i świadomością, że z każdym kolejnym oddechem nadciąga śmierć. W dodatku żadnej nadziei, że da się otworzyć jakiś właz. Kursk. Za pół godziny mieliśmy tam być. Czteryście pięćdziesiąt tysięcy mieszkańców.

– Chcesz szukać hotelu? – spytał Z.

– No nie wiem – odpowiedziałem.

– Może Cyrk. Najtańszy hotel w mieście, warunki trochę spartańskie, ale da się przeżyć. Dwójka od stu osiemdziesięciu rubli. Tak mówi Pascal.

– A z którego roku?

– Z dwa tysiące siódmego.

– Na pewno podrożali. Jedźmy dalej. Znajdziemy awtostojankę.

– Znaczą coś?

– Dla tirowców. Za płotem i czasem można coś zjeść.

Trochę się mądrzyłem, bo awtostojanki znałem tylko z opowiadań: że spokojnie śpisz w czystym i nie kombinujesz całą noc, czy ci ktoś bryki nie kroi. No ale zanim trafiliśmy, zaliczyliśmy ze dwie bazy samochodowo-budowlane. Zaspani ciebie ślali nas w pizdu, ale jak usłyszeli, że z Polski, to trochę łagodnieli i mówili, że albo dalej, albo bliżej, w tę czy w tamtą coś jest. Jak na drugą w nocy i tak byli mili. W jakimś Dubowcu czy Wwiedience rzeczywiście było. Facet w gaciach od dresu i podkoszulce otworzył i powiedział, że po dwieście rubli. Nie mieliśmy jeszcze miejscowej waluty. No to po dziesięć euro. Dziwny przelicznik. Machnęliśmy ręką. Oczy nam się kleiły, biała linia na asfalcie rozdawała. Pokazał nam barak i dał klucze. Byliśmy sami w czteroosobowym pokoju. W ogóle chyba byliśmy sami. Trochę szkoda, bo język można by poćwiczyć. Linoleum lśniło, pościel ładnie pachniała tanim proszkiem. Przysiadłem na łóżku i zbudziłem się rano. W łazience był żel pod prysznic. Babuszka w chustce i fartuchu sprzątała, chociaż na mój gust było całkiem czysto. Przywitała mnie, a ja od razu, że izwinitie za moj ruski, ale ja Polak.

– Niczego, niczego – powiedziała uspokajająco.

Przyszedł Z. i usłyszałem, jak pięknie, całymi zdaniem rozmawia o życiu i ciężkim losie. W ogóle się nie tłumaczył z narodowości i pewnie starsza pani wzięła go za moskwiczanina z tym jego nienagannym akcentem. Tylko że mną było coś nie tak. Jakbym chciał ich uprzedzić, zanim mnie zdemaskują. Ruscy znaczą. Że żaden ze mnie szpieg ani ich ukryty wróg. Że tylko chcę wjechać i popatrzeć, żeby mi potem

różni spryciarze cwanej ciemnoty nie wciskali. Żeby mi nie mówili, jak jest naprawdę, bo jeden z drugim już wszystko wie, zanim w ogóle pójdzie po wizę. Co tam po wizę. Jak jest naprawdę, wie zaraz po urodzeniu. Jak wszyscy w tym kraju. Od niemowlaka. Albo przeczyta jakąś ruską książkę i wio w drogę, żeby udowodnić, że same imperialne kłamstwa. Na mapę spojrz i już mamrocze, że monstrum i ludojad pożerający cywilizowane narody. Gazetę otworzysz i sami eksperci. Korespondencje i analizy. Że to, że śmo i najlepiej by było gdyby. Znaczą się, gdyby nogi golili i dezodorantów więcej używali. Gdyby oddali, co zabrali, czyli zatrzymali sobie Księstwo Moskiewskie, a najlepiej samą Moskwę, ewentualnie połączoną z Petersburgiem, żeby turyści spragnieni wschodniej egzotyki za daleko z Kremla do Ermitażu nie mieli. Najlepiej metrem, boby bizantyjski przepych stacji mogli oglądać. Od de Custine'a się zaczęło. Pojechał i chyba mu się nie spodobało, że carski kurier okłada batem woźnicę, a woźnica konia. Trzeba było zostać w domu i europejskiej wrażliwości na szwank nie wystawiać. Teraz wszyscy jeżdżą i się im nie podoba. Wracają i nauki piszą. Albo w ogóle nie jeżdżą i piszą. Zwłaszcza w moim kraju. Albo piszą dopiero po powrocie, bo na miejscu to nie ten tego. Jednak trochę strach. Dopiero jak im stempel „wyjazd” wbijają. Tak sobie myślałem, wycierając plecy ręcznikiem.

Nie było widoków na jedzenie, więc szybko się zebraliśmy. Na placu umorusany tirowiec rozbierał ciężarówkę. Wyjął już chłodnicę, stała oparta o koło, i dobierał się głębiej. Mżył deszczyk. Szare rosyjskie niebo było wielkie jak kontynent. Odetchnąłem z ulgą, bo psiarni w taką pogodę nie będzie się chciało warować przy drogach. Taką miałem nadzieję.

Stał trochę z boku, z dala od nowych tirów, trochę jak na wygnaniu, w zapomnieniu stał. Gaz-51, starszy brat naszego lublina. Zieleń szoferki dawno spłowiła. Koła jeszcze trzymały powietrze, ale guma była spękana i nieco przysiadła. Z pół atmosfery tam było. Jakby się nieborak wybierał na piaski albo bagna, gdzie zawodowo upuszcza się trochę powietrza. Ale się nie wybierał. Stał na ostatnim postoju. W deszczu. Sowiecka wersja wujkowego. Tak odchodzi dzieciństwo, pomyślałem. Tysiąc dwieście kilometrów od rodzinnego domu. Czterdzieści parę lat później. W stepie o ósmej rano. Zrobiłem mu zdjęcie swoim ultranowoczesnym olympusem. Ledwo było autko widać w tej szarej Rosji. Tłął w krajobrazie. Pamięć była wyraźniejsza. Jak czerwony wóz strażacki, który dostałem pod choinkę. Miał srebrzystą składaną drabinę. Ale czy był na podwoziu stara 25 jak wszystkie wtedy? Nie pamiętam. Niewykluczone, że nie miał płasko ściętego pyska jak star, ale właśnie wydłużony na podobieństwo gaza albo lublina, czy też w ogóle na wzór jakiegoś amerykańskiego trucka, żeby budzić dziecięce pożądanie. W każdym razie zielona i czerwona ciężarówka, ta dorosła i ta dziecięca, były najprawdopodobniej pierwszymi autami, autami założycielskimi namiętności, która zagnała mnie aż tu. Do Wwiedienki albo Dubowca.

Jechaliśmy w deszczu. Poza ciężarówkami prawie wszyscy nas wyprzedzali. Trzeba się było przyzwyczaić. Nauczyć czujności. Zwalniać do pięćdziesięciu, do czterdziestu w zabudowanym. „Zabudowane” było dość nieokreślone, jak cały ten kraj. Wlekło się, urywało, zaczynało mizernie i niejednoznacznie. Bałem się psiarni. Niczego właściwie poza psiarnią się nie bałem, wyjąwszy taki ogólny strach, dla którego przecież wyjeżdża się tam, gdzie nikt nie jeździ. Ale z konkretów to tylko psiarni. Nasłuchiwałem się wcześniej. Nie chciałem tracić kasy. Znałem psiarnię mołdawską i ukraińską. Kroili mnie, a ja, ogólnie rzecz biorąc, się godziłem i jedynie negocjowałem cenę. Na Ukrainie kiedyś pięćdziesiąt dolców, bo poczuli. Mieli prawo, były targi książki i dwa dni szczytu polsko-ukraińskiego. Przespałem dziesięć godzin, ale widać nie wywietrzało. Starzy praktycy o opuchłych twarzach. W Mołdawii na jakimś zadupiu też poczuli. Piwo wypilem w cieniu parę wsi wcześniej. Wypiłem, patrząc na życie. W ogóle nie mieli pretensji, że czuć. Po prostu podali sumę. Na polskie wyszło z dziesięć zeta w tych ich melancholijnych banknocikach jak ze zniszczonej gry planszowej. Ze Stefanem III Wielkim na awersie. O innych wziętkach nie ma co gadać, bo były za utratę koncentracji. Ale ogólnie zawsze mieli

rację, bo byli u siebie i trzymali władzę. Mieli broń, radio i kolegów w następnych radiowozach przy drodze. Jak się komuś nie podoba, niech jeździ do Szwajcarii. Do Szwecji niech jeździ. Ale ja chciałem do Rosji, więc teraz jechałem jak jakiś paralytyk z rozbieganymi oczami. Czasem nawet stali w tych swoich biedniutkich ładach, poutykani w zaułkach i zakamarkach, że niby tacy sprytni i niewidzialni. Ale nie chciało im się wychodzić. Wyobrażałem sobie, jak odprowadzają wzrokiem nasze polskie blachy i naradzają się leniwie w sprawie ewentualnych zysków. A może objuczony zielony osiołek wydawał im się niepoważny? Że jakieś świry jadą. Bo jak Mariusz wracał z Mongolii wyprawowym land cruiserem, to go skroili na sto baksów. Klasyka: długi jak nagła śmierć podjazd, widać na trzy kilometry, prosta, a przed nim rozdupczony kamaz z naczepą pełną gruzu czy piachu pyrkocze dwadzieścia na godzinę. Nie wyprzedziłbyś? A że jakaś ciągła namalowana jeszcze za Chruszczowa? Bądźmy poważni. Z Ułan Bator do ojczyzny jest siedem tysięcy kilometrów i nie da się tego zrobić w tempie kamaza z gruzem. No i stali. Przyczajeni pod krzakiem na szczycie wzniesienia. Nawet lornetkę mieli. Sto baksów. Już widzę, jak się bohaterko szarpiecie i chcecie dzwonić do konsula. A potem spędzacie osiemnaście godzin na jakimś obszczanym dołku w Szepietowce albo Miedwiedowce. W jakichś syberyjskich Pietuszkach. Wielka mi przygoda. W dodatku przecież przejechaliście tę ciąglą, nie?

Tak więc ostrożnie, z czujnością i krajoznawczo. Podziwiając region Centralno-Czarnoziemny. Tak się nazywał. Ale na miodem i mlekiem płynący to nie wyglądał. Coś tam rosło po jednej i po drugiej, ciągnęło się po horyzont. Czasem trudno było zgadnąć, czy jednak nie zarasta zielskiem. Niejednoznaczne te uprawy były. Raczej skromne łany Bóg wie czego. W każdym razie nie odwracały uwagi ani nie zmuszały do podziwu, więc dobrze się jechało. Jak pusto i przy drodze przejrzyste, to psiarnię lepiej widać. Tak się pocieszałem. Cruisery nas na tym pustkowiu wyprzedzały. Range rovery i gelendy. Z obojętnością albo pogardą. Nie bardzo było widać, bo wszystkie miały szyby czarne jak grób. Taki zwyczaj. Że niby tajemnica, że złoto i nieboszczyków wożą. Albo worki wysokich nominałów. Z. powiedział, że jako znany pisarz powinienem sobie sprawić bardziej prestiżową furę. Że jak nie w Rosji, to przynajmniej w powiecie mnie będą szanować. Zdania były podzielone. Zawsze podziwiałem wielkie i piękne bryki, ale nigdy nie chciałem takiej mieć. Chyba się wstydziłem. Jak tylko zacząłem kupować nowe po tych wszystkich cudnych zgniłkach, październikach i struclach, to już pierwszego dnia jechałem w największe błoto, żeby utyłać. Żeby nie było widać. I nie myłem. Najwyżej trzy, cztery razy do roku. Przecierałem światła, tablice i wio. Lubię, jak szybko jeżdżą, mają na czas porobione przeglądy, jak wszystko hula, ale nic więcej. W środku też syf. Trochę jak w pokoju do pracy. Właściwie to chciałbym, żeby były niewidzialne. A Z. mi mówi, żebym się jakimś prado po powiecie rozbijał. „Na chuj biednemu kwiaty?”, jak mówili koledzy pod celą. Zielony szerszeń jest akurat w sam raz. Nawet trochę powgniatany i poprzcierany. Ale jak tylko coś mu zastuka, zapiszczy, to od razu warsztat. No ale żeby sobie autobus z chromami i skórą w kolorze dojrzały banan kupować? Za stary jestem. Pamiętam komunizm i wiem, że ludziom wcale dużo nie potrzeba. Tylko że niezależnie od ustroju po prostu zawsze chcą mieć więcej. Byłem też hipisem i konsumpcja nie robi na mnie wrażenia. Bo co, jak kupisz wielką i drogą furę? Nic. Musisz potem kupić większą i droższą. Droga donikąd. Z rzeczy dużych i drogich to chciałbym mieć pociąg pancerny i wjechać nim od strony Zagórza do Komańczy. Kiedyś często mi się to śniło. Wjeżdżam i zakładam własne państwo. Dość rewolucyjny sen.

Skęciliśmy do miejscowości Tim. Chcieliśmy popatrzeć na zwykłe życie. Poza tym wciąż nie mieliśmy rubli. To było coś w rodzaju miasteczka, ale pewnie nazywało się „osiedle typu miejskiego” czy jakoś tak. Leżało parę kilometrów od A144. Z ronda w szczerym polu w prawo. Tak to mieli urządzone. Przy tych rondach przeważnie były posterunki psiarni, które nazywały się GAI. Gosudarstwiennaja Awtomobilnaja Inspiekcja. Zazwyczaj murowany barak i wieża obserwacyjna. I prawie zawsze radiowóz, nawet jak barak był w ruinie i zabity dechami. Ale tam chyba akurat nie stali,

bo jednak dziura. Miejscowi od razu nas wypatrzyli. Zerkali spod oka. Wyglądaliśmy dość zwyczajnie, szaroburo, ale i tak było widać, że nie stąd i że raczej nie Rusczy. Szukaliśmy bankomatu, a oni patrzyli. Gdzieś z głębi, z oddali. Mieli za plecami cały ten niezmierny kraj i mogliśmy się im wydawać mali i śmieszni. Jak zbłąkane, przerośnięte dzieci. Kobiety pochylały się ku sobie i coś poszeptywały. Możliwe, że w Timie ostatni cudzoziemcy to byli Niemcy na swoich panzerach IV w czterdziestym pierwszym. Mżyło, założyliśmy kaptury, omijaliśmy kałuże. Zwijano się targowisko. Było duszno. Liście topól lśniły jak metal. Co ja tu robię, myślałem, w tym Timie? Też na nich patrzyłem i zaraz za nimi widziałem step, Saratów, Wołgę, Ural, Magnitogorsk, Jermaka i Kołczaka, Batu-chana i Trockiego, i Spirydonową, i Srogiego, i Groźnego, i skopców, prygunów i chłystów, popowców i bezpopowców, protopopa Awwakuma, i von Sternberga, i jego Daurię, Workutę i Kołymę, i Ob w czarnym deszczu tamtej jesieni sprzed czterech lat, i zimną trupiarnię, i wieczność całą w pajęczynach, i wskrzeszenie wszystkich zmarłych, i Bogdanowa, i Bugulmę, i Bakunina i batkę Machnę, i Szumszu, Onekotan, Pramuszyr, Ketoj i Iturup, i listy do kniazia Kurbskiego, Murziłkę i Panfiłkę, korzinę, kartoszkę, kartonkę i Wielką Bramę Kijowską, i tamtą ciepłą czarnobyłską wiosnę, gdy w sklepach pojawiło się białe mołdawskie wino. Zabrakłoby dnia, żeby wszystko wyliczyć. Więc co tu, do chuja, robiłem z tą swoją przywiezioną mądrością? Co robiłem, popatrując spod oka na kobiety w chińskich ubraniach, na palących w milczeniu facetów, z tym moim strachem i niejasnym poczuciem wyższości, z tą obesraną europejskością? Jechałem na wschód i strzygłem uchem na południe, czy nie słychać artylerii. Czy nie nadleci jakaś rakietka i nie wydupczy w asfalt albo i w osiołka z nami w środku. Mieli dość daleko, ale w końcu pierwsi poleciecieli w kosmos, więc co to dla nich jakaś tam balistyka typu ziemia–ziemia. Klepałem w klawisze i patrzyłem, jak wychodzą szaroniebieskie tysiącrublówki. Na upartego i na ksero dałoby się takie zrobić. W jakiś niejasny sposób pozostawały w związku z całym tym pejzażem: Sdiełano w stiepi.

OK, można nie lubić tego kraju, można się w nim nudzić. Można się go bać. Można narzekać, że syf, że daleko, że kilometrami nic nie ma, a jak już jest, to żadna Wenecja z Teneryfą. Można kwękać, że Azja, Kałmucja i barbaria. W porządku. Można po rejtanowsku rozdzierać bieliznę i pokazywać rany oraz ślady knuta na własnym i ojczystym ciele. Można z zatkanym nosem i zamkniętymi oczami udawać się tutaj jedynie na funeralne pielgrzymki, rajdy katyńskie, zbiórki kości i palenie świateł w imperialnej otchłani. Można jak jeden ksiądz na Syberii: gdy go zapytałem, czy mówi po rosyjsku, zwyczajnie się obruszył, ponieważ interesowały go tylko nasze groby w tajdze oraz ewentualne nawracanie Rosjan, a to przecież można robić po polsku, skoro nas nawrócono po łacinie. Ksiądz skądinąd całkiem fajny, bo jak sobie pyknęliśmy po kilka browców, to pokazał mi swoją kolekcję broni: kałacha, strzelbę myśliwską i pistolet M, czyli enerdowską wersję makarowa. Ale parafia była na peryferiach miasta i na strzelanie mogliśmy się ewentualnie udać w pobliskie góry, co zresztą ksiądz niejednokrotnie czynił. Tak więc można nie przepadać za tymi stronami, mając w pamięci wiekową niewolę, Sybir i Szlisselburg oraz pokrzyżowanie mocarstwowo-kolonialnych planów z ojczyzną od morza do morza. Za Katarzynę można nie lubić, jednego i drugiego Mikołaja, za obu Aleksandrów, za Paskiewicza i Murawjowa Wiesziela, za Lenina, Stalina i Breżniewa, i w ogóle za wszystko, ale za jedno ten kraj trzeba cenić: benzyna jest circa po dwa pięćdziesiąt. I żadna pamięć ani polityka historyczna nie są w stanie tego zmienić. Ani prawica, ani lewica, ani centrum tutaj nie podskoczą. Zajeżdżasz i po prostu lejesz. Jak już jest do pełna, to masz ochotę jeszcze z piątkę albo z dyszkę po prostu po okolicy rozprowadzić. W step żeby wsiąkło. Jak z sikawki świętą ruską ziemię rosić. Albo komuś do starej łady czy zaporozca dolać. Tak tam jest. Patrzysz, jak cyferki przeskakują, i czujesz, że zarabiasz. A osiemdziesiątka szóstka prawie po dwa wychodziła.

Czy ktoś jeszcze w ogóle pamięta osiemdziesiątkę szóstkę? Albo siedemdziesiątkę ósemkę? Pierwsza była zielona, druga niebieska. Dziewięćdziesiątka czwórka, która weszła potem, była żółta. Różniły się

też zapachem. Wydawało się, że żółta pachnie najwytworniej. Do gaza lałem niebieską. Do wołgi zieloną. Jechałem na stację i tankowałem dwustulitrową beczkę. Z takim ciężarem w bagażniku wołga sunęła jak stateczny wodolot, jak citroën DS. Ale nawet wtedy, w połowie lat osiemdziesiątych, nie kosztowało to więcej niż dwa pięćdziesiąt za litr.

Ech, obfitość wnętrza tych ziem, myślałem sobie już za Timem. I skromność jej powierzchni, dodawałem zaraz. Im dalej na wschód, tym głębsze melanco. Ledwo ludzkim przyprószone. Zwyczajnie nie dało się grubiej. Nie było czasu. Ani gdy szli w głąb kontynentu, w stronę Pacyfiku, ani potem, gdy w 1917 roku od nowa podbijali swój kraj. Potem też nie, gdy musieli go bronić. I potem, gdy wybierali się w kosmos. Nie mieli czasu zająć się tym, co już mieli. I nie mieli dość rzeczy, by pokryć nimi bezkres. A może taki bezmiar wydziela tyle czasu, że trudno nad nim zapanować? Nad czasem znaczy. Że jest go za dużo, więc się wydaje, że go wystarczy, i wszystko można odłożyć na później? Na przykład zwykłe życie, którym ludzie pokrywają powierzchnię ziem.

Skręciliśmy na stację przy kolejnym rondzie na pustkowiu. Zatankowaliśmy, aż się ulewało. To była jakaś sieciówka w żółtym kolorze i chyba ze słonecznikiem w logo. Mieli kawę z ekspresu i śmieciarskie paszteciki na ciepło. Jak na całym świecie. Ale panna za kontuarem była stąd. Milkliwa, odęta, w białym czepcu. Dała nam, co chcieliśmy, nawet na nas nie patrząc. Przyjemnie było jeść ciastko bez smaku, pić mocną kawę i patrzeć przez szybę na niebo w kolorze tysiácrublówki i na zielsko po horyzont. Wchodzili faceci w utyłanych kombinezonach i zagadywali kasjerkę. Stare kamazy pomrukiwały na wolnych obrotach. Było jak w dziwnej Ameryce. Jak u przybrudzonego Hoppera. Tylko ruch trochę większy. No ale miałem to, na co zasłużyłem. Zawsze chciałem przejechać Stany, a jechałem przez Rosję. Zawsze chciałem być jak Moriarty, ale dożyłem pięćdziesięciu czterech lat i wlokłem się starym autem przez zachwaszczony step. Zamiast czuć bezmiar kraju i wolność, czułem strach przed psiarnią. Tyle że kraj był większy, przesiąknięty smutkiem jak deszczem i mniej więcej wiedziałem, o co w nim chodzi. Mniej więcej. Tak. Tęsknisz za banks of the Ohio, a dostajesz Tim. Zawsze tak jest. Ale nie narzekałem. Jechałem w stronę Woroneża i rozmyślałem o Nebrasce. I trudno było sobie wyobrazić lepsze połączenie. Mogłem sobie nucić Me and Bobby McGee i zaraz potem Dońską balladę. Pasowało. Byłem dzieckiem dwu kontynentów. Euroazjatyckiego i amerykańskiego. Miałem piętnaście albo szesnaście lat, gdy przeczytałem w piśmie „Jazz” fragmenty On the Road. Dziesięć zdań, może więcej i nie mogłem zapomnieć. Nigdy tyle nie myślałem o książce, której nie przeczytałem. Wyszła po polsku ze dwadzieścia lat później. Byłem z biednej rodziny i w dodatku leniwy, więc nigdy nie nauczyłem się angielskiego. Myślałem i wyobrażałem sobie. Działo lepiej niż oryginał. Teraz jechałem drogą E38 według niemieckiej mapy i patrzyłem na płaski horyzont. Czujnie wyprzedzałem kamazy. Każdy dostawał to, na co zasłużył. Gdy miałem trzynaście, czternaście lat, przeczytałem Dostojewskiego. Braci Karamazow w trzy, cztery dni. To powinno być zakazane w tym wieku jak alko. W książce wszyscy bez przerwy rozmawiali w dusznych, przegrzanych pokojach, w półmroku, w jakimś ciemnym świetle. Nic nie rozumiałem, ale nie mogłem się oderwać. Wciągało jak picie na kacu. Siedzieli na tyłkach i gadali. Nikt się nigdzie nie wybierał. Przy zaciągniętych zasłonach. Jak w celi siedzieli w tym wielkim kraju. Nigdzie nie jeździli. Pewnie nie mieli czym. To Ameryka wymyśliła pionierów, a potem samochód. A tutaj nic. Potomkowie zniewolonych chłopów. Wysyłali ich na wojnę, na podbój albo za karę. Z niczym dobrym się podróż nie kojarzyła. A już na pewno nie z wolnością. Wagony, kibitki, konwoje. Przestrzeń jako udręka. Jako więzienie. Czułem się nie na miejscu, tak sobie jadąc, bo mi się zachciało. Jak intruz i głupek. A Dostojewskiego nigdy już potem nie czytałem. Raz całego i koniec. Chyba przyrody mi brakowało. Człowiek na dłuższą metę sam w sobie jest nudny.

No ale po Ameryce trzeba by amerykańskim, bo przecież nie wysłę osiołka frachtem. A tam wszystko z automatami. Pamiętacie Małą miss? Tę scenę, gdy matka wpada w histerię na myśl, że miałaby

prowadzić przez pół Stanów starego volkswagena ogórka z normalną skrzynią? No tak. Bo tymi ich to dziwnie się jeździ. W jakimś takim bezwładzie. Trochę jak po udarze. Lewa noga nieruchoma, prawa ręka to samo. Co z nimi robić, zwłaszcza w dłuższej trasie? Można niby do czegoś używać, ale to przecież rozprasza. Bo w prowadzeniu najfajniejsze jest to, że człowiek wszystko ma zajęte. Głowę znaczy, zmysły i kończyny. I czuje, jak to tam wszystko byczy, kręci się, zazębia, wskakuje na swoje miejsce, obraca, mimośroduje, spręża, rozpręża, smaruje, napiera i ustępuje, te wszystkie łożyska kulkowe, ślizgowe, igiełkowe, te czopy i panewki, a całość przenika równomierną, monotonna wibracją, która jest znakiem, że jednak się dojedzie. To czuć pod palcami, pod stopami, na pedałach, na dźwigni zmiany biegów i na kierownicy. Jedziesz i słuchasz, czy nie pojawia się aby jakaś nierówność rytmu, jakaś skaza w tym drzeniu, jakieś opóźnienie taktu, jakaś nadliczbowa ćwierćnuta, jakieś załamanie idealnego kardiogramu, arytmia w spalinowym cielsku, ciche ćwierkanie z prawej, z lewej, z tyłu albo z przodu, jakiś pogwizd spod spodu od skrzyni, jakieś nierówne drganie, jakiś ledwo wyczuwalny zwiastun nieszczęścia. Dlatego nie wiem, jak można jeździć z wolną lewą nogą i prawą ręką. To wbrew naturze jest.

Wszystkie te nowe auta są trochę wbrew naturze. Po prostu zapala ci się lampka i po ptakach. Stajesz i dzwonisz, jak masz zasięg. Przyjeżdża laweta. Zerwana łączność między człowiekiem a maszyną. Nic sam nie zrobisz. I te wszystkie systemy: ABS, ASR, TCS, sres-dupes oraz cała reszta. A zaraz jeszcze zaparkuje za ciebie, znaki będzie czytać, wycieraczki włączać, w lusterka patrzeć, pilnować, żebyś se nie drzemnął, odległość sprawdzać, białej linii się trzymać, wszystko po to, żeby ta korona stworzenia, ten wypielegnowany gnojek, dwudziestopierwszowieczny kierowca broń Boże sobie krzywdy nie zrobił, żeby się śmierdziel jeden nie przemęczył i wydepilowane dupsko dowiózł. W piździec z tym. Kiedyś wyprawa i jazda to były heroizm i wyzwanie. A teraz w dziurę wjedziesz, to ci się wszystkie światła zapalają, osiemnaście poduszek odpala, satelita zgłasza śmiertelne niebezpieczeństwo i za pięć minut jest pogotowie, straż pożarna i wsparcie psychologa. Kiedyś podróż była tajemnicą i człowiek się żegnał, jakby miał nie wrócić. Zwłaszcza podróż na Wschód.

Jakiś czas temu przez parę dni jeździłem peugeotem 206. Nie miał wspomagania ani ABS-u. Nie miał nawet foteli z tyłu. Z wyposażenia dodatkowego posiadał gniazdo zapalniczki. Ale to napięcie na kierownicy, gdy się wchodziło w zakręt, ten mięsisty, zmysłowy opór... Lód był, więc żadnego tere-fere z hamulcem, że cię od złego wybawi, od jazdy bokiem albo tyłem. Ech, było jak kiedyś. Jakby czymś żywym się powoziło. Symbioza.

Don tylko mignął pod mostem. Bardziej o nim pomyślałem, niż go zobaczyłem. Ale na pewno był cichy i zielony. Odruchowo popatrzyliśmy w prawo, na południe i znów zaczęliśmy nasłuchiwać odgłosów wojny. Kanonady albo świstu. To było ponad trzysta kilometrów, ale jednak. Co drugie auto miało przyczepioną wstążkę georgijewską. Pomarańczowo-czarną. Za cara była żółto-czarna i mała symbolizować ogień i dym, czyli męstwo w boju. Komuniści dla niepoznaki przyciemnili żółte i tak zostało. Stonkę trochę przypominało. No ale mieli przyczepione. Czasem do anten, ale najczęściej z tyłu do haków holowniczych. Niby o bohaterstwo szło, ale dyndało to nieco niepoważne i utyłane. W każdym razie było widać, że raczej za wojną oraz zwycięstwem się opowiadali. Z. powiedział, że w ramach sojuszniczego wsparcia powinniśmy przyczepić sobie niebiesko-żółte. Przypomniałem mu, że jedziemy na polskich blachach, i to powinno wystarczyć. Ale nikt na nas nie trąbił, z południa niosła się cisza i byliśmy skazani na własną wyobraźnię. Zresztą co było sobie wyobrażać: Ruscy znowu walczyli. Jak zwykle nie mogli usiedzieć na miejscu. Nie mogli się zdecydować co do przebiegu własnych granic. Trudno im się dziwić, bo dziwne mieli te granice. Niejasne. Właściwie nie można się było oprzeć wrażeniu, że od siedmiuset lat pełzną i się rozprzestrzeniają. Z płamki Księstwa Moskiewskiego wielka płachta się zrobiła. Jakby się coś po cichu wylało i ani się obejrzyysz, już skapywało z krawędzi

kontynentu. Nikt nic nie zauważył i larum nie podniósł. Bo niby kto miał podnieść? Chantowie i Mansowie? Nieńcy i Sepulkowie? Telengici, Teleuci, Tolofarzy, Tubalarzy i Tuwińcy? Może i podnosili, ale nic nie było słycać. A teraz raptem krzyk się zrobił o jakiś Krym. Wcześniej nikt się nie odzywał. Afganistan? To przecież komuniści zrobili, a komunistów już nie ma, więc miało być powszechne oświecenie, postmodernizm, ścieżki rowerowe, prawa zwierząt i mniejszości oraz koniec historii zamiast parowozu dziejów. Ale znowu nie wyszło. Jak z końcem komunizmu, którego jakoś nikt na Zachodzie nie przewidział. Bo nie chciał. No bo w gruncie rzeczy to źle było? Demokracja demokracją, ale Ruscy pół świata za ryj trzymali, paszporty leżały w urzędach i wschodnia hołota liberalnej cywilizacji nie zanieczyszczała, nie spała po parkingach, szyb na skrzyżowaniach nie myła, nie łowiła w parkach karpi ani nie łapała łabędzi w charakterze drobiu. Mamy już swoich czarnych i brązowych. Na chuj nam jacyś Azjaci z Polski albo Czechosłowacji? Na kiego nam najeżdźcy z „pasa ludności mieszanej”, który w mojej ojczyźnie zwykliśmy nazywać „międzymorzem”? No więc nie przewidzieli, bo nie chcieli. Ale ja nigdy nie dowierzałem Zachodowi, dlatego teraz zbliżaliśmy się do Woroneża.

Jerofiejew, Wiktor, nie Wieniedikt, powiedział mi parę lat temu:

– Do Rosji? A proszę cię bardzo, tylko nie do Moskwy, nie do Petersburga. Ze wsi jesteś i sobie nie dasz rady. W pizdu jedź, w głąbinku.

No to jechałem. Woroneż miał jednak ponad milion i ominąć się go nie dało. Żadnych znaków albo jakieś same oblatze, powyginane i zarośnięte, bo dużo zieleni mieli. I zdaje się nic starego. Socrealizm raczej. Wieżyczki, iglice, pilastry. Chciałem popatrzeć, ale trzeba było uważać, bo ze trzy albo cztery pasy, a żadnych linii. Nerwowa płynność ruchu. Światła mniej więcej jak znaki. Kolory zbladły i wszystkie paliły się na rudawo. Nerwowo sobie przypomiinałem, że czerwone na górze, zielone na dole. Albo odwrotnie. Chyba Z. prowadził, ale i tak deptałem podłogę w poszukiwaniu hamulca. Jeździłem kiedyś po Stambule i to było coś podobnego, tylko auta starsze. Spaliny unosiły się w upale. Osiołek jak jechał wolno, to mu klima trochę siadała. Trzeba było otwierać okna. Odurzająco pachniało Rosją. W głowie się kręciło. Diesle waliły na czarno, benzyniaki na niebiesko. Na jakiś bazar się wpakowaliśmy. Trąbienie, kraciaste pakuny na dachach, tragarze, taczki, Cyganie, Tatarzy już jacyś albo inni koczownicy, w poprzek jechali, pod prąd, tyłem. Aż chciało się wysiąść i zostać. Zagrać w trzy karty, kwasu popić, kurzem się zaciągnąć. Ale trzeba było jechać. Krzyczeliśmy przez okna, każdy w swoją stronę. Z. zaczynał od „izwinitie”, a ja się darłem „Kak w Saratow?”, bo się bałem, że nam w dupę wjadą i jeszcze poprawią za te wraże blachy. Ale wszyscy tłumaczyli:

– Pierwyj pieriekriostok, wtorej pieriekriostok, zaprawka, czetwiortyj swietofor, diesiatyj swietofor, kolco...

Chcieli dobrze, tylko miasto mieli skomplikowane. Po godzinie znowu byliśmy na bazarze. Z. cierpliwie „izwinitie”, a ja już tylko wrzeszczałem:

– Piździec! Ani tabliczki! Karaoke! Piwo Staraja Kriepost’! Sex shop! Cała blacha na czołgi poszła! Jedź przed siebie, to w końcu gdzieś wyjedziemy! Niechby i w Kursku, a potem polami!

No i jakoś się wydostaliśmy. Zobaczyliśmy zardzewiałą blachę przybitą do drzewa: „Saratów 530”. Górą szła wielopasmówka. Byliśmy w domu. Zaczęło się zielsko i topole.

A plany miałem ambitne. Chciałem zajechać do Jamskiej Słobody. To kiedyś było wschodnie przedmieście Woroneża, ale miasto je wchłonęło. Chciałem zajechać, bo tam urodził się Andriej Płatonow. Z pielgrzymką znaczy. Ponieważ nie można myśleć o Rosji, nie myśląc o Płatonowie. O jego szalonej głowie i gorącym sercu. Był specjalistą od melioracji, który wierzył, że nadejdzie czas, gdy wszyscy dawni ludzie powstaną z martwych. A inżynieria, melioracja, elektryfikacja i w ogóle nauka będą miały w tym udział. No i chciałem odnaleźć Osadę Pocztylionską, gdzie w latach jego młodości w niedzielne popołudnia w ramach rozrywki walczone na pięści przysiółek na przysiółek, walczone w

ciszy, zapamiętaniu, aż po śmierć tego czy owego. Ponieważ innych rozrywek nie było. A dzieci bito tylko w jednym przypadku: gdy zniszczyły coś z nędznego dobytku gromadzonego przez pokolenia. Szklanek, dzbanek, cokolwiek. I kiedy do Jamskiej Słobody dotarł wreszcie komunizm, młody Płatonow odkrył, że oto być może nadciąga wybawienie. Że ciężki bezmiar świata uwolni ze swojego wnętrza wszystkich zmarłych w zapomnieniu i udręce. Że ruski i wszechświatowy Lewiatan w końcu zdechnie i jak mówi poeta, śmierć utraci swoją władzę. Bo przecież wszyscy żywi są dłużnikami wszystkich zmarłych. I winni są im wskrzeszenie. Mój Boże! Tylko tutaj ktoś mógł wpaść na taki pomysł. W tym równinnym bezkresie, nad którym pastwiły się upały, susze, deszcze i mrozy, a bezlitosny kosmos nieustannie pochłaniał wszystkie próby ocalenia. Zagłada spadała jak czarna noc. Na chatynki, chałupinki, na skorupki domostw i zostawało zielsko. I ludzkie ciała pod ziemią jak drobiny kości i mięsa ciśnięte między oceany.

– A na chuj wy tu się w ogóle wybraliście? – chciałoby się zapytać.

– A niby dokąd mieliśmy iść? Na zachodzie już wy byliście z tymi swoimi papieżami, Rzymem i porządkiem. Ciasno, bez przerwy coś widok zasłania, jakieś języki obce, granice, że koni wolno nie puścisz. Na wschód poszliśmy.

– Ale się za wielki okazał?

– Ano trochę za wielki. Wolność w niewolę się zamieniła. Można rzec, że stękamy pod bezmiarem jak pod batem. Człowiek za mały jest do życia w nieskończoności. Wychodzisz rano na próg i widzisz, że Ziemia się zakrzywia. Kulistość jej widzisz.

Więc pewnie i Płatonow to widział: że nie ma szans, jeśli nie nadejdzie radykalna zmiana. Że śmierć zachowa władzę nad wszystkimi pokoleniami, jeśli ludzkość nie zjednoczy swoich sił. Miłośnik mechanizmów, silników, maszyn parowych, pomp melioracyjnych, dwusuwów, czterosuwów, iskrowych, diesli i elektrycznych, kardanów, przegubów kulowych, przekładni zębatych, pasowych i łańcuchowych, sprężania i rozprężania, zamiany energii cieplnej w mechaniczną był mistykiem nauki. Wierzył w tablicę Mendelejewa, której odpowiednia konfiguracja miała złamać kod nieśmiertelności.

Ale nie odnalazłem Osady Pocztyliońskiej. Spieszyliśmy się. Mogłem sobie tylko wyobrażać to wszystko. A gdzież się marzy lepiej niż za kierownicą, jadąc przez pustkowia, na których rośnie piołun. Po lewej od szosy leżało osiedle Bezbożnik. Tyle zostało z czasów, gdy młody Płatonow pragnął wieczności dla wszystkich żywych i umarłych.

*

Prowiant uzupełniliśmy w Annie. Cóż można powiedzieć o tym mieście? Wzdłuż pustawych ulic stały długie, niewysokie bloki z szarej cegły. Rosły siwawe topole. Przy głównej ulicy przycupnęła policyjna łada, ale gliniarze nawet nie łypnęli w naszą stronę. Niewidzialni byliśmy z jakiegoś powodu. Za to gruby facet w kasie samoobsługowego popatrzył zdziwiony i zapytał, czy coś tu zgubiliśmy. Nie wiedziałem, co odpowiedzieć.

– Podoba mi się Rosja – odrzekłem z poczuciem, że nie mówię całej prawdy.

Ale z tyłu ustawiała się już kolejka, więc nie było czasu na pogłębioną dyskusję. Zebrałem nasze sery, kumys w kartonie i śledzie. Kasjer życzył nam szczęśliwej drogi i powrócił do rachunków oraz rozmyślań nad tym, że Polacy muszą być dziwni. Znowu szczęśliwie przejechaliśmy obok radiowozu. Już sobie wyobrażałem, jak migam się od wziętki i tłumaczę, że jestem rusofilem, Krym zawsze był rosyjski, a ja, odkąd pamiętam, marzyłem, żeby przyjechać do tej dziury.

W ostatnich latach coraz częściej wyobrażałem sobie, że mógłbym być Ruskim. Albo że wszyscy Polacy są Ruskami. To mnie prześladowuje, a może i kusi. Oczywiście w naszej sytuacji powstaje pytanie,

dlatego by nie Niemcem. No ale to się jednak nieco nieatrakcyjne wydaje. To tak jak z prymusem w klasie: niech da ściągnąć, odpisać, niech podpowiada, ale żeby się od razu kolegować, to raczej nie. Z przerośniętym drugorocznym jest inaczej. Wie więcej, nikogo się nie boi i chodzi własnymi drogami. Więc zastanawiam się nad byciem Ruskim. W sensie osobistym oraz ogólnonarodowym. Znaczący nad zdradą się zastanawiasz!? Od razu „zdradą”. Tu niby „zdrada”, a gdzie indziej nikt by nawet nie zauważył. Na świecie znaczący. Jak nas w Jałcie sprzedawali, to myśleli, że swój do swego idzie, i nikt się nie zdręczał księdzem Skorupką, Piłsudskim ani Matką Boską. No to czasem se myślę, czy przez wzgląd na mogiły bohaterów tak się tej polskości nie trzymamy. W tej ciasnocie. Zrobisz siedemset dziennie i oczy ci krwią zachodzą od wypatrywania ubranych na czarno rodaków na rowerach przed północą w okolicach popularnych imienin. I ta loteria: zabudowany, niezabudowany? I ta neuroza: suszarka, stacjonarny czy przenośny w rodzaju niewielkiej pralki gdzieś w kukurydzy na przedmieściu? A tu jednak dzicz i pustka. Jedziesz i czasem płacisz łapówki. To jest jednak prostsze. Zresztą Dostojewski został Ruskim, Potiomkin został, Chodasiewicz. Źle na tym nie wyszli. Zruszczenie to jednak droga do światowej kariery. A myśmy niby niezawisłość wywalczyli, Tuchaczewskiego pokonali, ale Rosja jak była, tak jest. Nieco się cofnęła, ale jak widać, nie za bardzo. I nawet nie możemy podskoczyć, bo Europa nie pozwoli. Interes przed oczy stawia, do umiarkowania nawołuje i się boi, żeby jej ogrzewania nie wyłączyli. Ale to nie jest podniecająca perspektywa z tym ogrzewaniem oraz wzrostem praw i dobrobytu. Raczej ślepy zaułek. Tam ludzie giną, Donbas w ogniu, Ukraina krwawi, a Europa „wyraża zaniepokojenie”. Że jej ciepłą wodę odetną. Jak wejdą do Białegostoku, żeby się upomnieć o mniejszość białoruską, to też wyrazi. Więc to ciągle oglądanie się na innych: wejdą, nie wejdą, zaniepokoją się czy nie, przyślą trzy, cztery samoloty albo nie przyślą. Jestem zmęczony. Chciałbym od tego odpocząć. Od tego wyglądania, oczekiwania oraz tradycyjnego rozczarowania. Zostałbym Ruskim i miał to wszystko w dupie. Przez ostatnie dwadzieścia pięć lat zakosztowałem wolności i wystarczy. Głównie to było merdanie ogonem i czekanie, czy cię pochwalą, że już spełniasz warunki. O, w takim Archangielskoje mają cerkiew na prawo od szosy. Gustowna, jasnobrązowa, zielona wieża, duża złota kopuła i parę mniejszych. Zajeżdżam, wysiadam, idę do batuszki. Wita mnie bez wylewności, brodę gładzi.

– Ochrcić się przyszedłem – mówię – i do wiary prawosławnej przystąpić.

– A co cię tak wzięło? – zapytuje.

– Wolność mi zbrzydła i chcę pod jarzmo.

– Dobrze robisz, synu. Z wolnością jeszcze nikt nie wygrał.

– Tak właśnie zacząłem ostatnio podejrzewać, proszę ojca. Nie da się. Na skutek wolności raz za razem w niewolę się popada.

– Święte słowa. A powiedz mi, synu, skąd cię Bóg prowadzi? Z akcentu wnoszę, żeś Słowianin. Byłbyś bezbożnym Czechem?

– Niestety nie. Przybywam z niezwykle religijnej Polski.

Wzniósł oczy do nieba i westchnął.

– Zaiste wszyscy Polacy w swoim pogaństwie chrztu potrzebujecie.

– No z tym pogaństwem to nie wiem... – próbowałem bronić siebie i swój naród zarazem.

– A Ioann Pawieł Wtoroj? On zaś nie cielec pozłacany? Nie namaszczony przez wszechświatowy kapitał w celu pogięcia świętej Rusi?

– Przez konklawe... – próbowałem prostować.

– Całe to konklawe siedzi w kieszeni światowego kapitału, synu.

– Proszę ojca, nie wiadomo do końca, kto u kogo siedzi...

– Ale święta Ruś na skutek jego knowań została pogięta.

– Przecież to był Związek Radziecki.

– Święta Ruś, mój synu, może się nazywać, jak chce – powiedział i wzniósł oczy do nieba, jakby czekał na potwierdzenie. Widać nadeszło, bo ciągnął: – Mógł Pan posłać Batu-chana, by Ruś swoje grzechy odcierpiała, mógł posłać i bezbożnego Lenina. Z niewoli mongolskiej rozkwitło Księstwo Moskiewskie i w Trzeci Rzym się przemieniło. W co się bezbożne carstwo przemieni, jeszcze do końca nie wiemy, ale grzechy swoje Ruś odkupiła i tak czy siak przewodzić będzie światu.

– To mi właśnie przyszło do głowy i dlatego skręciłem. Moja ojczyzna nigdy nie będzie i trochę mnie to zmęczyło.

Popatrzył mi w oczy ze współczuciem i powiedział:

– Ja cię rozumiem. Ale od czasów Katarzyny wam to powtarzaliśmy, a wy nic, tylko ta wolność i wolność. Jaka może być wolność między nami a Germanią? No jaka? To nie jest wolność, tylko pech. Tak.

Podrapał się w głowę, spojrzął na zegarek, a potem pokazał palcem na brudnego zielonego szerszenia.

– A tamten nie chciałby się ochrzcić?

Z. ze spokojem patrzył w przestrzeń.

– Nie sądzę. Ale mogę zapytać.

Zawołałem, czy chce, ale Z. pokręcił tylko głową. Rozłożyłem ręce.

– No dla jednego to nie będę otwierał – powiedział batuszka. – Posprzątane już, podłoga przetarta. Ryzyko w ogóle jest z wami. Ochrzczę, a odstąpicie. Niebieskie bramy uchylę, a wy i tak cichcem do tego swojego Iwana będziecie się modlić.

Zrobił zrezygnowany gest i chciał odejść, ale zatrzymał się jeszcze na chwilę.

– Będiesz tędy wracał, synu?

– Za jakieś dwa miesiące.

– To przemyśl sprawę i jak ci nie przejdzie, to zajrzyj. Nie można się zruszczyć tak hop-siup. A teraz adieu.

No to pojechaliśmy nieochrzczeni na ten Saratów.

Bo jakieś nazwy przecież muszą być. Nie da się jeździć w czystej przestrzeni. W każdym razie nie da się o tym potem opowiadać. Można tylko zazdrościć jeźdźcom z przeszłości, którzy wynurzali się zza horyzontu, rozbijali obóz i mówili:

– Nazwiemy to miejsce Żółta Góra.

Potem jechali dalej w głąb czystego pejzażu i nadawali imiona rzekom, dolinom, wzgórzom, żeby się nie pogubić w drodze powrotnej. Tak było w dzieciństwie: wychodziłeś z domu i były tylko kształty i kolory. To dorośli mieli wszystko jakoś ponazywane, żeby się nie pogubić w życiu. Dobre i złe miejsca. Cudze i własne. Z całą tą historią, zdarzeniami, z pułapkami i ocaleniem, granicami, najazdami, ucieczkami, nędzą i bogactwem. Spaprany krajobraz. No i się jeździ. Z Kudowy do Grębkowa. Z Kutna do Gródka. Z Kosz-Agacza do Sary-Tasza. Z Siedlec do Irkucka. Z Pucka do Ustrzyk. Z Brańska do Srańska. Z Wołowca do Saratowa. Żeby na mapie dało się przeczytać. Dopiero jak powiesz: „W Srańsku byłem, w Saratowie”, to wszyscy: „Aaaaa, w Srańsku!”. Cel się liczy. Jak u tego szczyła na granicy. I żebyś jeszcze szczególną i ogólną sytuację naświetlił oraz przytoczył barwne opowieści z życia miejscowych ludów, tak żeby był koloryt plus uniwersalne wartości. Tak sobie elektorat wyobraża. Że po to się jeździ. Żeby im nudę odganiać. Sraczkę masz, pocisz się, dupa cię boli, a oni chcą, żeby ich zabawiać, bo na tiwi to już są za inteligentni i trzeba im prawdziwej prawdy. Żeby mieli edukacyjnie odhaczone. A tu ni chu-chu. Gorąco jest, duszno, psiarnia się czai, znaków nie ma i tylko ta tania benza poprawia humor. Daleko jest i w gruncie rzeczy donikąd. Przestrzeń się przesuwająca. O karoserię ociera, a jak okno uchylisz, to i na ciele czuć. W głąb się jedzie. Żeby się rozstępowało i zaraz zasklepiało. Prawie nic się nie da o tym opowiedzieć, a z jakiegoś względu nie można się od tego uwolnić. Nieskończoność,

którą się żywi licznik kilometrów. Energia termodynamiczna rozpylona w kosmosie. Ssanie, sprężanie, praca, wydech. Jedyńka, dwójka, trójka, czwórka. Tankowanie. Sprawdzić olej. Szukanie spania. Jak już się zrobi całkiem pusto, to namiot. Najlepiej automat, co się sam rozkłada. Tylko parę szpilek trzeba wbić i dwie linki naciągnąć. Nad jakąś rzeką bez nazwy. Za wzgórzem, żeby nie wiało i nie było widać. Albo tylko w śpiworze na karimacie, jeśli nie ma węży ani skorpionów. Kilka piw przed snem. Chińska zupka z baranią tuszonką. Można patrzeć, jak zachodzi słońce, jak czernieją góry, i słuchać, jak cichnie wiatr. Woda w rzece jest zimna, że aż się nie chce garnków myć. Lepiej zostawić do rana. Woda nie będzie cieplejsza, ale w nocy może przyjdzie jakiś stwór i wyliże. O świcie jest chłodno i przydają się dwa śpiwory. Nic nie słysząc. Jakieś złudzenie czasem dociera do uszu. Żeby coś usłyszeć, trzeba samemu wydać dźwięk. Przekręcić się z boku na bok. Żadnych samolotów w górze. Żadnych aut aż po jaśniejący wolno horyzont na wschodzie. W ogóle nikogo. Tylko tabargany, te ich świstaki, powoli wychodzą ze swoich nor na żer.

No ale żeby dostać się do tego wszystkiego, trzeba było przez Rosję. Bo jak inaczej? Przez Iran tylko. A tam każą wywalić circa trzydzieści tysięcy złotych na kaucję, że się niby nie pozbędziesz auta za sto pięćdziesiąt milionów ichnich riali. A z kaucjami w Iranie, sami wiecie, różnie bywa.

Więc tylko przez Ruskich, żeby dotrzeć do tych piachów, skorpionów, węży i wysuszonych wielbłądzich górien. Tylko tak. Przez ten kraj, przez jego nazwy. Przez Listopadowkę. Przez opętaną historię. Nie ma zmiłuj. Do Borisoglebska. Psiarnia stała w lesie przy stacji benzynowej. Potem przez rzekę Woronę. Most był w remoncie i puszczali na przemian. Cwaniacy wciskali się na przód kolejki. Zupełnie jak u nas. Te same zacięte gęby bez wyrazu. Trzy minuty to był zysk. Nie znali niczego paza łupem albo stratą. I o to walczyła Maria Spiridonowa? W 1906 roku postrzeliła na tutejszym dworcu gubernatora Łużenowskiego. Dostał pięć kul i zmarł parę tygodni później. Wyglądała na szesnastolatkę w okularkach i ochrona ją przeoczyła. Chciała się potem zastrzelić, ale nie zdążyła, bo ją kozactwo z eskorty dopadło. I co, Spiridonowa? Naprawdę myślałaś, że wam, znaczy się eserowcom, uda się zmienić ten kraj? Ten kawał ziemi wielki jak ocean? Że to się da ruszyć i zmienić w miejsce do życia? Tych przedwiecznych chłopów w łapciach zbawić? Wolność i elektryczność po wsiach guberni tambowskiej zaprowadzić? Muzyków z imperialnego Egiptu wywieść do ziemi obiecanej, gdzie alienacja rozwieje się jak poranna mgła? Elektryczność jest. Płatonow dociągnął. Lud się wieczorami lampi na człekopodobne stwory i je naśladuje, wpierdalając się w ramach wolności na przód kolejki. Na chuj było strzelać gubernatora? Niechby wszystko zostało po staremu. Kozacy by cię nie zgwałcili, komuniści nie zamknęliby w psychuszce i potem nie rozstrzelali w lesie pod Orłem, a koniec końców telewizor miałby każdy. I co drugi furę do zajeżdżania drogi innym. Może jakbyś nie strzeliła, toby nie było Lenina ani Stalina? Całej bolszewii by nie było, która zadowolona się jedynie elektrycznością? Tak sobie w duchu rozmawiałem ze Spiridonową, stojąc w korku i ucząc się na pamięć, że obwód woroneski ma na blachach 36. Ale nie pojechaliśmy na dworzec złożyć kwiatów pod pamiątkową tablicą. Dworzec mieli bardziej na południe, a my zostaliśmy w centrum, bo tam był hotel o nazwie Borisoglebsk. Z czerwonej cegły, w starym stylu, chyba z mosiężnym szyldem, z altanką i żeliwnymi ławeczkami w kształtach nawiązujących do jakiejś minionej, szczęśliwej epoki. To znaczy do początków ubiegłego wieku. W recepcji siedziała pani o wyglądzie dojrzałej Spiridonowej, to jest nauczycielki przed emeryturą. Przemówiła do nas, jak pan Bóg przykazał: po niemiecku. Tak, mieli pokoje. Zapytaliśmy, czy możemy obejrzeć. Nacisnęła klawisz i na plazmie w holu wyświetliło się eleganckie wnętrze. Pop-art i technicolor.

– Da, da, bieriom.

Daliśmy paszporty. Szefowa zaczęła je przeglądać z urzędowym namaszczeniem. Paszport Z. odłożyła na bok, a na mnie popatrzyła ostro.

– Eto ukraińska rodzina – powiedziała.

No tak. W kraju mogłem robić za Ukraińca, w Niemczech to nawet z przyjemnością, ale tutaj? Zawahałem się. Zaczy stchórzyłem. Zdradziłem ukraińskich przyjaciół.

– Rodzina może i tak, ale serce polskie – odpowiedziałem dyplomatycznie.

Poprawiła okulary i bez przekonania pokiwała głową. No tak. Nie tutaj powinienem być. Powinienem być w Donbasie i słać doniesienia. Minionej zimy powinienem być na Majdanie. Napisałem wtedy do Jurka: „Co słyszeć?”. „A nic – odpisał. – Idę właśnie kupić sobie jakiś hełm, bo się gorąco robi”. Poradziłem mu jeszcze, żeby o butach pomyślał. Wysokich, sznurowanych. Można i kopnąć, i wiać przez jakieś gruzowiska. No ale ani tam, ani tam nie pojechałem. A teraz lałem w głąb cielska, które chciało nas wszystkich pochłonąć. Wiedziony zapewne instynktem samozagłady, chociaż uważałem, że to ciekawość. Pełzłem w stronę odwłoka. Powtarzając sobie, że trzeba to wszystko zobaczyć, chociaż niewiele było do oglądania. Wciąż to samo: bezformie, które musiało się rozprzestrzeniać, żeby nadać swojemu istnieniu sens. Nie czekałem, aż nadejdzie. Sam się wybrałem. Jak ćma do czarnego światła. Tak. Powinienem siedzieć pod jakimś Mariupolem i alarmować świat. Ale świat i tak miałby to w dupie. Siedzieć z Tarasem, Jurkiem i Serhijem i powtarzać, że wszystko będzie dobrze? Że Europa nie zapomni, gdy tymczasem zapomniła, zanim się w ogóle dowiedziała? Bo Europę dalekie strony interesują tylko w kilku przypadkach: tanie plaże, tanie loty, tanie dymanie, tania ropa. Tylko to. Może ze wstydu się wlokłem coraz dalej na ten wschód. To zawsze lepsze niż siedzenie na tyłku i czytanie gazet. Albo ze strachu. Tak jak ze strachu poszedłem kiedyś do więzienia. Poszedłem, żeby przestać się bać. A może siedział we mnie Ruski i naprawdę po dwudziestu pięciu latach wolności miałem jej zwyczajnie dość? No i chuj, pomyślałem.

W pokoju waliło. Za pośrednictwem ekraniszcza nie sposób było tego stwierdzić. Waliło jakąś chemią. Klejem, farbą, gumoleum. Po remoncie. W oczy szczypało. Poszliśmy na dół coś zjeść. Cztery panny stały za kontuarem i się chichrały. Na nasz widok ucichły, jakby zobaczyły duchy. W telewizorze leciała wojna. Czyli rozpacz cywilów: babcie w chustkach, faceci w dresach, wystraszone dzieci, załamywanie rąk i lamenty. Zupełnie jak parę lat temu w Czycie i Zabajkalsku, gdy weszli do Gruzji. Na dole przesuwiał się wtedy bez przerwy pasek z komunikatem „katastrofa humanitarna”. Teraz też – nic, tylko cierpienie ludności cywilnej na skutek inwazji banderowców. Nikt nie oglądał, bo nikogo nie było. Produkowali to gdzieś w Moskwie i wysyłali w świat. Do Jarosławki, do Jurłowki, do Riazanki, do Uwarowa, Uriupińska i Żerdiewki, do Pigari, Altaty i do Kijewki. Tam siedzieli ludzie w drewnianych chałupach i czekali. Nie mieli nic innego. Krowę, warzywniak, stare żiguli i tyle. Na kierownicach czarnych rowerów wozili plastikowe torby. Na bagażnikach niebieskie butle gazowe na wymianę. Potrzebowali czegoś w rodzaju wiary. Wszyscy potrzebujemy. Moskwa im to wysyłała. A Warszawa niby lepsza? Śle zapewnienia, że im będziemy głupszy i więcej se nakupimy, tym będziemy szczęśliwsi. Nie widzę wielkiej różnicy. Zresztą od 1984 roku nie mam telewizora. Jak wtedy tamten się zepsuł, to przykryliśmy go z koleżanką jakąś serwetą i służył za stolik pod flaszki i zakąski. Więc nie jestem ekspertem, ale czasem gdzieś zerknę i takiej ilości przygłupów jak tam to nie ma nigdzie. W ogóle nie wiesz, o co chodzi. Tu, w Borisoglebsku, mieli przynajmniej jasny przekaz: „Zachód chce nas wydymać i musimy się bronić”. Ludziom pewnie pomagało. Co za różnica, jaką wodę masz w mózgu? W każdym razie jedzenie było beznadziejne. Popiłem wódką. Niby mieli z lodówki, ale zanim przynieśli, to się po drodze zrobiła ciepła.

Motoryzacja to byli wujkowie. Albo ten od lublina, albo drugi, który służył w komandosach, czyli czerwonych beretach. Miał metr dziewięćdziesiąt wzrostu i był czarny jak Włoch, Hiszpan albo wielki Rumun. Wrzucaliśmy do rzeki wojskowe petardy i patrzyliśmy, czy ryby wypływają. Takie były czasy. Najpierw jeździł junakiem z koszem. Pamiętacie ten gang: niski, powolny, dudniący, bestialski taki? Nic

tak wtedy nie brzmiało. Może ruski dnier, ale to był boxer i rzadko się widywało. Trzysta pięćdziesiąt centymetrów, siedemnaście koni, czterosuw. Z dala było słycać, że to on. Jakby spod ziemi jechał. Powietrze drżało jak w kościelnych organach. Jasne, że się psuł. Wuj chodził usmarowany. Miał czarne paznokcie. Wszystko się wtedy psuło, ale mechanizmy były ludzkie. Mniej więcej każdy mógł się nauczyć, jak co działa. Rozkręcałeś i składałeś. Czasem coś zostawało, ale i tak dawało się odpalić. Blok, gaźnik, pompa paliwowa, prądnica albo alternator, aparat zapłonowy, szlachetna prostota. No więc wuj dłubał. Zawsze ciągnęło od niego cudnym zapachem smaru i niebieskiej benzyny. Potem miał kilkunastoletnią ifę F8 i chyba drugą, z której przekładał części. A jeszcze potem enerdowskie P70 z szarego duroplastu. Z kierownicą jak kołowrót od studni i tą czaderską klamką do zmiany biegów pośrodku deski rozdzielczej, z której sterczały też gałki przełączników i cięgieł w kolorze starej porcelany, chociaż były z plastiku. Z rury snuł się błękitny dym. Wtedy wydawało mi się, że dwutakty pachną piękniej niż czterotakty. Do tej pory gdy przejeżdża motorower albo starawy motocykl, wciągam nosem powietrze. Tak. P70. Dwa cylindry, niecałe siedemset centymetrów i dwadzieścia dwa konie. Pojemności dwa razy tyle co junak i tylko parę koni więcej. Brązowy skaj na siedzeniach. W środku wyglądało to jak jakiś kuchenny kredens. No ale jechało. I cywilizowało automobilowo całą rodzinę, bo nikt więcej w tej rozgałęzionej chłopsko-podmiejskiej rodzinie nie posiadał pojazdu silnikowego.

Rany! Jaka ta Wołga była wielka! Rozwleczony na wzgórzach Saratów został po prawej. Jechaliśmy nowym mostem. Nie dało się stanąć, ale i tak była wielka. Jak Amazonka jakaś. Rozlewała się, rozpląwała na boki, wyciekała z głównego nurtu, bagnała po brzegach. Wysp, kęp i łąch bez liku. Zwłaszcza w górze biegu, po lewej. Z. prowadził, a ja pstrykałem olympusem, chociaż bariereki zasłaniały. Nigdy nie widziałem większej rzeki. W ogóle chyba mało widziałem. Z dziesięć kilometrów szerokości mogła mieć. Ale most w dość wąskim miejscu przerzucili i zaraz byliśmy na drugim brzegu. W mieście Engels. Saratów był za duży, ale Engelsa postanowiliśmy zwiedzić. Na placu Lenina odbywał się festyn. Zaparkowaliśmy i poszliśmy się bawić. Psiarnia przeszukała nas przy wejściu, czy nie mamy broni. Porządne państwo dbało o bezpieczeństwo. Widać cień Kaukazu i Bandery sięgał nawet tutaj. Impreza dopiero się zaczynała i estrada była jeszcze pusta, a muza leciała z głośników. Zwykle elektrodisko z ruskim tekstem. I mundurowych do oporu. Na służbie i nie na służbie, z pannami i na przepustkach. Nawet paru matrosów. Dziewczyny prawidłowo w lajkach albo na goło, ale dziesięciocentymetrowy obcas obowiązkowo. Trzymały się mocno ramion chłopaków, bo trotuar dziurawy, jakby batalion ciężkich czołgów przejechał. W sumie nic ciekawego, więc postanowiliśmy poszukać jeszcze Wołgi, bo nam mało było. Trafiliśmy na jakieś parterslamsidla. Dzieciarnia patrzyła ciekawie. Tutaj rzeka trochę spuściła z tonu i miała może ze dwa kilometry. Była zielona. Sunęła wolno i gęsto. Snuliśmy się w dół biegu. Szukaliśmy chyba jakiejś legendarnej otchłani, z której się ruskość dobywa. Jakiejś mitycznej arterii, która ożywia i syci tę nieogarnioną ziemię. Horyzontalnego axis mundi ruskiego wszechświata wyglądaliśmy. A tu po lewej było stojące bajoro zwane Sazanką. Chałupy stały przy samym brzegu. Na wersalkach siedzieli faceci w podkoszulkach. Pili piwo i tłukli komary. Po prawej miała być rzeka, ale ciąg bud, blaszaków i żelaznych płotów nas od niej odgradzał. Szczekały psy. Ani dojsć, ani dojechać nad matkę rzek. Jakies glosy bylo slycać. Dziecięce, kobiece, ale wszystko odcięte żelastwem i drewnem od świata. Spojrzeć się nie dało. Jechaliśmy jak w jakimś korytarzu albo blaszanym labiryncie. Tak żyli, tak odpoczywali. Czuć było dym z ognisk i grillów. W gorącym bagienym powietrzu pachniało kiełbasą.

– Jedźmy już do tej Azji – powiedział z westchnieniem Z.

– Jedźmy – odpowiedziałem.

„Wiedziałem, kurwa, że to się tak skończy”, napisał mi parę lat temu Pilch. Wcześniej wysłałem mu mejla, że lecę do Irkucka. Że w ogóle do Rosji. Ale ja nie wiedziałem. Nie spodziewałem się. Snułem się

po ciasnych bałkańskich zadupiach i mi wystarczało. Tutaj ruinka, tam ślad po czystkach, spalony transporter, uwaga miny, cygańskie zabytki i melanco strefy umiarkowanej. Naród o mołojecką sławę w neoliberalnym świecie walczył, a ja kontemplowałem krowie gówna w Transylwanii. Nakremowany elektorat czartery wypełniał, a ja powtarzałem: Ni chuja. Zagłada materii się liczy. Ile byście sobie kremu nałożyli, cywilizacyjnego botoksu wstrzyknęli, to i tak trupi czerep zostanie. Trzeba mieć honor i godność, żeby to przyjąć. Ponieważ człowiek został stworzony jako istota heroiczna, a nie jakiś piździelec. Naród się małpił do światowego zwierciadła, a ja powtarzałem w duchu: I tak zdechniecie, własną śmierć przeoczywszy. Tak mi schodziło. Ale żeby do Rosji się wybrać i doświadczyć prawdziwej zagłady, to mi do głowy nie przyszło. Dziwna sprawa. Kraj był pod bokiem, niby znany, powszedni, niemal jak własny, a zarazem na innej planecie. W innej strefie. Nie jeździło się. Bo po co się wybierać w czarną przeszłość, jak się powinno w przyszłość świetlaną?

Do Paryża do Luwru albo do Tunezji pod palmę. Rosja leżała martwa. To znaczy tamta stara. Nowa miała być trochę podobna do nas, więc żaden szal. Miała tylko przeprosić i obiecać, że już nigdy więcej. Byłem jak dzikus. Leciałem Aerofłotem do Irkucka i się dziwiłem, że obsługują stewardesy, a nie tresowane niedźwiedzie. W 2010 roku spadł ten nieszczęsny samolot, więc powinienem siedzieć na dupie. Ale nie, latem powlokłem się od mongolskiej granicy Czujskim traktem. Siedziałem tydzień w Nowosybirsku, gdzie zaczynała się jesień i lał lodowaty deszcz. Potem wsiadłem do samolotu i fru do Moskwy. Właściwie to dopiero po Smoleńsku zrobiło się ciekawie. Polecieli i się zabili. Mogli siedzieć w domu. Ale nie. Polecieli jak ćmy. Jak lemingi poszli. Na terytoria zagłady. Nie mogli się powstrzymać. Jakby tam jakiś trupi magnes był zakopany. Powtarzali starą wędrówkę w poszukiwaniu śmierci. Tym razem dobrowolnie. Tak im się wydawało. Że niby żałoba. Guzik prawda. Ciągnęło ich. Za chuja by się nie przyznali, ale ciągnęło. Tylko że się wstydziło powiedzieć albo i nawet pomyśleć. Przed sobą się wstydziło. Bo oficjalna wersja była: Azja, barbaria, Tataria, Temudżyn, Tamerlan i na dokładkę Tuchaczewski, wyjątkowo na skutek maryjnej interwencji odparty. Ciągnęło jednak, bo tam jakiś sens był. Czarny, bo czarny, ale sens. Czerepy i piszczele, lecz przynajmniej ktoś się nami interesował, ktoś traktował poważnie. Duma i wzgarda. Chwała i klęska. Należeliśmy do tamtych ziem jak do własnych, a one należały do nas. Tam był mit, tam biło ciemne źródło. No więc ciągnęło i polecieli się zabić. Bo po co innego? A zresztą niby gdzie mieli lecieć? Do Brukseli? Szukać śmierci w tych korytarzach, po których snuli się jak podrzutki? Nic tam nie było. Ani kosteczki, ani wspomnienia, a tragedii tyle co w teleturnieju. Więc wsiedli do postsowieckiego paździerza i już. Ponieważ jak ginąć, to od rzeczy większych i bardziej niezrozumiałych niż my sami.

Pridoróżnyj, Biezymiannoje, Krasnyj Partizan, Zołotaja Stiep', Pionierskoje... Ależ się jechało! Przez te wszystkie nazwy. Nocą. A jeszcze gdzieś w bok było Stieпноje. Wiedzieliśmy, że po drodze nie będzie już nic większego. W głąb nocy się jechało. W głąb ciemności bez końca. Prosto jak strzelił, na wschód. Bez żadnych świateł po drodze. Bez niczego. Opony twardo kłapały o nierówny asfalt. Reflektory drążyły tunel w mroku. Hipnoza. Prosto i prosto, a po bokach nic. Po pięćdziesiąt kilometrów od nazwy do nazwy. W radiu tylko szum. Jakby wiatr wiał. Chciałoby się tak na koniec kontynentu. W baku ubywało. Na liczniku przybываło. Step, step, step. Suche, gorące powietrze. „Nie będzie psiarni”, powtarzaliśmy jak zakłęcie. Setka, sto dziesięć. Bo trochę rzucało, a osiołek przecież nie wyścigówka, tylko do ciężkich zadań. W dodatku kraina z tysiąca i jednej nocy, więc raczej czujnie, bo wielbłąd mógł spać w poprzek, nawierzchnia mogła ulec rozkładowi. Po północy już było i senność nas brała. Biezymiannoje, Krasnyj Partizan, Zołotaja Stiep'... Za Engelsem skończyła się Europa. Teoretycznie niby nie, ale już jakby tak. Gnaliśmy jak pokojowa taczanka. Brakowało mi ogni płonących gdzieś na czarnym horyzoncie.

– Ciekawe, jakie tu mają hotele – powiedział Z. znad kierownicy.

– Tak, bardzo ciekawe – odpowiedziałem. – Mamy namiot – dodałem po chwili.

– A skąd wiesz, gdzie będzie można rozbić?

Popatrzyłem przez przednią szybę. Potem przez boczną.

– Wydaje się, że tu wszędzie jest spokojnie – powiedziałem.

– To teraz tak wygląda – powiedział Z. – ale zbudzisz się rano i nie wiadomo, jak będzie.

Wykonał ruch, jakby szukał szóstki, której w aucie nie było.

– Rano się zwiniemy – powiedziałem.

– Ale w nocy ktoś może przyjść – powiedział i włączył spryskiwacze.

– Tu nikt nie chodzi. Widziałeś kogoś na piechotę?

– Mogą przyjechać. Na przykład jakaś karawana na wielbłądach.

Zmienił długie na krótkie, a potem z powrotem.

– No to zgodnie ze stepowym obyczajem poczęstujemy ich herbatą albo coś w tym rodzaju.

Musiał coś wypatrzeć w mroku, bo raptem z piątki zredukował na czwórkę.

– Nigdy nie spałem z kimś obcym w namiocie – powiedział.

– To nic strasznego. Wchodzisz do śpiwora i zasypiasz – próbowałem zbagatelizować sprawę.

Wrzucił luz.

– Nie lubię spać w namiotach, bo są za małe.

– Słuchaj, mamy trzyosobowy. Nawet ma przedsiónek – powiedziałem obojętnym tonem.

Poruszał dźwignią, jakby skrzynia się wysypała i szukał jakiegokolwiek biegu.

– Nigdy nie spałem w namiocie.

Westchnąłem.

– Przecież umawialiśmy się na początku, że powiemy sobie wszystko.

Czyli co? Trzeba coraz dalej? Żeby się ta dziwna chemia wydzielała, która tak wyostrza spojrzenie, aż się wydaje, że powietrze jest widzialne i można dotknąć przestrzeni? Że wszystko wokół jest tak wyraziste, jakby nikt wcześniej na to nie patrzył? Trzeba coraz dalej i gdzie indziej? Żeby iskrzyły połączenia nerwów? Żeby przeskakiwało na synapsach? Że to funkcja kilometrażu? Że im bardziej się oddalamy w czasie od pierwszych chwil, gdy światło wślizgnęło się pod powieki i na siatkówce zdrztał najpierwotniejszy obraz, tym więcej musimy przemierzyć ziemię? Bo przecież wypala się jasność widzenia. Przygasa ten blask, ta magnezja, która z widzialnego potrafi uczynić nadprzyrodzone. Ponieważ przejechałem milion kilometrów. Ponieważ jestem stary. Starszy niż kiedyś. Niż na przykład wtedy, gdy godzinami stałem w deszczu przy drodze i czekałem, aż ktoś mnie zabierze. Prawie nic ze sobą nie miałem. Przemakającą paczkę papierosów. Przemakającą kurtkę. W torbie jakieś rzeczy. Nóż, skarpetki, koszulę na zmianę, szczoteczkę, ale niekoniecznie. Była noc. Nic nie jechało. Mogło to być Kutno, Konin, środek kraju, środek świata. Tak czułem. Konin, Kutno. Nazwy nie miały żadnego znaczenia. Były młodsze od tej starej przestrzeni, która rozciągała się we wszystkie strony i tak daleko, jak sięgała wyobraźnia. Nic nie jechało, ale byłem szczęśliwy. Ponieważ nie czułem wyraźnej granicy między własnym ciałem a resztą świata. Miałem siedemnaście lat, byłem dziecinny, ale nie czułem tej granicy.

Stanęliśmy w Pionierskoje. W zupełnej ciemności. Budka benzyniarza ledwo się tliła. Drzemał w środku. Przez małe okienko powiedział nam, że gostinica jest zaraz obok. Zaciemnienie mieli takie, jakby już się spodziewali NATO-wskich nalotów. Żółte żarówki i jakieś resztki bożonarodzeniowych dekoracji. Trochę toto migąło. Jak robaczki świętojańskie. Na parkingu podeszło do nas paru chłopaków. Z wyglądu Kazachowie. Na obcisło, w najkach albo pumach z Chin. Ogólnoświatowym zwyczajem kopnęli w oponę i zapytali, co to za auto. Odpowiedziałem. Wtedy zapytali, ile jest warte. Nie miałem pojęcia. Mruknąłem coś w dolarach. Kopnęli jeszcze raz i odeszli. Za mały był osiołek, za stary i za brudny na ich marzenia. No ale pomyślałem sobie, że mógłbym go sprzedać zdradziecko. Oddać w ich ręce, żeby kazachskie panny nim wozili. Odjechaliby nim w dal stepu, a ja bym został w Pionierskoje z

garścią dolarów. Często o tym myślę, gdy jadę przez strony, o których nie mam pojęcia. Wysiść i zacząć wszystko od początku. Jak by to było? Chłopaki odjeżdżają, a ja wchodzę do tej ciemnej knajpy, biorę jakieś jedzenie, mięso, ziemniaki, setkę i piwo, jem powoli i zastanawiam się, co dalej. Pytam znudzoną i zmęczoną kelnerkę, czy rano będzie autobus albo marszrutka. Patrzy nieufnie, tlenione włosy wymykają się spod białej opaski ze sztuczną koronką, przestępuje z nogi na nogę. Musi być jej ciężko przez cały dzień na tych wysokich obcasach. Ale mówi, że o siódmej będzie autobus z Jerszowa do Engelsa.

– A w drugą stronę? – pytam.

– Wieczorem – odpowiada. – Ale w Jerszowie nic nie ma, nie ma po co jechać. Piesok, musor, wietier. Nie ma po co. Tam się jeździ, jak się musi. Wszyscy jadą do Engelsa i za Wołgę, do Saratowa. Do Moskwy chcieliby pojechać. A wy skąd?

– Z daleka – odpowiadam.

– Słysząc, że nie nasz – mówi i znów przenosi ciężar z jednej nogi na drugą.

Jej obcasy mają z dziesięć centymetrów. Właściwie to chciałbym, żeby usiadła, ale nie wiem, jak jej to powiedzieć, żeby nie wypadło zbyt nachalnie i żeby sobie Bóg wie czego nie pomyślała. Zresztą kto wie, czy tu się w ogóle siada z nieznanymi. Gdybym jej powiedział, że chcę tu zostać, pewnie nawet by nie zrozumiała, o co mi chodzi. Więc tylko biorę to mięso, kartofle, wódkę i piwo i zastanawiam się, czy rano autobusem do Engelsa, czy przesiedzieć dzień w Pionierskoje, gdzie prawdopodobnie nic nie ma, i wieczorem pojechać do Jerszowa, gdzie też chyba nic, tylko że więcej. Tak wynika z mapy. Pić i błąkać się jak nawalony duch wzdłuż E38. W Jerszowie znaleźć Sberbank albo inny i konto założyć, żeby dolary wpłacić. Ale możliwe, że się nie da, że będę je musiał gdzieś zakopać, pod kamieniem jakimś, w topolowej dziupli ukryć na odludziu, bo przecież nie będę ich nosił. Albo do skrytki na dworzec zanieść, jeśli tam jakieś skrytki mają. Albo Western Unionem do ojczyzny wysłać. Bo na co ci dolary w tej nędznej okolicy? Wśród piasków i słonych bagien. Jak już zostajesz, to żyj jak człowiek tutejszy. Wyjeb do rowu te swoje karty, wypierdol te visy i mastery do jakiegoś wielbłądziego bajora. A potem idź pomiędzy opłotki, pomiędzy drewniane sztachety, pod to niebo bez końca, pod suche chmury i kołacz, żeby cię wpuścili, pozwolili usiąść, jeść dali i jakieś zajęcie, żeby do swojego życia przypuścili. Żeby było jak wtedy, gdy miałaś siedemnaście lat. Wywal telefon albo sprzedaj za parę rubli, a kartonik SIM na pół, na ćwierć połam, żeby nie kusiło. Tutaj, dwieście kilometrów od kazachskiej granicy w saratowskiej obłasti. W gorącej ciemności. W czarnym kurzu nocy. Gdzie być może nigdy nie widzieli obcego. W Pionierskoje. W Pierwomajskoje. W Pigari. W pizdu. Stukasz w blaszaną bramę nocą i wołasz:

– Wpuście!

Psy szczekają i ktoś odkrzykuje:

– Ki chuj?!

– Nikt – odpowiadasz. – Ale jestem głodny i nie mam gdzie spać.

– A co tak dziwnie gadasz?

– Bo nie stąd jestem.

– Amerykaniec?

– Niet.

– Kitajec?

– Tożę niet.

– Giermaniec?

– Znikąd jestem.

Tak mówię. Pies ujada, ktoś człapie, blaszana brama w końcu się otwiera. Wchodzę, w mroku jarzy się papieros, jaśniej podkoszulka, krowim zapachem skądś ciągnie i za płotem jest jakby jeszcze cieplej.

Obejście się nagrzało i teraz oddaje. Jedzenie czuć. Jak w domu jest, myślę, jak w starym domu na wsi sprzed czterdziestu lat. Tylko żelaznej bramy nie było. Płot ledwo, ledwo łączył budynki ustawione w czworobok, żeby się bydło nie rozłaziło. I wysokie drzewa rosły, a tu nie.

– Zabłądziłeś? – pyta tamten.

– Trochę tak – odpowiadam. – Ciemno się zrobiło i zabłądziłem.

– Sam jesteś? – upewnia się.

– Sam – odpowiadam.

– To chodź do środka.

Zamyka bramę na zasuwę. Pies na łańcuchu cichnie. Skądś zjawia się drugi i mnie obwąchuje. Wielki, kudłaty i powolny. Czarny chyba, bo ledwo go widać. Sierść ma miękką, gęstą. Liże mnie po ręce długimi mlaśnięciami. Idę za gospodarzem w stronę żółtego światła, które sączy się z uchylonych drzwi w głębi podwórza. W sieni coś potrącam, jakieś wiadra, graty, szpadel oparty o ścianę, łopata, chyba zderzak od starego auta z obłazłym chromem. Pachnie zwierzęcą benzyną. Ale zapach jedzenia jest mocniejszy. Może dlatego, że czuję głód po całym dniu. Wchodzimy dalej, do kuchni. Pod lampą stoi stół przykryty ceratą i cztery proste krzesła. Facet się odwraca i widzę jego twarz. Może mieć czterdzieści parę lat. Trudno zgadnąć, czy jest Rosjaninem, Kazachem, czy może jeszcze kimś innym. Śniady Słowianin z ciężkimi powiekami. Odsuwa krzesło i pokazuje, żeby siadać. W głębi domu ktoś się krząta.

– To skąd w końcu? – pyta.

Nie chcę kłamać, nie chcę też mówić prawdy.

– Z zachodu na wschód.

– Gadaj jak człowiek – mówi i patrzy zmęczonym wzrokiem. – I jeszcze jak się nazywasz.

Przedstawiam się z rosyjska. Macha dłonią.

– U nas biez otczestwa.

Na gazowej kuchence coś bulgocze. Wchodzi kobieta. Młodsza od niego, w fartuchu i błękitnych japonkach.

– Gościa mamy – mówi jej. – Na wschód się wybiera. Nakarmisz?

Kobieta porusza się lekko, trochę leniwie, bez słowa. Wyjmuje talerze z niegdyś białego kredensu. Kroi kilka kromek chleba, po dawnemu przyciskając bochenek do piersi. Słyszę matowy brzęk aluminiowych sztućców w szufladzie. Podaje do stołu. Stawia niebieski emaliowany garnek. On podnosi pokrywkę i mówi, żebyśmy sobie nalewali. Zupa jest gęsta, z mięsem i dobrze pachnie. Jemy w milczeniu. Wciąż nie wiem, jak ma na imię. Chyba czyta w moich myślach, bo mruczy znad talerza:

– Jestem Aleksiej.

Przełyka dwie łyżki i ni to stwierdza, ni pyta:

– Na wschód jedziesz... Znikąd jedziesz... Zbłądziłeś, mówisz...

– Tak – mówię. – Noc się zrobiła i zbłądziłem. Z Engelsa jadąc, zbłądziłem.

– A w Marksie byłeś?

– Nie, nie byłem.

– To obok. Czterdzieści kilometrów. Powinieneś. Jak już w Engelsie byłeś, to i do Marksa powinieneś.

– A w jakim celu? – pytam.

– Chociażby w celu oddania hołdu. Nigdy nie jest za późno.

– Nie czytałem go zbyt uważnie – odpowiadam cicho. – Prawdę mówiąc, w ogóle niewiele go czytałem.

– Nie trzeba czytać – mówi znad talerza. Odkłada łyżkę i robi nieokreślony gest: – To się unosi w powietrzu. Krąży jak widmo...

– Nie zaczynaj, Alosza – odzywa się kobieta. Wciąż stoi przy kredensie. – Dopiero wszedł, a ty już zaczynasz.

Nie zwraca na nią uwagi.

– Nie trzeba czytać, żeby wiedzieć. Widziałeś ten kraj. Kryją go ciemności. Nie odróżnisz dnia od nocy. Jak w Juruing-Chai, jak w Chatandze. Wiesz, gdzie to jest?

– Nie.

– Daleko. Jakby nie było wcale. Ale tak jest wszędzie. Widziałeś ten kraj.

Patrzę na niego, a on nie spuszcza wzroku ze mnie. Je i mówi:

– Ale to się zmieni, ponieważ nie możemy wciąż żyć w ciemności. Telewizor świeci i gubi duszę ludu. Tylko on świeci, powiadam wam. Niczym lucyperska gwiazda świeci, abyśmy tylko samych siebie w upadku oglądać mogli.

Tak mówił. Wszystko po rosyjsku, a ja rozumiałem. Kiedy zjadł, kobieta natychmiast mu dołała. Ja jeszcze miałem, bo chociaż tylko słuchałem, to jadłem wolniej. Skinął jej głową.

– Zapadną jeszcze większe ciemności, byśmy w końcu przejrzeni. Mrok gęsty jak chuj nadciągnie i będziemy palić ogniska, i zaczynać od początku.

Kobieta stała oparta o kredens z założonymi na piersiach rękami. Powiedziała w przestrzeń:

– On jest przeciw elektryfikacji, ale za władzą rad.

Nie spojrział nawet na nią, jakby słyszał to już wiele razy.

– Czas nadejdzie wielki – ciągnął – i już nie powtórzymy błędu dawnego, by jedni byli wywyższeni, drudzy zaś poniżeni. Ni chuja nie powtórzymy, przyjacielu Bóg wie skąd przybyły. Cokolwiek sprowadza cię w nasze strony, musiałeś zapewne rozmyślać o tych sprawach.

– Niejednokrotnie i namiętnie – odpowiedziałem. – Wszak nie dla zabawy człek wyrusza na to straszliwe zadupie, gdzie tylko saksauł, wielbłądy i piach.

– Nie widziałeś ty jeszcze prawdziwego zadupia, gdzie w piachu nie wielbłądy żyją, a lud wyklęty. Żyje w piachu, żywi się piachem i piachem okrywa. Do Iljicza pojedziesz, do Oktiabria, do Lenino, Internacjonała, Awangarda albo do Arał-kumu, na Step Głodowy...

– Jak sił starczy, to pojedę – powiedziałem.

– Pojedź i sił nie oszczędzaj.

Kobieta zabrała talerze, bo widać drugie nie było przewidziane. Mężczyzna wstał i wyszedł. Po chwili wrócił z butelką. Nie miała etykiety. Usiadł, a kobieta bez słowa podała z kredensu szklanki. Smakowało metalicznie i mocno. Na pewno więcej niż czterdzieści procent.

– Tak – powiedział. – Sami to robimy. Ale kroków komandora nie usłyszysz, jeśli wiesz, o czym mówię.

– Wiem – odpowiedziałem. – Trochę się czytało.

– No właśnie – uśmiechnął się lekko. – Ekstra pierwszy sort. Noc jeszcze długa, więc mamy czas, żeby weszło w krew. W krew zastygła, zaschła, w kamień przez śmierć zamieniona. Najpierw odejdzie głód, a potem przyjdzie czas na śmierć. Rozkopiemy groby aż po paleolit i odnajdziemy ostatnią kość.

– Od początku mówił, że się dokopie do Adama – powiedziała kobieta i zabręczała naczyniami w zlewie.

Znów nawet na nią nie popatrzył, ale powiedział:

– Do Adama i Abla, i Kaina, do Henocha, Irada, Mawiaela, Matuzaela, Lamecha i Jabala, który został ojcem tych, co mieszkają w namiotach i pasają trzody, do Jubala, ojca tych, co grają na harfach i fletniach, i do Tubalkaina, który młotem pracował i kował wszelkie roboty z miedzi i żelaza... Dokopiemy się do wszystkich aż po pierwsze pokolenie.

– Ale wierzący nigdy nie był – powiedziała, wycierając talerz. – Do Komsomołu należał.

– Należał, ponieważ miał młodzieńcze przymyslenia oraz dał się ponieść fali – odparł, patrząc mi w oczy. – A Jabala i Jubala przywołuję dla plastyki wywodu. A czy żyli, czy nie żyli, pies z nimi tańczył. Zdejmujemy ziemię warstwa po warstwie, przesypiemy, przesiejemy, odwiejemy, plewy natury od człowieczeństwa oddzielając. Kość z kości, krew z krwi powstanie. W palcach grudkę ziemi rozcierasz i osocze dawnego życia przecież czujesz. Ziarnko do ziarnka lepi się od soków. To znów metafora, jak z Jubalem, ale rzecz przybliży zmysłowo. Czujesz?

– Trudno tak od razu – powiedziałem z wahaniem. – Niby się lepi, jak nie za sucho.

– Widzisz, sam widzisz – powiedział zadowolony i nalał.

Pies gdzieś czekał daleko. Było czuć dym kiziakowy. Myślałem o swoich kartach wyrzuconych do rowu. Że się napiję jeszcze trochę i jednak wrócę. Ale to miało znacznie więcej niż czterdzieści i jakoś tak łagodnie podcinało ścięgna. Wrócę, tak, ale jeszcze nie teraz.

– No ale co? Tak wszystkich? – zapytałem. – Skurwysynów też?

– Też – odpowiedział. – Powstaną wszyscy, a potem się zobaczy.

– I Hitler? – zapytałem, prostując się nieco.

– Się zobaczy, ale raczej tak. To przecież nie będzie ten sam Hitler.

– A jaki niby? – Wyprostowałem się jeszcze bardziej.

– Pośmiertny. Wyzerowany niejako. Jak wszyscy. Przeszedłszy przez śmierć, oczyszczenia doznał. Śmierć ludzi zrównuje, a potem rodzą się od nowa. Sens zmartwychwstania może być jedynie powszechny, więc nie wolno nam powiedzieć: „Wy, Adolffie Aloisowiczu, zostajecie”. Śmierć jest błędem natury, a ludzie bywają nieudani, ponieważ są śmiertelni. Więc Adolf Aloisowicz też. No, oczywiście trzeba mu się będzie przyglądać... Wszystkim trzeba się będzie przyglądać, żeby nie powtórzyć błędów. Jak sił ci starczy, to Bajkonur zobaczysz. Raptem półtora tysiąca kilometrów. A Bajkonur to przecież ledwo dzieciństwo gatunku. Pssst, trochę smrodu, ognia, przewyciężenie grawitacji i obratno w piach i pył Stepu Głodowego. Lecą i wracają, a w górze i tak się starzeją. Przylatują, żeby umrzeć. Dziecinada.

Szumiało mi w głowie. Robiło się coraz cieplej. Od środka i od ścian to ciepło szło. Za ścianami we wszystkie strony rozciągał się czarny step. Suche gorąco przenikało przez drewno jak oszałamiający gaz. Chciałem wypić jeszcze jednego i wyjść. Pójść w głąb nocy, w stronę Kałmucji albo Kazachstanu. Po piachu z nadzieją, że węże śpią. Ponieważ nie mogłem usiedzieć na miejscu w tym kraju. Był za wielki i nie dawał schronienia. Można go było tylko przemierzać. „Nad Bajkał jadę” – tak mówiłem, gdy mnie pytali. Bo nie mogli pojąć, po co i dlaczego, i dopiero ten Bajkał wydawał się im jakimś sensownym celem. Nie rozumieli, że można się przemieszczać wewnątrz nieskończoności. Od jednej Juriung-Chai do następnej i dalej w piódziec nieskończony.

– Wypijemy jeszcze po jednym i pójdziemy – powiedział Aleksiej.

Butelka była już pusta, ale zawołał krótko w głąb domu i po chwili zjawił się drobny mężczyzna w drelichu. Postawił na stole nową i zaraz zniknął. A może mi się wydawało. Wyglądał na Chińczyka, na Wietnamczyka, kogoś takiego.

– To specjalna – powiedział Aleksiej. – Siedem razy pędzona.

Kątem oka dostrzegłem, jak kobieta wzdycha i wznosi wzrok do nieba. Ale cóż mogłem, skoro czytałem w moich myślach.

– Wypłucz – powiedział do niej.

Bez słowa wzięła szklanki, zniosła pod kran, a potem postawiła przed nami.

Szliśmy w ciemności. Grzęźliśmy w piachu. Było gorąco.

– Do tego Bajkonuru idziemy? – zapytałem.

Nie nadążałem za nim. Chwilami jego kroki cichły i zostawałem sam. Nic nie było widać. Nic nie

było słycać.

– Nie – odpowiedział gdzieś z dala, a potem znów zapadła cisza.

Słyszałem tylko piasek i własny oddech. Jedno i drugie sucho szeleściło. Jakbym tym piachem oddychał. Wyciągnąłem dłoń przed siebie, ale nie mogłem jej dostrzec. Telefonu zacząłem szukać. Nie pamiętałem, czy go wyrzuciłem, czy zostawiłem w chacie.

– Dawaj, dawaj! – usłyszałem z oddali. – Bo się noc skończy!

– A chuj! Niech się kończy!

Trzeźwiałem i nic mi się nie chciało. Pomyślałem, że się położę, zwinę w kłębek i prześpię do rana. Zawsze tak myślałem, gdy trzeźwiałem.

– Dawaj, dawaj! – było tym razem cichsze, jakby szedł dalej i wcale się mną nie przejmował.

Znowu pomyślałem, że się zwinę, ale zaraz przychodziły mi do głowy te węże. Mokasyny dalekowschodnie na przykład.

– Dawaj, dawaj, Polacziszka!

– Kurwa, przecież idę, Rusku jeden! – odkrzyknąłem.

– Szybciej, bo nie zdążymy przed świtem! – dobiegło z oddali.

– A gdzie ci się spieszy? Czarna dupa wkoło!

– Chodź, ci mówię. Flaszkę mam!

Prawdę gada czy łyże? zacząłem nieufnie kombinować. Mógł wziąć, bo całej chyba nie wypiliśmy. Albo i nową zabrał, bo wyglądał na takiego, co mu flaszek nigdy nie braknie. Więc łyże, sobaka, albo prawdę mówi. Jedno z dwojga. Wziął albo podstępnie używa, żeby mnie wyprowadzić w głąb bezludzia i tam Bóg wie co ze mną uczynić. No ale jak się położę, to węże. A zamiast stać, to jednak lepiej iść. Zresztą Rusek w sprawie flaszki by nie kłamał. Więc zebrałem się w końcu i ruszyłem szybciej. Po papierosie, po zapachu dymu go odnalazłem. Siedział i palił. Kucnąłem obok. Rzeczywiście miał butelkę. Pociągnąłem. Jak płynny ogień to było, ale nie robiło krzywdy. Jasność jakaś taka rozchodziła się w środku. Aż się obejrzałem, czy nie świecę w stepowej czerni.

– Dokąd właściwie idziemy? – zapytałem.

– A tak – odpowiedział. – Pochodzić, pośpiewać. Tonia nie lubi, jak śpiewam w domu.

– Może fałszujesz – powiedziałem.

– Pieśni jej się nie podobają – odparł z lekkim smutkiem.

Patrzyliśmy przed siebie. Wyobrażałem sobie horyzont. I jak się powierzchnia Ziemi zagina. To znaczy powierzchnia południowej Rosji. W tych ciemnościach aż po Barentsa i Karskie. Jak się wyokrągła niby jakieś bydlę wielkie, śpiące i parujące gorącem. A my siedzimy na jego grzbiecie i rozpijamy flaszkę. I zaraz zaczyna się Azja. W końcu zapomniałem o węzach i usiadłem.

– A jakie jej śpiewasz? – zapytałem.

– Dawne – odpowiedział.

– Nowoczesne może woleć – powiedziałem trochę jakby na pociechę.

– Lubi ciszę – powiedział.

Niedopałek rozżarzył się czerwono i zaraz pofrunął w mrok.

– No to czasem idę i śpiewam. Jak wieje wiatr, to nikt we wsi nie usłyszy. Idę, aż się zmęczone. Po piachu ciężko się idzie. Czasem śpię i wracam.

– Nie boisz się węży? – zapytałem.

– Tu nie ma węży – odpowiedział. – W Kazachstanie są.

– No to jak? Nie przechodzą? – zdziwiłem się.

– Nie wiem. Tam są, a tutaj nie ma – powiedział obojętnie.

Pstryknął zapalniczką i zobaczyłem, że ma zamknięte oczy. Zaciągnął się i zaczął nucić:

– Wstawaj, proklatem zaklejmiennyj, wies' mir gołodnych i rabow... – Potem to samo powtórzył po polsku.

– Jak się domyśliłeś? – zapytałem.

– Jak wychodziliśmy, pocałowałeś ją w rękę.

To prawda. Pocałowałem. Miała smutek w oczach. Patrzyła, jak chlamy, ale nie robiła uwag. Zapytała tylko, czy zostanę na noc. No więc pochyliłem się i pocałowałem na odchodne.

– Wszędzie was poznać po tym, że całujecie.

– Teraz coraz rzadziej – odpowiedziałem. – Pewnie niedługo całkiem przestaniemy i już nie odróżnisz.

Znowu zaczął nucić. Niby cicho, ale jakby coraz głośniej. I jaśniej jakby się robiło, bo zobaczyłem kontur jego sylwetki. Miał uniesioną głowę.

– Ostatni raz śpiewałem to w szkole – powiedziałem. – Nauczycielka grała na mandolinie. W klasie było ciepło, nikt nie głodował. Bez sensu mi się wydawało. W siedemdziesiątym pierwszym, w siedemdziesiątym drugim.

Nic nie odpowiadał, tylko śpiewał. Coraz głośniej śpiewał i robiło się coraz jaśniej. Mogłem już dojrzeć własną dłoń. Siedzieliśmy twarzami na wschód. Znad niewidocznego horyzontu podnosiła się księżycowa poświata.

– Śpiewałem, ale mi się nie podobało. Wiedziałem, że to ruskie. Nikomu się nie podobało.

Przestał śpiewać.

– A co wy tam w siedemdziesiątym o ruskim wiedzieliście?

– Nic nie wiedzieliśmy, ponieważ nie chcieliśmy wiedzieć – odpowiedziałem. – Byliśmy dziećmi, a Ruscy byli dla nas nudni. Nic nie mieli. Ani fajnych zabawek, ani fajnych samochodów, ani fajnych filmów. Niczego fajnego dla dzieci.

– Mieliśmy wołgę, moskwicza, zaporożca i żiguli – odpowiedział.

– W siedemdziesiątym nie było jeszcze żiguli – zaoponowałem.

– U nas już było. Wy musieliście poczekać – odrzekł spokojnie. – Cały czas musieliście na nas czekać. Nic nie rozumieście.

Zobaczyłem jego złoty skraj. Wynurzył się niezwykle blisko. Prawie na wyciągnięcie ręki. Przestaliśmy mówić i tylko patrzyliśmy. Wstawał i wstawał, aż w końcu pokazał się cały. Blisko, że można go było dotknąć, ale daleko, bo w jego świetle step ciągnął się w nieskończoność. Płaski, ogromny, bez śladu czegokolwiek. Rozejrzałem się, ale nigdzie niczego nie było. Żadnych świateł, osady, niczego, co by choć trochę wystawało z tej płaskości. Tylko ten księżyc tuż-tuż i zarazem jednak w kosmosie, poza krawędzią ziemi. Przez tę krawędź musiał się przesyptywać piach, na którym siedzieliśmy. Obejrzałem się. Rzucaliśmy czarne cienie.

– A u was jak wschodzi, to nad czym? – zapytał.

– A chuj wie – odpowiedziałem. – Jakieś drzewo zawsze rośnie, domek jakiś, daszek, Mińsk Mazowiecki, Biała Podlaska, Małaszewicze Duże, coś zawsze jest.

– No właśnie – odpowiedział. – Cały czas wam coś widok zasłania.

Wziął oddech i znów zaczął śpiewać. Napiłem się. Podobało mi się. Ten step, księżyc, śpiew. Miał rację. U nas zawsze coś zasłaniało. Mława, Małkinia.

– Kipit nasz rozum wozmuszczonnyj i w smiertnyj boj wiesti gotow.

Zanim się spostrzegłem, już śpiewałem. Niosło do Kazachstanu. Zerknął na mnie kątem oka i natężył głos.

– Wies' mir nasilja my razruszym do osnowanja...

Dobrze nam szło. U nas zaraz by ktoś przyszedł. Pijak, pies, patriota. I się przypierdolił. A tutaj proszę

– żywej duszy. Gardła można było zedrzyć i żadnych szykan. Po chwili musiało mu jednak zaschnąć, bo umilkł i wyciągnął rękę. Wypił, poczekał, aż spłynie, i sięgnął po papierosa. W złocistym świetle pełni widziałem, jak wydmuchuje dym.

– Dlatego macie tak przejebane w tej Polsce.

– Nie przesadzaj, Losza – powiedziałem pojednawczo.

– Macie, ponieważ nie posiadacie horyzontów. Polska wam wszystko zasłania. Przejebane macie z racji ograniczoności waszej.

– A wam Rosja nie zasłania? Do chuja, nic, tylko Rosja i Rosja u was. W gazetach Rosja, w telewizji Rosja, na zderzakach macie poprzyklepianą, na szlugach, na flaszkach, w Taszancie jakieś stare baniaki se w trzy kolory pomalowaliście, w Bogotole kamienie przy drodze, w Ust'-Papryńsku nawet jakiś rozjebany rurociąg widziałem, z którego para waliła. Farby wam nie szkoda?

– To chwilowe – powiedział spokojnie. – Okres przejściowy. Kryzys mentalny. Jak minie, powrócą sprawy o wymiarze hiperuniwersalnym.

– Znowu w kosmos będziecie latać?

– Z czasem to będzie konieczne. Przecież wszyscy się tu nie pomieszczą.

– Znaczący kto? – zapytałem niepewnie, bo nieco traciłem wątek.

– Wyklęty lud ziemi, Andriusza.

Gdy się zbudziłem, jego nie było. Księżyc stał wysoko. W porzuconej flasce ledwo co zostało. Szkło świeciło odbitym blaskiem. Nasłuchiwałem chwilę, a potem wstałem. Trochę mnie rzuciło, ale złapałem pion. Nie miałem pojęcia, skąd przyszedliśmy. Widziałem jakieś ślady. W jedną, w drugą stronę. Mogły być wielbłądzie. W nocy na piasku trudno poznać. Co mi odbiło, że auto zostawiłem? Teraz bym wsiadł i odjechał jak król. Jakby się zakopał, tobym spuścił trochę powietrza i poszedłby jak na gąsienicach. Tak sobie myślałem pod tym jasnym księżycem. Rozglądałem się za czymkolwiek, ale nic nie było. W końcu wybrałem sobie jeden ślad. Wyglądał na wielbłądzi albo nie wyglądał. Wiódł w stronę niewielkiego wzniesienia. Wspinał się na nie i znikał na szczycie. Ruszyłem w tamtą stronę.

*

Znalazłem go po półgodzinie. Za kolejną płaską wydumą. Usłyszał moje kroki, ale się nie odwrócił, tylko dał znak, żebym podszedł. Stałem obok i patrzyłem. Piasek się ruszał. Wybrzuszał. Wielkie kretowiska się robiły. W księżycowym blasku były czarne. Dziesiątki, setki kretowisk, jak okiem sięgnąć. Objął mnie za ramię.

– Wies' mir nasilja my razruszym do osnowanja i nowyj postroim...

Przyłączyłem się nie wiadomo kiedy. Im głośniejsze śpiewaliśmy, tym bardziej się ten step ruszał. Falował jak sucha, ciężka woda. Szelest, szum było słychać. Tak mi się wydawało w tej ciszy, gdy chwilami milkiśmy. Oddechu nie starczało, więc robiliśmy przerwy. To nawet już nie był duet. Darliśmy się na przemian, żeby tamten piaszczysty bulgot nie ustawał. Bo jak się robiło cicho, to trochę się jakby przestawało ruszać. A potem zaczęło wychodzić. Kościotrupie się wygrzebywało. Piszczelowate, w szmatach jakichś, w resztkach zwisających i poszarpanych. Może i mięso zaschnięte to było, bo w tym piachu to przecież zgnilizny mało co.

– Kurwa! Co to jest? – powiedziałem i się cofnąłem.

– Nie bój się. Nic ci nie zrobią.

– Co to, kurwa, jest? – zapytałem znowu.

– Nie bój się. To Polacy.

– Jacy, kurwa, Polacy, Locha?!

– Wszyscy. Z trzydziestych lat, z czterdziestych. I z carskich. Ziomkowie, Andriusza. Śpiewaj. Musisz śpiewać, bo nie wstaną.

– Ni chuja nie chcę, żeby wstawali. Niech spierdalają, skąd przyszli, Losza! Przecież cała ziemia się rusza. To jest Michael Jackson, a nie ziomale.

– To jest twój naród i masz śpiewać! Wies' mir gołodnych i rabow! Dawaj, dawaj! Muszą wyjść, kości rozprostować, na świat popatrzeć, na księżyc. Dawaj! My nasz, my nowyj mir postroim! Bład', śpiewaj!

– Locha, powyłażą i tu przyjdą! Zajebią nas, wampiry jedne!

– Nie wampiry, tylko naród twój, który kości swe rozwlókł po stepach i pustyniach Wschodu, abyś ty se teraz mógł po świecie jeździć i wolności zażywać. Szkielety, narządy w głąb zapadły, żebyś ty sobie na wakacje jeździł z paszportem i wizami do egzotycznych krajów. Oni warstwa po warstwie się kładli, abyś mógł to czynić. Śpiewaj! Nikto nie dast nam izbawlenja, ni bog, ni car i ni gieroj, dobjomsia my oswobożdjenja swojeju sobstwiennoj rukoju.

– Nie mogę na nich patrzeć. Wyrzygam się.

Chwycił mnie za ramię i pchał w dół pagórka. Wydawało mi się, że czuję smród. Padlinę podszytą suchym wiatrem. Taką oczyszczoną. Wiedziałem, że to niemożliwe, ale czułem. Trzymał mnie mocno.

– Co z ciebie za Polak, jak cię na rzyganie bierze, Andriusza? Toż to twój naród, a ty krew z ich krwi oraz kość z ich kości. Umarli, żebyś żyć mógł i baki zbijać. Dlatego zejdź między nich, boś im wdzięczność winien! Zejdź i się pokłoń!

– Locha, kurwa, ja do Pamiru jadę, a nie na jakieś trupowiszcze. U nas Zaduszki w listopadzie, w nojabrze...

Słyszałem, jak klekocą, jak ich skóra powiewa niczym gruby papier. Świst przez nich wszystkich szedł. Czułem, że mnie nie wypuści.

– Nie będziesz sobie pory wybierał na spotkanie z przodkami. Azaliż nie żyją we wieczności? Więc nojabr czy srojabr, żadna różnica. Zejdź między nich i wybaczenia błagaj i przepraszaj.

– A za co niby?

– A za to, że żyjesz. Boć winien im jesteś życie własne, gdy oni już tylko tablicę Dmitrija Iwanowicza Mendelejewa stanowią. Myślałeś kiedyś o tym? Żeby zejść i się pokłonić? W głąb się udać, szczątki wziąć w objęcia, utulić i zanieść w bezpieczne miejsce? Myślałeś, żeby ich wybawić z grozy nieprzychylnych ziem? Żeby nie musieli już tu leżeć? Pozbierać kości i pochować w zielonej dolinie? Macie jakąś zieloną dolinę?

– Mamy. W Łódzkiem na pewno. To serce kraju.

– Właśnie. Serce kraju, a nie jakieś pustkowia, gdzie żyją tylko mokasyny i wielbłądy. Nad rzeką, w cieniu drzew powinni spocząć ramię w ramię. W pokoju i w oczekiwaniu, aż nadejdzie czas wskrzeszenia.

Byliśmy coraz bliżej. Oni jakby znieruchomieli. Jakby się przyczaili. Wystawali do połowy. Niektórzy w przykłęku albo trochę na boku, wsparci na kościach rąk, jakby chcieli się wydostać z piaszczystej topieli. Próbowałem się opierać, ale nawet tego nie zauważał. Miał siłę, Rusek jeden. I jeszcze od czasu do czasu podśpiewywał, żeby tamtych reanimować:

– By łańcuch spadł z wolnego ducha, a dom niewoli zniszcz i spal!

Czułem jego twardy uścisk. Ze dwadzieścia metrów zostało. Zaparłem się, zaryłem nogami w piach i żeby zyskać na czasie, zapytałem:

– O jakie wskrzeszenie chodzi, bo nie ogarniam, bratucha?

Też stanął, zamilkł i tamci trochę jakby przestali się wydobywać.

– A Nikołaja Fiodorowicza Fiodorowa czytałeś? – zapytał.

– Nie czytałem, ponieważ nie był u nas przekładany.

– Właśnie – powiedział i pokiwał głową. – Właśnie to jest wasz problem. Ni chuja was nic nie obchodzi poza tym, żebyście zdrowi byli. Nic poza wami samymi. Nigdy nie wymyśliliście niczego, co by się komuś przydało. No, wymyśliliście?

– Rad i polon – powiedziałem szybko.

– Taaaaaa. I jeszcze tlen i azot skropliliście. Ale ja się, Andriusza, o idee pytam. Coście światu dali w sferze ducha, że się tak wyrażę?

– Polskę żeśmy dali! Polskę jako ideę wszechświatową! – zawołałem.

Bóg jeden wie, czy z dumy, czy aby uwagę odwrócić i odwlec to zstąpienie do piekieł, pomiędzy ową klekotliwą martyrologię, która niby przycichła, ale dobrze wiedziałem, że na jego głos, na jego wezwanie zacznie się znowu wygrzebywać. Kurwa, myślałem, jak nie węże, to kościotrupy. Wschodu się zachciało. Tak to jest, jak się wysiada z auta, tak to jest, jak się chodzi na piechotę. Nigdy więcej. Jak się uda wrócić, to zderzak obejmę, czołem uderzę przed maską, ślady bieżnika ucałuję. Co mnie podkusiło?!

– Bardzo jesteśmy wdzięczni. Bez was rzeczywiście świat byłby chuja wart – powiedział. – Jednak idee ideami, ale moglibyście w końcu wszystkich swoich pozbierać. Walają się po świecie i tylko bałagan z tego. Popatrz na nich.

Zakreślił ręką szeroki łuk.

– Serca jako naród nie macie – mówił, a ja odetchnąłem, bo już myślałem, że dalej Internacjonala pociągnie. – Wśród obcych leżą. Wielbłąd czasem przejdzie, sęp koło zatoczy. Przecież tego u was nie ma. Zielono macie. Drzewa i trawy powinny im szumieć. Tak jak mówiłeś, w Łódzkiem najlepiej, w sercu kraju powinni spoczywać i czekać na wskrzeszenie z martwych. Zamiast się mazać nad mogiłami, powinniście pracować nad technologią. Mógł schyłkowy kapitalizm wskrzesić owcę, to wy możecie wskrzesić tych swoich kajdaniarzy, zeków, buntowuszczyków, ofiary niewinne samodziarżawia i totalitaryzmu, a i prostych urków, bo niby czemu nie? Dlatego zabierajcie ich w pizdu z ruskiej ziemi. Raz na zawsze, żebyście nie musieli się tutaj snuć, lamentować, ogni palić. I ten cały Katyń też se wykopcie i przesadźcie w jakieś eleganckie miejsce. Także może być w Łódzkie. Bo się znowu jakieś nieszczęście stanie. Bo jak trupa swojego gdzieś wypatrzycie, to jak ćmy do światła, jak pszczoły do miodu zaraz się pchacie, na warunki atmosferyczne nie bacząc, żeby jeszcze jedną warstwę umarłaków dołożyć.

Nie przerywałem. Cieszyłem się, że mówi. Im więcej mówił, tym wolniej w ich stronę szliśmy. Staliśmy właściwie. Księżyc był już wysoko i cienie się skurczyły.

– No ale jak to? – zapytałem. – Wszystkich mamy pozbierać? Przecież tego jest w cholere, Locha. Przez dwieście lat żeście wywozili. Kto to znajdzie i policzy?

– Już wy macie wszystko policzone. Ty się nie martw. Możecie nie wiedzieć, gdzie Dworzec Kurski w Moskwie albo i Kreml, ale gdzie kogo zakopali, to co do sztuki wiecie. Dlatego powinniście zabrać i w poświęconej po katolicku ziemi złożyć, żeby sobie elegancko czekali dnia ostatniego, który zarazem dniem pierwszym nowej ludzkości będzie, i powstaną wszyscy aż po pierwsze pokolenie. Tak ci, Endrju, mówię i tak będzie.

– A neandertale też? – zapytałem, żeby pchnąć jego myśl na nowe tory.

Widać osiągnąłem cel, bo potarł czoło i nie odpowiedział od razu. Potarł znowu i odezwał się cicho:

– U Nikołaja Fiodorowicza chyba nic o tym nie ma.

– Azaliż neandertalczyk nie jest bratem naszym? I nie spoczywał w zimnej ziemi dłużej niż najstarszy Sybirak? Dłużej niż wasz Michaił Siergiejewicz Łunin, który kości złożył w zasranym Akatuju pod zasraną Czytą? Dłużej niż nasz Beniowski na Kamczatce...

– Ejże, ejże!

– No dobrze. Beniowski nie spoczywa, ale inni owszem. A jak my ich wszystkich zrestartujemy, to gdzie się niby pomieszczą, no gdzie? Tym bardziej że podjebaliście nam taki kawał terytorium. Kalkutę mamy se fundnąć? Na ulicach będą spali? Bądź poważny. Jak już tu są, to niech zostaną. Przecież placu u was jest od chuja, a u nas się kryzys humanitarny robi. Poślecie ich do Juriung-Chai, tajgę będą rąbać czy co tam macie, złoto płukać. To w końcu Słowianie są. Wolicie Chińczyków? Spójrz mi w oczy! Chińczyków?

Chwyciłem go za ramiona i obróciłem w swoją stronę. Zerknął na mnie z ukosa, a potem klepnął w ramię.

– No dobrze. Może usiądziemy?

Klapnęliśmy w piach. Tamci też jakby przysiedli, jakby się trochę z powrotem zagrzebali. W każdym razie nie ruszali się. Wyjął papierosa, pstryknął zapalniczką i dmuchnął w ich stronę.

– Pewnie wiesz, że Konstantin Eduardowicz Ciołkowski był częściowo Polakiem? – powiedział po chwili.

– Coś słyszałem.

– No właśnie. Jakby był całkowitym i u was został, to ludzkość poniosłaby niepowetowaną stratę.

– Tak?

– Tak.

– Tak?

– Jasne. Nawet ten niby wasz Kopernik mówił po niemiecku, żeby do czegoś dojść.

– Chyba po łacinie.

– W każdym razie nie po polsku, bo nikt by go nie słuchał. Z Ciołkowskim to samo. Musiał się zrusyfikować, żeby szerzej odetchnąć. Jakby mieszkał na Mazowszu – zastanowił się chwilę – toby wiatraki pewnie budował oraz w konspiracji uczestniczył, czyli tak czy siak na zesłanie by poszedł. Taki już los Priwislińskiego Kraja. Wiatraki i zsyłka. Sybir i młynarstwo, wyżej chuja nie podskoczysz. A tutaj, proszę, metalowy sterowiec wymyślił. W tysiąc osiemset osiemdziesiątym siódmym! A u was co? Całkowite zaćmienie słońca było i koronacja Matki Boskiej Zebrzydowskiej.

Nie ma co. Obkuty był. Ale wolałem, jak gadał, niż jakby miał znowu śpiewać. Sterowiec z blachy. Świętny pomysł. Już wtedy zaczynało im odbijać. Potęga ducha przeciw potędze materii. Niezły sobie kraj na wakacje wybrałem.

– I co on z tym sterowcem?

– Nic. Wstępny pomysł. Potem raketę wymyślił. To nie było trudne. Wystarczyło podumać. Najważniejsze przyszło później. To znaczy kolonizacja kosmosu za pomocą wskrzeszonych, ponieważ było wiadomo, że się tutaj jednak nie pomieszczą.

– A więc jednak kolonizacja.

– A niby dlaczego nie, skoro możliwości są? Myślisz jak reprezentant narodu podbitego. Powinniście się pozbyć syndromu ofiary.

– Ciekawe jak – odpowiedziałem niechętnie.

– Z wami jak z dziećmi – westchnął. – Nic, tylko ta wolność wam w głowie. Jakaś suwerenność zasrana. Na co to komu? Powinniście dołączyć do wielkiej rodziny słowiańskiej. Nie musielibyście dawać się zsyłać na ten Sybir, żeby czegoś dokonać. Bo nawet jak czegoś u siebie dokonacie, to i tak to wszyscy mają w dupie. Zgodzisz się zapewne ze mną?

– Nieco mają – odpowiedziałem niechętnie.

Wyciągnął się wygodnie na piasku, rozpostarł ramiona i zapatrzył w nocne niebo.

– Widzisz, latalibyśmy wspólnie w kosmos. Transportowali neandertalczyków na Marsa czy gdzie tam by miejsce było. Wszystkich byśmy transportowali. Planet w kosmosie dużo. Reaktywacja i teleportacja.

Kto by zechciał, toby sobie zostawił, kogo lubi. Ojca, matkę, żonę zmarłą. Wedle życzenia. Ale dla reszty droga wolna. Mars, Wenus, planetoidy, a potem dalej i dalej. Nieskończoność, bracie. Cały kosmos ludzkością obsadzony. Gdzieś tam w galaktyce druga Polska, druga Rosja. Niekoniecznie obok siebie. Pomiędzy nami takie Czechy na przykład. Albo Gwinea Równikowa. Kręciłyby się to wszystko, obracało, grawitowało. Lech, Czech i Rus mogliby od początku zaczynać. Gomułka, Novotný, Kosygin. Tak. I Hitlerowi, i Stalinowi po jakiejś planecie, i każdemu po założdnie nieboszczyków z paleolitu, mezolitu i neolitu. Waszym sybirskim zesłańcom jakieś chłodne okolice, bo się przyzwyczaili. Tym z Kazachstanu coś bliżej Słońca. To wszystko jest do zrobienia. Wspólnie. Na chuj wam niepodległość?

Słuchałem i robiło mi się trochę sennie. Wyciągnąłem się obok niego. Piasek był ciepły i miękki.

– Też się czasami zastanawiam – odpowiedziałem. – Na chuj właściwie?

– No widzisz. Niepodległą moglibyście sobie założyć w kosmosie.

– Król Popiel I by rządził. Niemców i Ruskich by nie było. Władysław Herman trzy razy by się zastanowił, zanimby Żydów wpuścił.

– Jakby kto chciał, toby mógł tam sobie na chwilę polecieć. Na wakacje na przykład. Niby Polska, a żadnej chujni, rozbiorów, Katynia, Smoleńska.

– Właśnie – powiedziałem i umościłem się wygodniej.

Czułem, jak piach się rozstępuje niczym gęsta woda i dopasowuje do ciała. Wsunąłem dłonie. W głębi był trochę chłodniejszy.

– Właśnie – powtórzyłem – ze smoleńskimi trzeba by coś zrobić. Jak wstaną i w lud pójda, to się piekło rozpęta. Prezydent, wiesz, jak mesjasz jakiś, drugie przyjście i tak dalej.

– Ten gruziński?

– Ten.

– Może na planetoidę. Ilu ich tam było?

– Setka niecała.

– No to w piździec. Na planetoidę.

– Katyń.

– Co?

– Tak się będzie nazywać.

– Bardzo ładnie – odpowiedział trochę sennym głosem.

Pomyślałem, że przeszła mu ochota na rewolucyjne śpiewy i że umarlaki jednak zostaną w ziemi. Ale nie miałem odwagi się podnieść i spojrzeć w ich stronę. Patrzyłem w czarne niebo. Księżyc powoli przetaczał się na zachód, w stronę miasta Engels, za Wołgę, nad Saratów. Gwiazdy świeciły ostrym pustynnym blaskiem. Wyobrażałem sobie, jak startujemy z Aleksiejem z Bajkonuru. W ładowniach mamy neandertali, Popiela I i II, Piasta Kołodzieja i całą resztę królów, i Zawiszę Czarnego, i Romana Dmowskiego, i Marię Konopnicką, Łyska z pokładu Idy, konfederatów barskich, obrońców poczty gdańskiej, siedem dziewcząt z Albatrosa, trzeci szwadron Kozietułskiego, zmarłych na dżumę, zmarłych na cholera, zmarłych na tyfus, zmarłych z głodu i wojny, zmarłych w lęku przed ogniem piekielnym, zmarłych w samotności. Wyobrażałem sobie, jak leżą obok siebie na kolejnych pokładach i oddychają czystym tlenem. Podpięci do kroplówek z glukozą i witaminami. Aleksiej sprawdza, czy mają ciepło, czy wilgotność odpowiednia, żeby się za bardzo nie pocili. Potencjometry przesuwają, gałkami kręci, ekrany muska. Wieziemy ich przez bezkres, żeby sobie nową Polskę założyli. Trochę w prawo, trochę w lewo, ciała niebieskie omijając. Wszechświat jest wielki i na pewno znajdziemy coś dla narodowego frachtu, żeby mógł żyć szczęśliwie. Jakąś planetę obiecaną, gdzie sobie powbijają biało-czerwone słupki i nikt już im nie podskoczy. Ruski nie przyjdzie, Niemiec nie wjedzie, Żyd nie oszuka. Sam bym chciał, tak sobie myślę. Spróbować. No ale jestem zrusyfikowanym drugim pilotem pasażerskiego transportowca i

jak tylko wyląduję towar, muszę wracać na Ziemię, do ojczyzny, do Priwislinskiego Kraja, bo procedury takie, że Aleksiej sam nie może. Więc lecę w fotelu obok niego i czasem włączam wycieraczki, żeby zgarnąć z szyby kosmiczną mgłę. Sprawdzam, czy w radiu nie leci jakaś fajna muza, ale głównie słysząc trzaski, disco polo i popse. Wkładam więc do gniazdka pendrajwa i pytam Aleksieja:

– Polskie czy ruskie?

Aleksiej patrzy przed siebie i uważa, żeby nie zaliczyć dzwona z jakimś transportowcem wracającym już na pusto z misji. Pali i strząsa do puszki po energetyku.

– Jeden chuj – odpowiada w końcu. – Latają jak kretyni – mruczy do siebie.

Żeby mu zrobić przyjemność, puszczam Wiktora Coja. Po chwili obaj podśpiewujemy:

– Oooooo, Kamczatka eto strannoje miasto, ooooooo.

Tak sobie to wszystko wyobrażam, zagrzebany w stygnącym piachu pustyni. Słyszę, jak Alocha oddycha obok głęboko i równo. Sam też chyba zasypiam. W każdym razie czuję, że zapadam się głębiej i głębiej jak w suche bagno. Ale zwijam się w kłębek, żeby cieplej i bezpieczniej było. Trochę się tylko boję, że w tym sypkim gruncie natrafię na umarlaków, na pokolenia truposzy czekających naszego zmiłowania. Niby nikt nie śpiewa, ale gdzieś w głowie kołacze mi się piękna i podniosła melodia: „... wyklęty powstań ludu z ziemi”. No i boję się, że jeśli oni słyszą wszystko, to mogą też usłyszeć moje myśli. Co im szkodzi, nie? Więc się boję, że podziemne prądy i magnetyczne wiry ściągną mnie między umarłych z dawnych dni i z wszystkich wieków. Jestem przecież pewien, że na mnie czekają. Na swojego rodaka. Wiedzą, skąd przyjechałem, ponieważ wiedzą wszystko. Wiedzą, że przyjechałem ze stron, gdzie każdy chciałby zdechnąć jak najprędzej, zamienić się w trupa i proch, żeby mu wszyscy dali spokój i tylko świeceki palili. Tak więc przysypiałem, ale słyszałem, jak szepczą suchymi głosami:

– Chodź do nas, chodź, będzie dobrze. Będziemy sobie leżeć na wieki i znicze nam będą stawiać, i pieśni śpiewać, i nic nie będziemy musieli, tylko leżeć i pieśni słuchać, i wonie cmentarne wdychać. Nic, tylko leżeć, słuchać i wdychać. To jest dopiero życie! Chodź! Miejsce ci zrobimy. Poprzesuwamy się, ściśniemy, chodź. Tu sucho. Dobrze się leży. Smrodu nie czuć nawet, chodź!

Przez sen odmrukiwałem:

– Ni chuja nie idę. Do Biszkeku jadę. Kolega w hotelu czeka.

Odpowiadali:

– A gdzie będziesz jechał taki szmat drogi? Leżeć lepiej.

– Ni chuja, jadę – mruczałem.

– Leżeć lepiej, pamięć narodu zasilając i zaznając hołdów. Na kiego grzyba ci Biszkek?

– A na tego, że zamiast leżeć, wolę jeździć. Poważną kasę w zawieszenie żem włożył. I co? W piach mam gazowe dobinsonsy wywalić, żeby rdzewiały razem z wami?

– A pódźże do nas i z dobinsonsami twemi! Pódźże leżeć i sławy nieprzemijającej zażywać!

– Nie pójdę! Polakiem jestem, obowiązki mam polskie, ale nie tym razem. Do Biszkeku muszę...

I przy tych słowach zasnąłem.

Gdy wróciłem, Z. jadł rybę. Siedział na łóżku i dłubał widelcem w puszcze.

– Gdzie byłeś? – zapytał.

– A, samochód chcieli kupić – odpowiedziałem.

– I co?

– Nie sprzedałem. Nie mieli pieniędzy.

– To dobrze – odpowiedział.

– A ty co tak tu siedzisz i rybę jesz? Na dole jajka mają, mięso, barszcz, uchę, blińczyki.

– Nieprzyjemna ta na dole była.

– Może zmęczona albo nieśmiała do obcokrajowców.

- Przecież w pracy jest.
- Dlatego nieprzyjemna. Chciałbyś w Rosji pracować?

Jak przechodziłem, to się nawet do mnie uśmiechnęła. Akurat zajęła marszrutka z Jerszowa do Engelsa i przy kontuarze stała kolejka. Jajka na twardo brali. No a my się pakowaliśmy. Prysznic był w korytarzu. Raz-dwa poszło. Rwałem się do jazdy. Chciałem zostawić Złoty Step i wiać na wschód, byle dalej od tej nocy. Wyobrażałem sobie, że gdy jadę, to wszystko jest inaczej, że na dobrą sprawę staję się nikim, nie ma mnie i tyle. Że tylko blaszany dach dzieli mnie od nieskończoności. Wszystko przez to, że późno zacząłem. Przed czterdziestką zrobiłem prawo jazdy. Śmieszne, nie? Więc nie zdążyłem się przyzwyczaić. Nie spowszedniało mi. W dzieciństwie i młodości nie miałem telefonu i do tej pory nie bardzo potrafię rozmawiać. W dodatku kompletnie mnie do rozmawiania nie ciągnie. W odróżnieniu od jeżdżenia.

No ale pojechał Z. Nie za bardzo się czułem. Tak robiliśmy. On rano, ja potem. Siedziałem z boku i patrzyłem. Nic nie było, ale patrzyłem. Piach, płasko po horyzont, nic. W oddali zjawiały się wielbłądy. Jak z tysiąca i jednej nocy, tyle że dwugarbne. Gdy podchodziły bliżej szosy, widać było, że są brudne i obłazi z nich wełna. Albo leżały w pyłe. Zaczynała się Azja. Droga była pusta, dziurawa i bez końca. Trochę ponad dwieście mieliśmy do Kazachstanu. W jakiejś pipidówie Z. omijał wyrwę w asfalcie i złapał kawałek pobocza. To, co wyglądało na suchą szarą skorupę, okazało się błotem po nocnej ulewie. Już widziałem, jak stoimy albo leżymy w rowie, ale pięknie wyprowadził. Zaklął i trochę zwolnił. Gdy ja mówiłem, że za szybko, wcale nie słuchał. Wydawało mu się, że Rosja to kraj otwartych przestrzeni, wolności i machnowskich taczanek. Radary mieli pochowane w betonowych słupkach przy drogach. Trochę jak nagrobki to wyglądało, tyle że z szybkością. Dziwna metoda. I niebezpieczna. Można było w toto przydzwonić. Radar musieli w to chyba wstawiać razem z akumulatorem i radiem, a sami czaili się w tych swoich rozpaczliwych żiguli kawałek dalej. W ogóle nie było ich widać, bo miały jakiś taki szarobury odcień i wyglądały na nigdy niemyte. Ten sam kolor co beton, asfalt i step. No więc mówiłem, żeby wolniej, ale nie chciał słuchać i nic, tylko azjatycki pojedynek na szosie. A zielony osiołek wcale taki przyczepny na tych muldach nie był, bo dwa i pół metra rozstawu osi to nie jest żadne osiągnięcie. I sztywny most z tyłu. Na tym błocie Z. musiał się dobrze nakręcić, żeby nas nie obróciło. Tak więc marudziłem, a potem przestawałem. W końcu był starszy ode mnie, lepiej znał się na autach i lepiej jeździł. Odpuszczałem i myślałem o różnych rzeczach.

Nie tylko o radarach i wielbłądach. O sobie też myślałem. O tym, że marnuję czas. Że powinienem jeździć tam, gdzie coś jest. Że powinienem patrzeć na ładne rzeczy i jakąś naukę z tego czerpać. Rozwijając się duchowo i estetycznie. Brać prysznic, pić espresso, spacerować, pić prosecco, znowu spacerować, znowu espresso i znowu prosecco. Mnóstwo ludzi tak robi. Nie ma w tym nic złego. Płacą za to, wracają mądrzejsi, pokazują zdjęcia. A ja muszę przejrzeć ze czterdzieści, żeby znaleźć takie, na którym w ogóle coś widać. Bo na większości jest tylko niebo, trochę ziemi i horyzont. Próbuję tłumaczyć, ale sam tego nie rozumiem. Ludzie patrzą i starają się być wyrozumiali. Klikam i znowu nic się nie zjawia. Kurz, nieskończoność, wieczność. Osiemdziesiąt kilometrów jazdy, spalona ciężarówka na poboczu i następne osiemdziesiąt kilometrów piachu. Tak wygląda nasze życie, chcę im powiedzieć, ale nie mam odwagi. I że trzeba to zobaczyć, żeby coś z tym zrobić. Ale niewykluczone, że się nie da. I ci tutaj to wiedzą. W całej tej Rosji, na całym tym Wschodzie wiedzą, że nie będzie ładnie. Bo ładnie robimy sobie po to, żeby uciec od grozy. Modląc się i cywilizując. Tak jak my na tym naszym zadupiu europejskim z espresso i prosecco. W tym ogródku jordanowskiej ludzkości. Robimy zdjęcia i puszczamy znajomym na pociechę, że proszę: może być tak fajnie i jak się napniemy, to też se tak zrobimy. A tymczasem ci tutaj mają tylko piach do przesypywania z ręki do ręki. Materię podstawową. Początek i koniec. Jakby wiedzieli, że wszystko jest piachem w różnych stanach skupienia.

Tak miałem przez jakieś pół godziny. Asfalt zrobił się całkiem rozpaczliwy. Jakby się jechało po stwardniałych falach przy trójce Beauforta. W górę, w dół i łubu-du.

– Słyszysz? – zapytałem.

– Co niby?

– Coś dobija.

– Odboje dobijają.

– Coś jakby inaczej. Tak głucho.

– Wydaje ci się.

No, może mi się wydawało. Jak się robiło równiej, to cichło. Doładowani byliśmy. Ale nie mogłem powrócić do rozmyślań, tylko nasłuchiwałem. W praktyce filozofia przegrywa z techniką. Jak się lubi samochody, to zwyczajnie boli, kiedy coś dobija. Boli gdzieś w środku, w brzuchu, jakby tam dobijało. No ale nie chciałem panikować i okazywać małostkowości, że tak się trzęsę o dwunastoletnią furę. Jak wjeżdżaliśmy w dziurę, to tylko nabierałem powietrza. Raz po raz robiło się pusto. Pusto i jeszcze puściej. Ten kraj miał gest. Przy drodze stała ciężarówka. Zatrzymaliśmy się. To był gaz-AA. Piękny. Z błotnikami wygiętymi jak skrzydła. Stał na postumencie kilka metrów nad ziemią. Oczywiście zrzynka z forda. Ale cóż ford przy połutorce? Nic. Rozpieszczone dziecko cywilizowanego kraju z chromowanymi reflektorami i srebrzystą chłodnicą. Ten nie miał na sobie ani grama chromu. Kurz na wieczność wżarł się w karoserię i nadał jej barwę pustynnych zarośli. Korozja toczyła go od środka i tylko suchość klimatu sprawiała, że płyty blach jeszcze nie oblażyły i nie sfrunęły z wiatrem. Oczodoły reflektorów były puste. Wyobraziłem sobie przestrzenie, które musiał pokonać w młodości, i ścierpła mi skóra. Wyobraziłem sobie jego samotność, gdy zasapany podążał między nazwami tych miejsc, w których nie było prawie nic. Dalej i dalej, w głąb kraju, gdzie noc zapada tuż po południu i zamiast dróg są szlaki wydeptane przez zesłańców albo zamrożone koryta rzek. Z tym pięćdziesięciokonnym silniczkem. Z tym czterdziestolitrowym bakiem i spalaniem dwudziestu na setkę. Cóż to jest dwieście kilometrów w tym bezkresie? Żart. Beczkę musiał wozic na pace. Nieustannie węszyć za pożywieniem jak mysz, jak mały ptak. A teraz stał w opuszczeniu, w samotności, więc podszedłem i oddałem mu niemy hołd.

Mieliśmy już ruszać, gdy spojrzałem na nasze lewe tylne. Pokrywał je szary kurz, ale spod niego wyraźnie przebijała świeża, mięsista czerń.

– Popatrz, kurwa – powiedziałem.

Z. kucnął i włożył palec jak niedowiarek Tomasz. Podłubał i pokiwał głową.

– Tak – powiedział. – Tak...

– No?

– Trochę za duża jest czy co?

Zewnętrzny szereg klocków ateka był poharatany. Na całym obwodzie. Tu głębiej, tam płycej, sam bieżnik, ale jednak. Pół paznokcia można było wcisnąć w czarniutką, jeszcze ciepłą gumę. Przyklęknąłem i zacząłem kombinować. Patrzyłem i macałem. Macałem i próbowałem zajrzeć dalej. Usiłowałem wetknąć łeb między oponę a nadkole. Dopiero niecałe dwa i pół tysiąca i taki syf, myślałem. O co chodzi? Jak tak będzie strugać, to dupa, a nie Pamir. Trzeba było zostać z Lochą i walić dalej tę jego cudotwórczą wodę. Co pan Mirek, do chuja, tam wykombinował? Przez Europę wschodnią jakoś szło, a w Azji od razu paździerz? Znak jakiś chciał mi dać? Ostrzeżenie? Bo naród przecież Azji, poza wakacjami w Tajlandii, brzydzi się, boi i nienawidzi. Bo Azja przyjdzie i ich zje. No i dobrze. Na nic innego nie zasłużyli, myślę, no i wymacuję... Rant, gdzie błotnik przychodzi do karoserii, wystaje na trzy, cztery milimetry jak tępy nóż. Akurat jak dobija, to jedzie po krawędzi bieżnika. Jedzie, jedzie, aż dojedzie, myślę. No większe, ciut większe te ateki od oryginałów, bo takie miały być. Na chu-chu te dobinsonsy miałem wkładać i oryginały zostawiać? Żeby osiołek jak pokraka na kółkach od sztaplarki

wyglądał? Myślę i knę. Pana Mirka knę. Bo mu się nie chciało na sucho sprawdzić, zanim założył nowe zawieszenie, czy się koło jak należy mieści. Znaczy się tradycyjnie: jakoś to będzie. No i jest. Kawał za Jerszowem i tuż przed kazachską granicą.

– No i co? – pytam Z., licząc na jego doświadczenie i mądrość.

– Nic – odpowiada. – Trzeba jechać dalej, bo tu i tak nic nie zrobimy. Poza tym samej opony nie tnie, tylko bieżnik. Zadaniem bieżnika jest, żeby się zużywał, nie?

– Teoretycznie tak.

– No właśnie – odpowiada takim tonem, jakby było po sprawie.

Wziąłem kluczyki i wsiadłem. Pomachałem półtoratonówce na cokole. Zazdrościłem jej, że zostaje. Jechałem dwa razy wolniej niż Z. Jechałem jak Montand w słynnym filmie. Jechałem, jakbym chciał wracać. Omijałem dziury i wpadałem w jeszcze większe. Asphalt marszczył się jak przy trzęsieniu ziemi. Tak mi się wydawało. Bujało wzdłuż, bujało w poprzek. Dobijało. Widziałem, jak lecą czarne wióry. Nie dało się nic zrobić. Można było tylko stanąć. Ale przecież nie można było. Myślałem: Zajadę na oponiarski szrot i założę mniejsze. Nakupię se łysoli na zapas i wrzucę na dach. Kaptcie będę wywalał do rowu i zakładał następne. Starych opon mieli tutaj przecież do oporu. Leżały wszędzie. Rozdarte, same bieżniki, na pogiętych felgach albo zwęglone druty, bo ktoś ognia albo światła w nocy potrzebował. Myślałem: Wleżę pod auto i gumówką schlastam ten rant. Jak błotnik odleci, to szarą taśmą złapię. Taśmy miałem dość. Myślałem i myślałem, aż się prawie granica zrobiła. Cudem sobie przypomniałem, że kazachskiej zielonej karty, czyli strachowki, potrzebujemy. Zajechaliśmy przed budę w szczerym polu, bo miała szyld, że można kupić. Ale dawali też jedzenie. Wziąłem grochówkę. Gęstą, z mięsem, jak w wojsku albo więzieniu. Bardzo dobrą. Śmiesznie było jeść grochówkę i patrzeć na stepową nieskończoność. Duża kobieta za barem wydrukowała mi kwit tak samo obojętnie, jak podała zupę. Polisa ubezpieczeniowa to po kazachsku saktandiru polisi, a numer rejestracyjny memleketiik tirkeu nomirlik. Jakoś tak.

Gdybym miał więcej czasu, pieniędzy i nie był tak leniwy, to co chwilę jechałbym do jakiegoś obcego kraju. Nie na długo. Może na dzień, dwa, a może tylko na kilka godzin. Do dużego, do małego – obojętnie. Byleby obcy. Byleby pierwszy raz. Prawie nic o nim nie wiedząc. Pan Bóg stworzył kraje i widział, że to jest dobre. Żebyśmy wjeżdżali niby w podobne, a inne. Jak nas już sprawdzą, zajrzą pod podwozie, do silnika, do worka z brudnymi gaciami i na koniec podstemplują. Żebyśmy wjeżdżali w dziwną przestrzeń podobną do snu albo kolejnych narodzin. Zdziwieni, że świat nie ma końca. Że wiele rzeczy można zacząć od początku. Tak. Że to jest coś w rodzaju nowego życia. Nawet jeśli trwa dzień, dwa, trzy, ma smak kurzu i jest niewyraźne od rozedrganego w upale powietrza. A jak już by krajów nie starczyło, to można by jechać w te stare, nieistniejące od wieków, o granicach niegdyś nieokreślonych, a dziś całkiem zapomnianych. Bo kto wie, dokąd sięgał ułus Czagataja? Albo państwo Tangutów? Chanat Chiwy? Więc gdyby brakło dzisiejszych granic, z tymi typami w czapkach jak denka od beczek, można by przecież jechać w głąb dawnego świata, bo i przestrzeń, i powietrze od tamtych czasów pozostały niezmienione. Tylko wiatr wiał i układał piasek w nowe wzory. Tak sobie rozmyślałem, gdy zostawiliśmy za sobą strażnicę na pustkowiu. Zapchana była tirami, furgonetkami i ludem wędrownym, objuczonym i zmęczonym, ale spokojnym. To był Wschód i wiadomo, że lepiej czekać, niż kombinować. Rosjanie zapytali, czy mam broń i narkotyki. Kazachowie zapytali, czy mam broń i narkotyki. Ale jedni i drudzy bez specjalnego zainteresowania. Jakby im było wszystko jedno, czy wiozę, czy nie wiozę. Musieliśmy dla nich wyglądać niepoważnie. Dwóch starych facetów w starym aucie. Co mogliśmy wieźć? Z. podróżną poduszczkę, bo koło trzeciej po południu lubił sobie podrzemać, a ja pas ortopedyczny na kręgosłup. Machnęli na nas ręką i pojechaliśmy.

Jak powiedziałem, koło trzeciej drzemał, a ja wypatrywałem co mniejszych dziur, żeby ominąć te

większe. W pewnym momencie otworzył oczy i powiedział:

- Już wiem.
- To znaczy co? – zapytałem.
- Jakie tam mamy po drodze pierwsze większe miasto?
- Uralsk, po kazachsku, za przeproszeniem, Oral. Niecała setka.

Po jednej i drugiej stronie było płasko i rosły niskie krzaki. Rosły po horyzont. Nigdy nie widziałem tylu krzaków naraz.

- Znajdziemy szrot i mechanika.

Akurat jechaliśmy przez Taskałę. Po prawej leżało parę wyprutych bud. Trudno było zgadnąć, jakiej marki. Łyskały rdzawymi brzuchami. Rzucone na stos felgi powoli zamieniały się w piaszczystą wydymę. Na szarej ziemi czarne plamy oleju wyglądały jak mapa nieznanymi ziem. Nawet kanały mieli. Jeden w otwartym garażu, a drugi na zewnątrz, pospawany z jakichś szyn.

- Nie mają – powiedział Z.
- A co nam trzeba?
- Na przykład mercedesa 100 albo T2.

Jak nie, to nie, pomyślałem i pojechaliśmy dalej. Trochę się wyrównało. Bardziej wzdłużnie szły asfaltowe fale, więc jak się złapało koleiny, to jakoś szło. I nie cięło tak po wnętrznościach. Bo przecież jak jedziesz i w aucie coś jest nie tak, zgrzyt, skrzyp, pisk, rzegot, to się to czuje w brzuchu, w organach, jakbyś miał na żywca operację, biopsję jakąś, jakbyś żyłkę połknął, a ona potem próbowała znaleźć sobie wyjście. Nie wiem, jak wy, ale ja tak mam. Może przez to, że człowiek tyle się rękami najeździł. Jedziesz, a w zawieszeniu, w podwoziu, w silniku serenada, sonata i symfonia. Dzyndzoli, dzwoni, stuka, skrzypi, trze, chrobocze, szczeka, a krystaliczne struktury metali zmierzają ku nieubłaganej katastrofie. Na co dzień dało się z tym żyć i dało jeździć. Ale wystarczył jeden nowy dźwięk, jedna nieznaną nuta i już ciało i duszę przenikał dreszcz: Kurwa, nie dojadę. Urwie się, złamie, zatrze, wyleci. Cała ta mechanika: ścinanie, rozciąganie, zginanie, stawała przed oczami niczym techniczna apokalipsa, jak sąd ostateczny automobilizmu, a ty, biedny grzesznik, przypominając sobie wszystkie winy: niedosmarowane, niedokręcone, niekonserwowane, skorodowane, przeżarte, niedopasowane, a nade wszystko stare i nie do naprawienia. A to dopiero metal. Gdzie guma, plastik, tekstolit? Gdzie elektryka, uszczelki, oringi, simeringi, zaworki w pompie paliwowej, paski klinowe, gdzie płyny? Nasłuchiwało się tego wszystkiego i pociągało nosem, szukając podejrzanych woni. Więc potem, gdy nadeszła era aut dźwiękowo uboższych, wytłumionych, jako tako poskręcanych i spasowanych, to się człowiek odzwyczaił i myślał, że tak będzie zawsze. A tu proszę – jeszcze rzeki Ural nie przejechał, a już mu wątrobę szarpie ból jak smok.

No nic. Cisnąłem dalej i wyglądałem murów miasta, bram i minaretów, czyli tych wszystkich fatamorgan, które zwodzą wędrowców. Z. drzemał albo obmyślał plan remontu. Krzaki rosły teraz równo wzdłuż szosy, jakby je specjalnie posadzili przeciwko piaskom i śniegom. Tak zapewne było, bo piżdziawa, jak już tu nadeszła, to musiała być nieludzka. Horyzont szaroburo łączył z ziemią. Ciężki był ten Kazachstan i od razu miało się wrażenie, że jest nieprzeciętnie wielki. Że mu nie podskoczysz, nie zakombinujesz i że nie ma zmiłuj, tylko trzeba jechać. Nic na skróty. Coś tam czasem w bok odchodziło, ale widziałem, że przepada, rozpływa się w przestrzeni. A jeśli nawet kawałek się ciągnie, to musi się skończyć w jakiejś dupie o nazwie Progiess albo Internacjonał. Żadnej litości.

W końcu dojechaliśmy. To było porządne miasto. Na dużym rondzie stały figury jeleni. Pomniki zwierząt są zawsze lepsze niż pomniki ludzi. Z ludźmi na pomnikach nigdy do końca nie wiadomo, czy byli jołopami, skurwysynami, czy wprost przeciwnie. Na dwoje babka wróżyła. Z fauną nie ma tego problemu. Dlatego tak lubiłem Azję. Na przykład w Mongolii na pewno więcej jest pomników zwierząt niż ludzi. Konie, jelenie, niedźwiedzie, wielbłądy. Bliżej Gobi nawet dinozaury. Stoją w każdym

powiecie, w każdej gminie. Na placyku, ogrodzone płotkiem z pomalowanych żelaznych rurek albo starych opon. Jedne ładniejsze, drugie brzydsze. Z blachy albo odlewane. Czasem z betonu i wyłazi im zbrojenie. Ale są. Słynne wierzchowce mają swoje mauzolea. Konie mają swoje cmentarze. Setki czaszek leżą w półokręgu otoczone murem. Dobrze to wygląda. Tak samo jak na przełęczy Kyzylart, gdzie na cokole stoi wielka dzika owca argali i pilnuje tadżyckiej granicy. Albo kamienny orzeł w połowie drogi między Kazarmanem i Dżalalabadem. Czekaliśmy wtedy dwie godziny, był lipiec, ale na trzech tysiącach spadło tyle śniegu, że spychacze w nim grzęzły. Tak. Zwierzęta są zawsze lepsze od jakichś nieboraków, którzy siedzą albo stoją i z głupimi minami gapią się w nicłość.

Dojechaliśmy i jeździliśmy sobie tam i z powrotem, żeby się przyjrzeć. Zieleń, rzeka, sowiecki neoklasycyzm, przyjemna rozpiarducha. Trochę ruchu, ale bez automobilowej ludożerki. Psiarnia stała to tu, to tam i trzepała co biedniejsze furki. Od końca do końca przejechaliśmy miasto. Bankomat znaleźliśmy. Pieniądze mieli wesołe i kolorowe. Podobał mi się ten kraj. Przy wylocie na Aktiubińsk znaleźliśmy awtostojankę. Porządna była, ze strażnikiem przy bramie. Stało już trochę tirów. Głównie kazachskich, ale i rosyjski się trafił, i kirgiski. Reszta miała zjechać dopiero przed wieczorem i wypełnić wielki plac. Poszliśmy do baru w sprawie pokoju. Kobieta w czepku i nonajronowym kitlu spytała, czy chcemy wspólny z kierowcami, czy jakiś oddzielny. Z. spojrział na mnie, spodziewając się zasadzki, ale skinąłem kierownicze głową i powiedziałem, że oddzielny by się przydał, bo z daleka jedziemy i daleko się wybieramy. Nie podjęła tematu, tylko dała nam klucze, pilota, wzięła kasę i schowała ją gdzieś pod kitlem. Na koniec pokazała drogę do piętrowego baraku obitego sajdingiem. Ładnie tam było, czysto, wszystko wyłożone brązowym plastikiem, przetarte na mokro dezynfekcją i ani żywej duszy. Z piętnaście pokojów i tylko my. Jak burzuje jacyś, a porządna środkowoazjatycka szoferia leżała sobie na piętrowych narach i wiodła długie opowieści ze swojego romantycznego życia. Ale nic. Rzuciliśmy czemodany na łóżka i ruszyliśmy w poszukiwaniu warsztatu. Skręciliśmy gdzieś w bok od centrum, wyglądając rupieciarni. W spokojne uliczki z parterowymi domami rozsiadłymi w cieniu topól. Trochę jak w Kiszyniowie, tylko więcej Kazachów. Błotnista woda wypełniała wądoły. Chciałoby się tu zostać, a nie znów tłuc na pustynię. Bez trudu wyobrażałem sobie, że to Sokołów Podlaski w latach sześćdziesiątych albo na początku siedemdziesiątych. Gdy jest mi dobrze, zawsze wyobrażam sobie Sokołów w sześćdziesiątym dziewiątym albo siedemdziesiątym pierwszym. Jest lato, cień i czuć niskooktanową benzynę. Zupełnie jak tu: wołgi wciąż jeździły, tyle że miały trochę nowsze budy. Czasami oprócz benzyny w powietrzu niósł się zapach drzewnego dymu i rozgrzanego oleju. Ktoś coś smażył przy otwartym oknie. Chwilami wydawało mi się nawet, że czuję woń zwierząt. Jak w sześćdziesiątym dziewiątym albo siedemdziesiątym pierwszym.

– Tam – powiedział Z.

Zajechaliśmy na usyfiony smarem placyk. Z garażu wyszedł śniady chłopak w czerwonym kombinezonie, ale Z. tylko skinął mu głową i od razu poszedł grzebać w stercie złomu. Kawalki karoserii, zawieszania, resory, mosty, zderzaki, wahacze, bębny hamulcowe i co tam jeszcze, wszystko zwalone, splątane na wieki i tylko gumówka albo palnik dałyby sobie z tym radę.

– Jest – powiedział i wskazał gdzieś w środek żelaznego gąszczu.

Podszedłem bliżej i zacząłem się wgapiać.

– Widzisz? – zapytał.

– Nie – odpowiedziałem szczerze.

– Przyjrzyj się – powiedział jak do dziecka.

– No sorry, ale dużo tego jest.

– Odboje, człowieku. Te podwójne gumowe kule na tamtej ramie. Wytnie się, przetnie i włoży po jednej w środek sprężyn. Wtedy będzie się mogło bujać, ile będzie chciało, ale nie dobieje. Tam są trzy,

górze cztery centymetry za dużo skoku, a jedna kula ma z siedem, osiem. Wystarczy.

Za nami stał już cały warsztat. Czterech chłopaków przysłuchiwało się polskiej mowie. Stali z rękami w kieszeniach i popluwali na ziemię. Z. spojrzął na nich trochę zaskoczony i płynnie przeszedł na rosyjski. Na początku zapytał, czy ewentualnie moglibyśmy, a potem po prostu zaczął im wydawać polecenia. Że podnośnik, gumówka, ściągacz do sprężyn i tak dalej. Patrzyłem i kręciłem głową z niedowierzaniem oraz podziwem, a oni robili, co im kazał. No ale przecież był od nich co najmniej dwa razy starszy, a znajdowaliśmy się w Azji, w społeczeństwie jeszcze tradycyjnym, gdzie wiek ma znaczenie i siwe włosy wywołują odruchowy szacunek. Poza tym był przecież przedsiębiorcą i przywykł do zarządzania. Tak więc po chwili autko już było podwindowane, sprężyna rozciągnięta, a Kazachowie biedzili się ze ściągaczem. To akurat nie szło. Jakiś za mały był, za delikatny. Co się go trochę skreśliło, to zeskakiwał. Jeszcze raz i jeszcze, i znów to samo. Zwycięstwo się oddalało, a ja znowu poczułem ból we wnętrznościach, poczułem, jak z nerek, wątroby i śledziony lecą mi wióry niczym z naszego gudrajda. Z. kuczał przy kole, instruował i zachęcał do wysiłku. Ni chu-chu. Metal się ślizgał i zeskakiwał. Chłopaki były pełne dobrej woli, ale wiara zdawała się je opuszczać. W końcu Z. wstał na równe nogi i zawołał:

– Anszpug priniesti!

Ten w czerwonym mruknął coś do najmłodszego i chłopak zniknął w garażu. Po chwili wrócił z porządnym, na oko półtorametrowym łomem. Szef prócz kombinezonu miał na rękach profesjonalne rękawiczki. Zerknął na Z. Z. kiwnął głową.

Udało się. Rozciągnęli najpierw jedną sprężynę, a potem drugą. Na tyle, że zmieściły się połówki odboju z MB100. Spuściliśmy osiołka z podnośnika. Wzięli jakieś grosze w swoich pięknych banknotach. Pojechaliśmy w stronę naszej awtostojanki. Zaraz za nią kończyło się miasto. Zostawiłem asfalt i puściłem się na przełaj po wądołach. Bez litości. Nasłuchiwalismy. Ale tylko kłamory w bagażniku łomotały. Stałem. Wysiedliśmy. Na oponach nie było żadnych nowych śladów.

Właściwie dopiero teraz wszystko się zaczynało. Do Aktiubińska czterysta pięćdziesiąt, a po drodze właściwie nic. Wyschnięte rzeki i wyschnięte słone jeziora. Coraz więcej wielbłądów. Wlokły za sobą pasma wylążającej wełny. Zostawiały na kolczastych zaroślach kłębki w kolorze kurzu. Droga biegła prosto. Nie musiała niczego omijać. Po lewej, sto kilometrów na północ, za rzeką Ural była Rosja. Niczym się nie różniła. Za Orskiem granica nakreślona była już tylko na piasku. Zastanawiałem się, co można zrobić z taką ilością przestrzeni. Z granicami, przez które swobodnie wędrują zwierzęta. Bo przecież tak naprawdę to pilnowanie piachu. Nadzór nad pustkowiem, po którym przemierzały się niegdyś ordy: Wielka, Średnia i Mała, a one nie znały granic. Zawierały jedynie sojusze, by nie paść ofiarą Ojratów, Kałmuków, Baszkirów czy Kozaków. Trawa dla koni rośnie przecież, gdzie chce. Wzdłuż biegu rzek, w dolinach osłoniętych od gorących wiatrów. Chan Małej Ordy Abulchajr płacił Moskwie za opiekę czterema tysiącami lisich skór rocznie. Ale nie był w stanie zapanować nad swoim ludem, który nad bezpieczeństwo przedkładał radość i dumę z łupiestwa. Kutłu Muhammed Tawwakul, po chrzcie Aleksiej Tiewkielew, poseł moskiewski, zdawał sobie sprawę, że panowania nad stepem nie da się zdobyć za pomocą ekspedycji wojskowych. Dlatego uciekał się do przekupstwa, podarków, umów handlowych. Podstępu, zmiennych sojuszy, obietnic i budowy fortec również. Moskwa postępowała tak samo jak Mongołowie, gdy właśnie ją wybrali spośród ruskich księstw i wspierając, doprowadzili do dominacji na Rusi. Bo przecież łatwiej mieć jednego poddanego, niż dogadywać się z dziesięcioma zwaśnionymi. Innymi słowy, ktoś musiał wziąć to wszystko za twarz, tych watażków, tych wodzów klanowych, plemiennych, których władza była iluzoryczna i krucha, bo przecież nie mogli się sprzeciwić najazdom i rabunkom urządzanym przez swoich poddanych, skoro stanowiły główny środek utrzymania oraz źródło mołojckiej chwały.

Ilekoć tu przyjeżdżałem, wyobrażałem sobie, jakby to było bez Rosji. Abulchajr nie musiałby się

opłacać czterema tysiącami lisich skór. Przemierzałby step, wyglądając kolejnych najeźdźców z głębi kontynentu, z którymi stawałby do walki, zawierał sojusze albo umykał przed nimi na zachód czy północ. W nieustannym ruchu, ze wzrokiem badającym horyzont, nasłuchując odgłosu końskich kopyt. Wysyłając szpiegów, chwytając jeńców. Jak sto, jak dwieście lat wcześniej. Jak zawsze w tych stronach, w tych krainach jakby zrodzonych przez nieskończoność, aby ludzie nabrali pojęcia o tym, czym może być wieczność. Teraźniejszością, której nie sposób opuścić. Można tylko wędrować w głąb niej z całym dobytkiem, wozami, jurtami, bydłem, psiarnią i dziećmi, zostawiając dzień po dniu i tydzień po tygodniu wygniecioną trawę i czarne kręgi po ogniskach. Tylko to można robić. Za stadami tłustiejącymi z upływem lata. Od wschodu do zachodu słońca. Bez miast i linearnego czasu, który więzi życie. Porzucając ogryzione kości i osłabłych starców. Szukając rad i wróżb w palonych baranich łopatkach.

Ilekczo tu przyjeżdżałem, wyobrażałem sobie, że to trwa. Że od czasu do czasu zjawia się jakiś nowy Temudżyn, nowy Timur Lenk i zagarnia ziemie i ludy, i buduje kolejne imperium, które w apokaliptycznym paroksyzmie sięga od wschodu po zachód, a potem, po śmierci wodza, znów rozpada się na osierocone plemiona, ułusy i ordy, które wędrują przez step, wyglądając nowego władcy. I nie ma Rosji, w której lesistym, bagiennym wnętrzu mogliby przepaść. Nie ma twierdzy orenburskiej, nie ma zręcznego Tiewkielewa, nie ma nic. Więc step sięga aż po bramy i mury naszych miast. Jeźdźcy okrążają je kłusem i w galopie. Ubrani w skórzane pancerze cuchną mięsem i dymem. Zjawiają się rok po roku wczesną jesienią. Strach więzi mieszkańców we wnętrzach kamiennych domów, w kościołach, w zaduchu, jesień po jesieni, rok za rokiem, stulecie za stuleciem, a konni wciąż przybywają, jakby nieustannie rodziła ich otchłanna przestrzeń, i jest ich więcej niż gwiazd na niebie, więcej niż ryb w morzu, i lekceważą miasta, jakby czuli do nich wstręt. Zostawiają je na pastwę głodu i ciągną dalej, toczą się jak fala obmywająca mury, jak potop kryjący uprawioną ziemię, jak pożar spopielający drewniane wsie. Dzicy i żywi, bez wyraźnego celu poza samym ruchem, poza wędrówką, jakby przy okazji siejąc mord, zniszczenie i pożogę, tak jak powódź bierze na swój grzbiet wszystko, co stanie jej na drodze.

Do Aktiubińska było czterysta pięćdziesiąt, więc mogłem sobie wyobrażać i wyobrażać. Do woli snuć dekadencje rojenia o ślepym zaułku zachodniej cywilizacji. Jeszcze się na nią dobrze nie załapałem, a już kręciłem nosem. Lubiłem patrzeć, jak Europa zamienia się w Azję. Czułem coś w rodzaju wrednej satysfakcji, że jednak gdzieś się kończy. Że włóczą się te bezpańskie wielbłądy, że brudno jest, że muchy latają. Że myć się za bardzo nie trzeba. Że można w kucki. Może w drogę gnała mnie jednak rozpacz, bo nie byłem ani stąd, ani stamtąd, jak jakiś biezprizorny. Między zabitą dziurą a nieskończonością stepu. Jaki tam Zachód? W Toskanii zdychałem z nudów od całej tej kultury i starodawności. Nad Amu-darią przygniatało mnie niebo bez końca, upał, znużenie i marzyłem, żeby to wszystko już się skończyło. No ale na pustyni czułem chociaż coś w rodzaju grozy, a we Włoszech nie czułem nic. Jakbym oglądał album, film albo folder. Nie chciało mi się niczego zapamiętywać. A teraz jechałem wpatrzony w pustkę i myślałem o kanistrach na dachu. Zastanawiałem się, jak znoszą ten upał. Było jakieś trzydzieści osiem stopni. Zastanawiałem się, czy ich zwyczajnie nie rozkurwi, czy ich czymś nie przykryć, żeby nie żarowało prosto w plastik. Ale tylko rozmyślałem, bo przecież jak się już ruszy i jest po horyzont prosto i płasko, i pusto, to nie chce się zatrzymywać, tylko jechać naprzeciw tej przestrzeni, bo się ma złudzenie, że jednak można ją pokonać. Więc tylko się zastanawiałem, czy wytrzymają i czy ich nie przykryć kawałkiem zielonej chińskiej plandeki ze sklepu ogrodniczego. Czasami wiatr zawiewał na szosę piasek. Całkiem jak śnieg: zasy w kształcie półksiężycowych ostrzy. Trzeba było zwalniać, bo niosło jak w prawdziwym śniegu. Czasami jechało się w pylistej chmurze niczym w zawiei. Po paru godzinach piekły oczy. Od słońca, od niewidzialnego pyłu w kabinie, od klimatyzacji. Nie potrafiłem prowadzić w okularach. Wszyscy inni mieli czarne szkła. Czarne land cruisery i czarne szkła. Tak wyglądał Kazachstan. Nie było innych aut. Co dziesięć minut coś się zjawiało na horyzoncie i to był cruiser.

Zawsze czarny. W Kirgistanie jeździły hondy. Najwięcej białych stepwagonów. To takim drapaliśmy się wtedy w śniegach na przełęcz gdzieś za Ugutem w drodze do Kazarmanu, a na ekranie nawigacji wciąż wyświetlało się Tokio. Z kolei na wschodzie, nad jeziorem Issyk-kul jeździły same audice 100. C3, piętnasto-, dwudziestoletnie. Nie było innych. Wozily wokół jeziora po sześć, siedem osób z bagażami. A tutaj te cruisery. Trochę złowrogo wyglądały w stepowo-pustynnym krajobrazie. Wszystkie miały przyciemniane szyby i trudno było zgadnąć, kto nimi jedzie. Zjawiały się znikąd we wstecznym lusterku i wyprzedzały bez kierunkowskazów. Gdy jechaliśmy setką, one cięły sto trzydzieści. Kolebały się na wybojach. Przeważnie benzynowe V8. Musiały zreć co najmniej piętnaście litrów przy takiej jeździe. Potem gdzieś w miastach widziałem, jak wysiadali z nich właściciele. Brzuchaci, pewni siebie, o nieruchomych twarzach. Tak samo musieli wyglądać setki lat temu, gdy wjeżdżali do zdobywanych miast i patrzyli na spętanych jeńców. Bo przecież świat był łupem, a życie okazją. Zresztą wszyscy robiliśmy to samo, tylko w Europie nauczyliśmy się udawać, że jest inaczej. Pozbyliśmy się wzgardliwej ostentacji i mydlimy sobie oczy równością. Że niby biedni i słabi są tyle samo warci co bogaci i silni. Guzik prawda. Tutaj to było jasne. Stawałem na parkingu poobijanym, zdrożonym osiołkiem, a ci z cruiserów patrzyli na nas przez te swoje lustrzanki jak na psie gówno. Na początku się tym przejmowałem, ale potem zacząłem myśleć: A walcie się. Ja zaraz wrócę do mojej Europy, a wy zostaniecie i do końca życia będziecie tymi swoimi buraczanymi furami rozjeżdżać wielbłądzie placki, i zawijać trzy razy dziennie do myjni, żeby lud prosty widział, że się błyszczycie jak Burkowi jaja. Tak myślałem, nie sądząc zresztą, że zrobiłoby to na nich wrażenie. Mieli gdzieś Europę z jej zakazem wyprzedzania na podwójnej ciągłej i pierwszeństwem dla pieszych na pasach. Umarliby z frustracji. Mogli najwyżej do niej wpaść i puścić trochę swoich petrotengów. Albo wysłać dzieciarnię, żeby się otrząsała w wielkim świecie i wycwaniła globalnie. Woleli grać sto pięćdziesiąt przez swoje auły, a wieczorem w cieniu pić piwo i patrzeć, jak stada kładą się na spoczynek. Dobrze ich rozumiałem. Też nie przepadałem za wyjazdami na Zachód. Za dużo tam było zasad, których nie rozumiałem. Tutaj trzeba było uważać na psiarnię i tyle. Czyli na silniejszego. Reszta miała raczej ludzki wymiar. Nie dało się zbyt długo udawać kogoś innego w tym przedwiecznym krajobrazie. Za okrutny był na udawanie. Za mało było w nim rzeczy zrobionych ludzką ręką.

Z. przebudził się z drzemki i zapytał:

- Gdzie jesteśmy?
- Stowa do Kobdy.
- Jest coś w tej Kobdzie?
- Trudno powiedzieć.
- Po drodze coś było?
- Niespecjalnie.
- Jak chcesz, mogę pojechać – zaproponował.

Na niebieskim znaku było, że za dziesięć kilometrów parking. Jak u nas: drzewko i stoliczek. Znaczy, że nawet biwak. Ale drzewka nie było. Nic tam nie rosło. Betonowy plac, kanał pospawany z żelaznych belek i blaszana altana w guście eleganckiej kopuły. Wysiedliśmy. Jakbyśmy wskoczyli do gorącej wody. Czterdzieści stopni jak nic. W altance pięćdziesiąt. Podobało mi się. Kazachstan nie brał jeńców. Otworzyłem bagażnik, wyjąłem maszynkę, czajnik, neskę, kubki i chińskie zupki w plastikach z widelczykami w środku. Jak biwak, to biwak. Z. popatrzył bez zainteresowania. Pod blachą był stoliczek i ławeczki. Beton parzył przez podeszwy. Powietrze falowało, jakby wszędzie parowała benzyna. Wróciłem, żeby sprawdzić kanistry. Wspiąłem się na próg. Były wzdęte jak zdechłe prosięta. Parzyły w dłoń. Kupiłem je w jakimś Tesco albo Auchanie. Nigdzie nie miały napisane, że do paliw, że jakiś atest. Poklepałem je i zlażłem. Pomyślałem, że jak wytrzymają te dzisiejsze czterdzieści, to będzie po strachu. I

nawet fajnie było jechać z taką bombą na dachu jak jacy kamikadze albo automobilowi szahidzi.

Z. nie chciał zupy ani kawy. Wodę sobie pociągał. Ja trochę na siłę jadłem, żeby było jak na stepie, czyli postój, obóz, posiłek i znowu w drogę. Siedzieliśmy tak z pół godziny i przejechał jeden czarny cruiser. Wsiadliśmy do auta. W środku było sześćdziesiąt. Miałem wrażenie, że z klimy leci rozpalony kurz. Na postojach albo gdy trzeba było wolno przez miasto, przestawała działać. Ale na asfalcie, jak się już rozbujaliśmy, powiało chłodnym. Z. lubił przycisnąć. W domu miał stare audi a2 quattro z benzyniakiem podkręconym do dwustu pięćdziesięciu koni. Kiedyś dał mi się przejechać po autostradzie. Duża przyjemność, aczkolwiek nieco monotonna, bo sprowadzała się do wyprzedzania. Teraz też nieźle cisnął, chociaż z osiołka nie było żadne audi quattro. Zwłaszcza na łukach i muldach. Tyłek uciekał i chwilami robiła się z niego niesterowna wersalka. Ale się nie odzywałem. Z. był starszy i mądrzejszy i nakręcił w życiu z pięć razy tyle co ja albo i dziesięć. Raz mu się nawet na autobanie laweta odzepiła, jak ciągnął jakiegoś strucla z Niemiec, i cało oraz prawie bez strat materialnych z tego wyszedł. Tak więc nie odzywałem się, tylko deptałem w podłogę, jak nam ten tyłek uciekał. Znacnie to: nawet gdy się siedzi obok najlepszego kierowcy, to nogi jednak pracują. Poza tym nic się nie działo. Tylko przed Kobdą na chwilę stanęliśmy, bo przy drodze zjawił się cmentarz. Jak takie mniejsze miasteczko. Miasteczko dla lalek. Mury, bramy, wieże, blanki. Każdy grób niby starodawny zamek albo pałac. Wszystkie w kolorze gliniastej ziemi, jakby kiedyś się z niej wynurzyły i miały trwać do końca świata, do chwili gdy gorący wiatr poniesie je do Dżungarii albo na Takla Makan, których już wtedy nie będzie, i potem w otchłan kosmosu. Pięknie to wyglądało. Znacznie piękniej niż na Bródnie, piękniej niż na Wólce Węglowej. Pierwsze takie widziałem kiedyś nad Issyk-kulem. Wewnątrz murów na zapadłych kopczykach leżały żelazne kraty w kształcie płaskich kopuł. Zapytaliśmy wtedy kierowcę. Powiedział, że to przed psami. Żeby nie porozwlekały.

Stałem i wyobrażałem sobie idealnie wyschnięte szkielety. Ich barwę podobną do barwy ziemi i grobowców. Z. poszedł gdzieś w głąb, bo jeszcze nigdy czegoś takiego nie widział. Było wczesne popołudnie i cienie wyglądały jak plamy u naszych stóp.

Aktiubińsk tylko mignął. Tak mi się wydawało. Ale mogliśmy tam stanąć na chwilę, żeby odetchnąć w cieniu topól i zrobić jakieś zakupy. Na nocleg było jeszcze za wcześnie, więc pojechaliśmy dalej. Do Chromtau była setka. Zajechaliśmy pod wieczór. Chromtau dostało imię od rudy chromu. Wyglądało ponuro i ciekawie z tymi hałdami, taśmociągami i martwym żelastwem. Niby miasto, ale w gruncie rzeczy rozwlekła parterowa wieś. Chałupinki przycupnęły w ogrodach. Gdakały kury. W centrum stało trochę paropiętrowych ceglanych bloków. Przy rondzie cerkiew i meczet. Objechaliśmy parę razy. Wszystko to znałem. Od Kiszyniowa po Biszkek. Tę wiejskość, która się lęga zaraz obok centrum. Tutaj rondo, bloki, beton, półżywy apokalipso-industrial, a kawałek dalej gęsty cień orzechów, jabłonie, rzeźbione okiennice i zbutwiałość, zapadłość domostw wrastających powoli w ziemię. Od Kiszyniowa po Biszkek. Od Iwano-Frankiwska po Kazarman. Z tymi pomalowanymi olejną blaszanymi bramami, za którymi toczy się skrętne, niewidzialne życie z noszeniem wody, zbieraniem owoców, wekami na zimę, wonią rozgrzanego na patelni oleju i przesiadywaniem w chłodzie o schyłku dnia, o zmierzchu. Od Kongazu po Aginskoje. Te człowiecze skrawki, spłachetki, zagródki i obejścia pod obojętnym niebem, na przekór bezlitosnej przestrzeni, wrosnięte w nicość.

– Ale pospać to nie ma gdzie – powiedział Z., gdy kolejny raz przejeżdżaliśmy koło cerkwi i meczetu.

Akurat mijaliśmy długi blok z napisem „hotel”, ale nawet nie przyszło nam do głowy, żeby stanąć. Ani nikomu innemu, bo parking ział pustką.

– Jedźmy za miasto. Kierowcy muszą gdzieś spać – powiedziałem.

– Wożą chrom, to muszą – odpowiedział.

Spali parę kilometrów za miastem, na wschód, wśród hałd. Hałdy były już trochę porośnięte zielenią,

ale dałbym głowę, że w nocy świecą w jakichś fajnych kolorach. Kto się jednak przejmował kazachską radiacją po dwunastu godzinach jazdy trasą M32? Nikt. W każdym razie nikt z tych facetów słończonych na ciasnym placu szoferka w szoferkę, burta w burte. Chodzili w rozciągniętych dresach, w klapkach, jarali, pogadywali, coś tam sobie pichcili. Tirowski czilaut. Szli pod prysznic z ręcznikami na ramionach, z wytartymi reklamówkami w rękach. Prysznic był w hotelowym budynku. Płacili parę tengów i zmywali z siebie stepowy pył. Spali w szoferkach. Zaciągali zasłonki i coś tam jeszcze oglądali w telewizorkach. Wstawali o świcie i odpalali swoje sześć-, ośmiocyndrowce po dwanaście, czternaście litrów, czekali, aż się nagrzeją, i wolno wytaczali się na szosę. Lubiłem ten dźwięk, nawet gdy mnie budził. Twardy, klekoczący, żelazisty. Jakby tam w środku nie było żadnego sprężania i rozprężania, jakby nie było tego cudu kontrolowanej eksplozji, która rozdziela metalowe płaszczyzny, odpycha je od siebie i przybliża dwa tysiące razy na minutę. Jakby tłoki barbarzyńsko tłukły w zawory, w głowicę, pozbawione eterycznej mediacji płonącej mieszanki. Tak to brzmiało o poranku. Jak hipermlockarnia. Ale gdy już się trochę rozpędziło, rozsmarowało wewnątrz, nabrało temperatury, dźwięk łagodniał. A potem chłopaki raz czy dwa dodawały gazu i odzywał się ten podziemny, tektoniczny gulgot. Jakby się jakieś chtoniczne bydlę budziło. Jakby wstawało na łapy, strząsało z siebie ziemię, piach, skalny rumosz i ruszało w świat. Nie do zatrzymania. Taki jest diesel. Nieporównywalny z frywolną lekkością benzyniaka.

Tak więc szli z ręcznikami na ramionach, z wytartymi reklamówkami w dłoniach, żeby za parę tengów zmyć stepowy pył. Chudzi, grubi, łysi, długowłosi. W crocsach, w klapkach, w rozdeptanych adidasach. Azjaci, Słowianie. Smagli i bladzi. Rusczy, Kirgizi, Kazachowie. Oddzielne plemię.

Zawsze chciałem być jednym z nich. Od czasu gdy pierwszy raz wsiadłem do zielonego lublina mojego wuja. A może jeszcze wcześniej? Gdy dostałem pod choinkę czerwoną straż pożarną? Tę z długim nosem, na sześciu kołach, napędzaną mechanizmem z kołem zamachowym. Była cała z blachy. Nie to co teraz. Zderzaki, drabina i parę innych dupereli było niklowanych. Gdy się ją dobrze rozpędziło, pokonywała cały pokój i zatrzymywała się dopiero przy ścianie. Dźwięk jednak przypominał tramwaj. No ale to był mój pierwszy samochód w życiu, więc jego obraz zabiorę do grobu. Wtedy wyobrażałem sobie, że wchodzę do szoferki i ruszam czerwonym jak ogień pojazdem. Wcale nie do pożaru, tylko gdzieś przed siebie, po prostu w dal dzieciństwa. Potem właściwie nigdy nie imponowali mi kierowcy osobówek. Jacyś za ładni byli albo za pospolici. Po prawdziwych szoferach widać, że znają życie i nie jeżdżą na pokaz. Jeżdżą, bo taki jest ich los. Tego im zazdrościłem: fatalizmu. Każdego poranka wsiadali, grzali silnik i wytaczali się na trasę. Skacowani, wkurwieni, niewyspani i źli. Ale ruszali.

*

– Dzieci dużo mają – powiedział Z.

Rzeczywiście dzieciarnia latała po całym hotelu. Rodziny obozowały w pokojach. Przez uchylone drzwi było widać koczowiska. Podobało mi się to. Na co komu meble w drodze? Włóżysz coś do szafy, do szuflady i wiadomo, że zapomnisz. A tutaj wszystko mieli na kupie, na podłodze, na łózkach. Toboły, walizy, jedzenie, ubrania. Do łazienki stała kolejka. W środku było czysto, gorąco i mokro. Woda lała się bez przerwy. To w ogóle nie przypominało hotelu, tylko jakieś kolonie. Ktoś czasem zaglądał i cofał się bez słowa. Mydła leżały, szampony stały, wisiały ręczniki nie wiadomo czyje. Więc kolonia, komunałka, po prostu dom pełen ludzi. Tyle że na drzwiach pokoiów były numery, ale ludzie się mylili, wchodzili bez pukania i wycofywali się zdziwieni, zostawiając otwarte. No ale przed północą trochę się uspokoiło i zasnęliśmy.

Zbudziły mnie diesle. Od razu wstałem i wyszedłem. Niebo na wschodzie miało barwę rozżarzonego

metal. Chłodno było jak nigdy przez ostatni tydzień. Otworzyłem auto i wyjąłem kurtkę. Silniki dudniły. Twardy odgłos łagodniał, zaokrąglął się. Podjechała policja. Zapytali, czy restauracja już czynna. Powiedziałem, że wszystko jeszcze pozamykane. Przejechali na drugą stronę asfaltu, zaparkowali, odchyłili fotele i chyba zaczęli drzemać. Piękny był ten świt z ognistym niebem i czarnymi konturami chromowych hałd. Wyjąłem czajnik, maszynkę, postawiłem na tylnym zderzaku, nalałem wody i zapaliłem gaz. Ruszyła scania, ruszył freightliner, ruszył man. Ten ostatni miał na plandece z tyłu wielki napis „Siemsot dorog”. Tak się nazywała firma, w której jeździł. Widziałem takich kilka po drodze. Pojechał na wschód, naprzeciw złotemu brzaskowi. „Siemsot dorog”. Dobrze to brzmiało. Zrobiłem sobie neskę. Wtedy podszedł ten facet i zapytał, czy mam papierosa. Nie miałem. Koszula mu zjechała i wyglądało to tak, jakby włożył marynarkę na gołe ciało. Miał przekrwione oczy i parodniowy zarost. Powiedział, że nic właściwie nie ma i został mu tylko paszport. Wyjął go i pokazał, jakbym był jakimś psem. Albo grenszucem. A on właśnie wracał z dalekiej podróży i próbował się przedostać do królestwa żywych. Robił to jednak bez przekonania. Popatrywał trwożnie i zaraz opuszczał wzrok. Na zdjęciu wyglądał znacznie lepiej.

– W Aktiubińsk jedziesz? – zapytał.

– Nie. W drugą stronę – odpowiedziałem. – Do Tadżykistanu.

– Do Tadżykistanu – kiwnął głową. Jakbym powiedział, że z Żoliborza na Śródmieście.

– Tak. Kolega jeszcze śpi. Jak wstanie, pojedziemy.

– A ja, widzisz, przepadłem. Wszystko straciłem.

– To znaczy co?

– Nie wiem. Musiałem coś mieć, jak wychodziłem. Pieniądze, telefon, jak człowiek.

– Dawno?

– Cztery dni, pięć. W Karagandzie byłem.

Wiedziałem, o czym mówi. Zdarzało się. Ale nie pięć dni i półtora tysiąca kilometrów.

– Wsiadłem do pociągu. Potem czort wie. Musiałem czymś jechać, skoro tu zjechałem.

– Przez Rosję?

– Nie. Od Aralska. Gdzieś musiałem wysiąść. Albo wyrzucili. Dziś w nocy w stepie stałem. Wziął mnie dobry człowiek, tu przywiózł. Ocknąłem się i w stepie stoję. Zimno było. Nie miałem co zapalić. W ogóle nic. Tylko paszport zostawili.

– Kto?

– Nie wiem. Ale zostawili. A mogli i paszport.

Próbował się uśmiechnąć, ale tylko się skrzywił, jakby poczuł ból.

Poszedł pomiędzy ciężarówki i po chwili wrócił z niezapalonym papierosem w ustach. Podałem mu zapałki, ale zaraz musiałem odebrać, bo gdy próbował wyjąć jedną, wysypał pół pudełka. Przypaliłem mu. Zaciągnął się, zanim odsunąłem płomień.

– Do Aktiubińska muszę.

– Już niedaleko – powiedziałem.

Dygotał od zimna i trucizn, które w nim krążyły. Nie miałem niczego, by mu ulżyć. Knajpa była jeszcze zamknięta. Trząśł się stale i równomiernie. Nie pamiętał pięciu dni i tysiąca pięciuset kilometrów. Po prostu go nie było. Zniknął w tej przestrzeni. Można powiedzieć, że właściwie umarł i teraz zmartwychwstawał. Chciałem mu złożyć wyrazy szacunku, ale nie byłem pewien swojego rosyjskiego i nie chciałem, by zabrzmiało to jak drwina albo szyderstwo. Pomyślałem, że wielu tutaj przepadało, w tej otchłani bez czasu, bez historii, bez drogowskazów, ale niektórzy potrafili sobie jakoś poradzić. Synowie swej krainy. To jak zanurkować ze świadomością, że ma się trzy szanse na siedem. Albo jedną na dziewięć. Albo w ogóle. I się udaje.

– Do Aktiubińska – powtórzył.

Odrzucił tłący się śmierdząco filtr.

– Do córki. Pięć dni temu dzwoniłem, że już wyjeżdżam. Z dworca dzwoniłem. A potem już nie wiem.

Pewnie ona dzwoniła do mnie, ale, widzisz, telefonu też nie mam.

Wyjąłem z kieszeni swojego niezniszczalnego starocia i podałem. Wyciągnął rękę, ale zaraz mu opadła.

– Nie. Lepiej nie. Co jej powiem?

Postawił kołnierz marynarki, wepchnął dłonie pod szary materiał, jakby próbował sam siebie objąć i ukoić własne drżenie.

– A zresztą i tak nie pamiętam numeru – zakończył sprawę.

Staliśmy obok siebie i czekaliśmy, aż wyjdzie słońce. To miało być już za chwilę, bo szczyty hałd płonęły złotym blaskiem. Psiarnia drzemała odchylona w fotelach. Od czasu do czasu rzucał w ich stronę czujne spojrzenie. W kilku osobówkach na parkingu budzili się ludzie. Wygrzebywali się z kołder, ziewali. Niektóre auta miały w oknach firanki. Wszystkie były załadowane pod dach. Ktoś wypuścił małego białego pieska. Obiegł parę samochodów i wysikał się na tylne koło wyszarzałej istany z tobołami na dachu.

– Jesteś głodny? – zapytałem.

Nie usłyszałem, co odpowiedział. Otworzyłem bagażnik, znowu wyjąłem maszynkę i czajnik. Gdy woda się zagotowała, zalałem chińską zupkę w płaskim prostokątnym pojemniku. Odczekałem chwilę i podałem mu razem z łyżką. Siorbiąc, zjadł w trzy minuty. Zrobiłem mu następną. W okrągłym garnuszku. Gdy ją brał, pierwszy raz uśmiechnął się naprawdę. A potem, jakby dopiero teraz usłyszał mój rosyjski, zapytał, skąd jestem. Gdy mu powiedziałem, ożywił się na chwilę.

– Mam kolegę z Polski – powiedział.

– Skąd?

– Nie pamiętam. Jest księdzem niedaleko Karagandy.

– Trochę naszych tam żyje.

– Ma kaplicę w takim baraku. Krzyż na dachu przybili. Modlą się w niedzielę. Różne rzeczy rozdają. Ubrania czasami, czasami jedzenie. Można się polskiego uczyć.

– Uczysz się?

– Nie. Ale się ochrzciłem.

– Tak po prostu?

– Właściwie tak.

– Nie jesteś muzułmaninem?

– Słaby byłby ze mnie muzułmanin. – Na jego twarzy znów pojawiło się coś na kształt uśmiechu. – Przez pięć dni nie wiedziałem, gdzie Aktiubińsk, gdzie Karaganda, a co dopiero Mekka. Jak miałbym się modlić? U was wszystko jest prostsze. Chcesz, to się modlisz. Nie chcesz, to pomodlisz się później. Albo wcale się nie pomodlisz.

– Tak ci ksiądz mówił?

– Tak wychodzi. Przecież mógłbym się ochrzcić na sam koniec i byłoby ważne, nie?

– Chyba tak – odpowiedziałem.

Wyszło słońce i od razu zrobiło się cieplej. Otworzyli knajpę i ludzie z osobówek szli coś zjeść. Piesek dostał wody. Odzywały się kolejne diesle. Gliniarze wysiedli z auta i przeciągali się w pierwszych promieniach. Powiedział, że pójdzie po papierosa, i zniknął wśród ciężarówek. Mundurowi nadeszli ociężałym krokiem. Spojrzeli z ukosa na moje blachy i wdrapali się na schody hotelu. Byli młodzi i tłuści. Dwa razy młodszy ode mnie i dwa razy tłuściejsi. Zaczynali tyć, jak tylko włożyli mundury.

Tak tu było.

Wrócił z zapalonym papierosem w dłoni. Drugi bielał za uchem. Od razu zaczął przerwana rozmowę:

– A ty jak myślisz? Jest Bóg czy nie ma?

– A ty?

– Wasz ksiądz mówi, że jest.

– Nasi księża zawsze tak mówią.

– No ale ty jak myślisz?

– Nie wiem – odpowiedziałem. – Ja nie znajduję, muzyk. W szóst' czasow utra w Chromtau ty mienia o

Bohu spraszujesz?

Zaciągnął się. Wypuścił dym. Widać ten chrzest nie dawał mu spokoju. Pewnie myślał, że jak jeden Polak go ochrzcił, to drugi powinien wiedzieć, o co w tym chodzi. Zapewne dobrze myślał, ale źle trafił. Mój rosyjski nie był na tyle dobry, by rozmawiać o Bogu. Na pewno nie o szóstej rano wśród chromowych hałd, chociaż trudno było o lepsze miejsce i lepszy czas. On nie wiedział, jak się tu znalazł, ja nie wiedziałem właściwie po co. Bolała mnie dupa, bolały mnie plecy, bolało mnie wszystko. Dlaczego jeździmy w jedne miejsca, a w inne nie? Czego słuchamy? Jakiego głosu? Co nas przesuwa po mapie świata? Jaka nawigacja rysuje niewidzialną linię, wzdłuż której zdążamy? Bo jeśli żadna, to co? Marnujemy życie i paliwo? Hektolitry benzy i diesla? Nie znajduję, drug. Ale nigdy się specjalnie nie opierałem. Wstawałem, tankowałem i jechałem. To przecież Pan musiał natchnąć Étienne'a Lenoira, Nikolausa Otta, a potem Henry'ego Forda. Nie ma innej możliwości. Więc niewykluczone, że i mnie zatrudnia. Posyła, bym oglądał Jego stworzenie. Do Chromtau mnie posyła, w piachy bezkresne, w horyzont szary od skwaru, w piździec, w nieodgadnione. Nigdy się nie wzbraniam. Wstaję, tankuję i jadę. Nie wiem, drug, może wiedzie mnie na pokuszenie? Wyprawia na pustynię, by złe mnie zwiodło? Bym doświadczał mirażu poznania i błąkał się wiedziony błędnymi ogniami własnej pychy, gówniarską skłonność do włóczęgi biorąc za niebiański GPS? Nie wiem.

Rzucił niedopałek i wyciągnął brązową dłoń. Za paznokciami miał pięciodniowy brud. Powiedział, że dziękuje i że musi iść poszukać jakiegoś samochodu. Dotyk miał ciepły, twardy i szorstki. Poszedł w stronę ciężarówek. Nie zapamiętałem jego imienia.

Z. już się wykąpał i krzątał się teraz w pokoju.

– Znowu gdzieś byłeś? – zapytał.

– Nie. Tak wyszedłem. Przyjemnie jest. Chłodno. Psiarnia na śniadanie zjechała. Ładny dzień się zapowiada.

– A ile dziś mamy?

– Niecały tysiąc – powiedziałem nieco zdziwiony tą liczbą.

– No to trzeba jechać – odpowiedział i wrzucił ostatnie rzeczy do torby.

Właściwie to nie wiem, dlaczego nie zostałem mechanikiem. W FSO-wskiej szkole były takie klasy. Ale mnie posłali do jakiejś automatyczno-przemysłowej. Transduktory i przekładniki. Nic nie rozumiałem. Nie chciałem rozumieć. Trzeba było rysować gwinty metryczne tuszem kreślarskim na kalce. Rozmazywało się. Jakieś blaszane duperle ołówkiem na papierze milimetrowym. Krzywo wychodziło. Ścierałem gumką. Plamy zostawały. Trzeba było liczyć jakieś belki stalowe, czy się nie złamią, nie zegną, nie zerwą, czy ich chuj nie strzeli, jak się przyłoży ze sto czy tysiąc kilogramometrów. Gehenna i mordęga. A przez ulicę fabryka stała i składali w niej fiaty 125p. Wszystko po kolei: podwozie, zawieszenie, blachy, silnik. Budy robili na miejscu. Tłoczyli, spawali, zgrzewali, lakierowali. A nam na warsztatach kazali młotek pilnikiem wypilować z kawałka żelaza. Skóra mi cierpnie do tej pory. Jak w jakimś gułagu. Trzy miesiące piłowania. Tam półtoralitrowe benzyniaki rozpędzali na hamowni i sprawdzali, czy się nie rozleczą. A my imadło i pilnik. W czarnych beretach, w za krótkich drelichach, w

za dużych butach. Tak nas ubierali. Po drugiej stronie klasa robotnicza regulowała gaźniki, ustawiała zapłony, dokręcała zawory, a myśmy piłowali młotek i kreślili gwinty metryczne jak w babilońskiej niewoli. Żeby po czterech latach obsługiwać kombajny do spawania. Z perspektywą, że żywe auto co najwyżej na parkingu będziemy mogli zobaczyć. Nie dałem rady. Wywalili mnie. To znaczy przenieśli do zawodówki. Było lepiej. Jakieś maszyny, tokarki, frezarki, szlifierki i praktyka trzy razy w tygodniu po drugiej stronie Stalingradzkiej razem z prawdziwą klasą pracującą. Niby już bliżej, ale też zero aut, tylko dłubanina w metalu. Jakieś części Bóg wie do czego, duperеле, doróbki, remontówka. Szary żywot ślusarza. Więc też nie dało się ukończyć. Nic się nie dało, ponieważ klasy mechanik-kierowca z jakiegoś względu były nie dla mnie.

Pięć lat później siedziałem w więzieniu. To był Stargard Szczeciński. Pracowaliśmy w lodowatej hali. Przywozili odlewy z miejscowego Polmo. Głowice do żuków to chyba były. Aluminium, żeliwo. Tak, do żuków. Duperеле. Jechaliśmy pilnikami nadlewy. Krzyżaki do kardanów nawiercaliśmy. Na stołowych wiertarkach. Jak automaty. Setki, tysiące. Cztery dziury i do skrzynki, cztery dziury i do skrzynki, cztery dziury i do skrzynki. W czarnej od smaru lodowni. Na dwie zmiany. Zimą o trzeciej robiło się ciemno i przez nieszczelne okna nawiewało śniegu. Cztery i do skrzynki. Osiem godzin. Setki, tysiące krzyżaków. Setki, tysiące głowic. Chyba przez rok. Ani jednego samochodu. Czasami było słycać klakson w mieście. Nienawidziłem motoryzacji. Nienawidziłem silników spalinowych z tym całym zasranym osprzętem. Chyba czeskie jikovy do tego przychodziły. Nawet porządnego gaźnika nie potrafili zrobić. Piłowaliśmy, a na wieżach stali strażnicy z peemami. Na noc wypuszczali psy. Jakbym poszedł na kierowcę-

-mechanika, to może nie trafiłbym do więzienia. Ale nie żałuję. Przynajmniej wiem, jak się nawierca krzyżaki do żukowskiego wału napędowego w zimie przy wybitych szybach.

Ale przecież nie o tym myślałem, gdy stanęliśmy na chwilę w Aralsku. Wszyscy tam stawali i szukali okrętów zarytych w piasku. Jeziora, które wyschło. Nawet na mapie było zaznaczone: Ship cemetery. Pięćdziesiąt kilometrów przez pustkowia. Wszyscy już tam byli i porobili zdjęcia. Dzięki. My szukaliśmy tylko bankomatu, bo nam się tengi skończyły. Zera nam się wciąż myliły i nie chcieliśmy wziąć za dużo, żeby z tymi pięknymi banknotami nie zostać. Bo co robić z tengami? Stanęliśmy na placu w środku wszechświatowej stolicy klęsk ekologicznych i odpowiadaliśmy na nieustanne „hełoł” dzieciarni i młodzieży w ciemnych okularach. Gdyby oni wiedzieli, jacy my jesteśmy „hełoł”... Gdyby oni wiedzieli, że ich zapiaszczony plac z kręgiem baracznego parteru wokół przypomina mi mój dziecięcy Sokołów Podlaski, tyle że gorący i pustynny. Gdyby tylko wiedzieli. Pomnik na środku stał. Z jeźdźcem, a jakże. Jeździec napinał łuk. U podnóża siedzieli połączani mędracy, poeci, w każdym razie jakaś inteligencja. Ale jak tylko wzięliśmy kasę, pojechaliśmy dalej. Nie dało się z gorąca wytrzymać pod tym niebem, które nawet nie było błękitne, tylko spłowiałe, wypalone. W przysiółku przy szosie leżała zakrwawiona kobieta. Powinniśmy się zatrzymać – tak pomyślałem – ale wokół stał już tłumek miejscowych i na co im były jakieś przybłędy. Ktoś już trzymał telefon przy uchu i gestykulował, więc pojechaliśmy dalej. Wiało bardzo mocno. Czuję, jak auto przyjmuje boczne uderzenia. Piach na asfalcie formował się w zaspę. Nie było żartów. Woziło jak w sypkim śniegu. Arał-kum był całkiem biały od tej zawiei. Białe lepianki, białe płoty z patyków, białe wielbłądy niczym usypane figury. Wzdłuż drogi jechał chłopiec, też na białym wielbłądzie. Nad asfaltem wybudowali kładkę dla pieszych, absurdalnie wysoką i zadaszoną, zamkniętą w przeszklonej rurze. Na tym pustkowiu z dwoma samochodami na godzinę, z tymi ludźmi, którym nie chciało się opuszczać domów, a co dopiero wspinać po kilkudziesięciu stopniach, w tym pustym upale.

Wydawało mi się, że jedziemy coraz szybciej, że chcemy wyrwać się przestrzeni, że chcemy ją pokonać, przechytryć za pomocą czterech cylindrów, dwóch litrów pojemności i stu trzydziestu koni. Że

ciąg wyładowań elektrycznych między elektrodami świec i benzynowych eksplozji da sobie jakoś radę z przedwieczną nieskończonością, że cywilizowane pokona dzięki, że panujemy nad tą rozgrzaną i nudną emanacją kosmosu, że naciskając pedały, przestawiając dźwignie, kontrolując mechanizmy, jakoś sobie radzimy ze śmiertelną otchłanią, że jesteśmy w stanie poruszać się szybciej, niż ona się rozszerza.

Wtedy po lewej zjawiał się Bajkonur. Leżał parę kilometrów od szosy. Na nagim wzniesieniu widać było talerze anten, coś dużego, monumentalnego nawet. Jak ruiny jakiejś zamierzchłej cywilizacji to wyglądało. Jak jakieś Mohendzo Daro. Tyle że blaszane i ciut zardzewiałe. Z tych paru kilometrów było widać. Musieliśmy zwolnić, bo akurat naprawiali drogę, rozryli pustkowie, żeby zrobić skrzyżowanie, rondo, nie wiadomo co, więc można się było przyjrzeć. Ale podjechać tam? Na randkę ze skorodowaną Godzillą? Dzięki. Wszystko zaczęło się od latania w kosmos. Całe to poczucie wszechmocy. Całe to przekonanie, że jakby co, to damy radę. Że najlepsi jesteśmy. Że w razie czego to się przeprowadzimy i zaczniemy wszystko od nowa. Nawet Locha, mądry przecież chłopak, uwierzył w to wszystko. Że jest jakieś wyjście. Oni tak samo. Wybudowali w środku pustyni astronautyczną zajezdnię, żeby latać w głąb jeszcze większej pustyni. Na czarną i lodowatą Saharę. Poleciał jeden, wrócił i mówi: „Boga nie widziałem”. Pewnie, bo Bóg nie marzył o niczym innym, jak żeby się pokazać akurat jemu. Sam zresztą nie byłem lepszy. Władowałem spory pieniądz w osiołka, żeby dojechać jak najdalej. Jak oni w swoje rakiety. Bo też mi się wydawały różne rzeczy. Na przykład że jak jest pusto, to powinny objawiać się sprawy najważniejsze. Z tym dzieciennym przekonaniem montowałem dobinsonsy i pakowałem auto. W kolejkach po te wszystkie wizy stałem. A potem ślepełem od kurzu i upału, ale jechałem. W nadziei, że szkoda życia na rekreację oraz wypoczynek. Z kanistrami wzdętymi jak padłe wieprze. Kretyn i naiwniak. Że to się da własnym sumptem. Że jak się natłucze kilometrów, to się pokaże. A nie tak jak Gagarinowi. Że nie trzeba wcale budować kosmodromu, bo wystarczy skołatane serce i strzępek niegdysiejszej duszy. Ale być może wszystko to jest psu na budę oraz marnotrawstwo zasobów nieodnawialnych. W każdym razie tylko mignął ten Babilon z blachy i zaraz zakrył go kurz. Kręciłem między wybojami i mamrotałem wewnątrz, że zbawion być może, kto się dążeniem trzyma. Mamrotałem na pociesznie.

Syr-daria zaczęła się zjawiać po prawej. Raz dalej, raz bliżej. Czasem płynęła tuż przy szosie. Toczyła ciężki, buri nurt. Niosła muł z gór i pustyni. Wsiąkała w piachy Kyzył-kumu. Lecz tutaj wygląd miała masywny. Jakby wypełniała ją nie woda, ale ledwo płynna materia. Na brzegach zieleniały trzciny. Tu i tam po kilka wierzb. Jechaliśmy pod prąd. W stronę Tienszanu, w stronę Gór Niebiańskich. Dobrze to brzmiało. Wzdłuż starożytnej rzeki w stronę legendarnych gór. Koło trzeciej po południu z ulgą wlałem jeden kanister do baku. Z boxem na dachu, przy stu trzydziestu non stop osiołek okazywał nadszpiegowane pragnienie. Pod wieczór mieliśmy być w Kyzyłordzie.

Ale nie byliśmy. Asfalt się skończył. To znaczy postawili barierę, a oprócz tego wysypali dwadzieścia ton ziemi, żeby nikt się nie przebił, i trzeba było zjechać w piachy. Właściwie to nie był piach, tylko coś w rodzaju szarego pudru albo brudnej mąki. I od razu gęściej się zrobiło. Tiry chwiały się na boki. Z naczepami, z przyczepami. Ciągnik w jedną, naczepa w drugą. Na jedyńce. Włączyłem długie i przeciwmgielne. Tych z przeciwka widać było najwyżej na dziesięć metrów. Wynurzali się jak duchy z pylistego półmroku. Siwi jak samochodowi starcy, jak Matuzalemowie tras. Tylko wachlarzowate skrawki przetartego na szybach odbijały się ciemniejszym. A poza tym sypkie i szare okrywało pojazdy. Gdyby nie światła, naprawdę można było zaliczyć dzwona. Zamknąłem nawiew z zewnątrz. Zaczęliśmy się pocić.

– Widziałeś kiedyś coś takiego? – zapytałem.

– Nie. Czegoś takiego nie – odpowiedział Z.

Teraz on prowadził. Pochylny do przodu w nadziei, że dostrzeże coś więcej niż maskę. Włączył spryskiwacze i na szybie od razu zrobiło się błoto. Dziesięć, piętnaście na godzinę. Czasami coś

wyprzedzał. Kazachskie i kirgiskie blachy. Ale z trudem, bo to właściwie nie była droga, tylko wyorany kołami rów. Dziury i muldy. Nie dało się nic zobaczyć, niczego przewidzieć. Trzymałem się uchwytu, żeby nie wylecieć z siedzenia. Z bagażnika dobiegał łomot żelastwa. Błogosławiłem pomysł z gumami od MB100. Gdyby nie one, jechalibyśmy już na samych felgach. Wydawało się, że jest płasko, ale koła wpadały w dziury wypełnione pyłem jak wodą.

– Drogę pewnie robią. Autostradę – powiedział Z.

Nic nie odpowiedziałem, bo byłem zajęty prowadzeniem. Deptałem nieistniejący gaz i niewidzialny hamulec. W myślach zmieniałem biegi. Z. włączył przód, bo w tym pudrze traciliśmy przyczepność. Próbowano nas bokiem stawiać. A tu nie było zmiłuj między ciężarówkami. Wcześniej rozciągnięte, rozwleczone na kilometry zbiły się teraz w ciasne stado. Też próbowały się wyprzedzać. Wiadomo, każdemu się spieszy. Zwłaszcza jak nic nie widać i można wywalić się na bok. Czasami coś migąło: cmentarz, kanał albo odnoga Syr-darii, pole ryżowe, ale zaraz przepadało w tumanie. Słońce wyglądało jak przydymiony krążek. Czasami był znak albo tylko kupa piachu, że niby znowu mamy na asfalt, ale chodziło tylko o to, żeby przegonić nas na drugą stronę nasypu w taki sam lotny syf. Tak więc raz jedną, raz drugą stroną. Jadący z przeciwka wyglądali jak zjawy. Nawet w tej kurzawie nie zdejmowali ciemnych okularów. Ale za to nie było cruiserów. Wiedziały, co w trawie piszczy. Może łoły gołą pustynią na GPS-ach? Na pewno szybciej im szło. Z. też próbował poganiać. Wyprzedzał tiry, wjeżdżał między rozkołysane naczepy jak między góry lodowe na wzburzonym oceanie. Nie dawało się. Trzydzieści na godzinę to była prędkość krytyczna. Z boku kopał się ciągnik. Całkiem go skrzyżowało i nie mógł ani w przód, ani w tył. Pył był jak błoto. No w ogóle Mad Max. Nie mieliśmy szans na Kyzylordę przed zmierzchem. Liczyliśmy tylko na to, że wyjedziemy na twarde, zanim zrobi się ciemno.

– Myślę, że w nocy się nie da – powiedział Z.

– Ja też tak myślę – odpowiedziałem. – Nie da się i będziemy musieli stanąć.

– Może jak one przejadą.

– Nie przejadą nigdy.

– Siedzą wyżej i coś widzą – stwierdził.

– Jeździłeś ciężarówką? – zapytałem.

– Jeździłem – odparł.

– Jak się jeździ?

– Normalnie. Siedzisz wyżej i tyle.

Dałem sobie spokój, żeby go nie rozpraszać. Jazda prawie po ciemku to nie jest prosta sprawa. Pociliśmy się mimo klimatyzacji. Włączyłem nawiew z zewnątrz. Zaczęło szczypać w oczy i zgrzytać w zębach, więc znowu wyłączyłem. Czasami próbowaliśmy zjechać na zawietrzną i uciec z tumanu, ale tam nie było jeszcze wyjeżdżone, rosły suche krzaki, saksauł, więc nie szło wcale szybciej, tylko ryzykowniej.

– No ale jak już zrobią, to się będzie jechało – powiedziałem na pocieszenie.

– Będzie – odpowiedział bez przekonania. – I będzie można przyjechać i się ścigać – ożywił się nagle. – Te odległości. Dwieście kilometrów i nic po drodze. Jak już naciągną tej ropy i się wzbogacą, to sobie wszystko wyasfaltują. Nie ma przecież innego wyjścia. A wcale nie jest powiedziane, że ich przybędzie i przybędzie samochodów. Wtedy będzie można przyjeżdżać i się ścigać. Ja się lubię ścigać. A ty lubisz?

– Niespecjalnie – odpowiedziałem ze spokojem.

Późno zrobiłem prawo jazdy i już nie miałem ciśnienia. Zresztą nigdy nie miałem wyścigowych aut.

– A ja lubię – powiedział.

– No tak – odpowiedziałem i pomyślałem o jego quattro niewiele cięższym niż maluch i z

dwustupięćdziesięciokonnym silnikiem.

– Można by organizować wyjazdy specjalnie na ściganie. Auta koleją, ludzie samolotem, a potem na trasę.

– Albo auta tutejsze – podchwyciłem.

– Nie. Auto musi być twoje. Inaczej nie ma sensu. To jakbyś się jakimś seryjnym paździerzem z salonu ścigał. Dziewięćdziesięciokonnym citroenem na przykład.

– No citroenem to rzeczywiście – zgodziłem się.

– Więc koleją. W kontenerach oczywiście.

– Oczywiście. Przecież nie na wierzchu, żeby wszyscy widzieli.

– No właśnie. Ja do Ruskich nic nie mam, ale to jest duży kraj. A tutaj to nawet nie wiadomo... Mają jakieś szyny?

Rozwinąłem moją niezawodną mapę z cienkiego niemieckiego plastiku, poszukałem okularów.

– Mają – powiedziałem po chwili. – Od Uralska można wjechać, od Orenburga, od Czelabińska, Omska i Pawłodaru. A i w kraju sieć posiadają. Nie gęstą wprawdzie jak u nas, ale jak na taki wygwizdów to nie ma co narzekać.

– No właśnie. Kontener, fracht i wio. – Klepnął lekko w kierownicę.

– Albo szofera nająć, obywatela Wspólnoty Niepodległych Państw obznajomionego z realiami, w celu redukcji kosztów – powiedziałem inteligentnie.

Odwrócił na chwilę wzrok od szyby.

– Zakładasz, że obywatel Wspólnoty Niepodległych Państw dostaje dwustuczterdziestokonne auto i nie testuje jego możliwości?

– Nie – powiedziałem po dłuższej chwili. – Bardzo trudno to założyć.

– Więc zostaje tylko kolej. Jak wrócę, to sprawdzę. Nie wiem, jaki mamy bilans handlowy, ale zakładam, że część wagonów może z powrotem jechać na pusto.

– Na przykład do Chin – powiedziałem. – Bardzo dużo sprowadzamy, a kompletnie nie wiem, co im wysyłamy.

– Może dzemy? Oni znają dzemy?

– Nie mam pojęcia – odpowiedziałem. – Byłem kiedyś w Chinach, ale jadłem tylko galaretkę z fasoli.

– Dobre? – zapytał bez zainteresowania.

– Dobre. Prawie w ogóle nie czuć smaku.

Znowu przejechaliśmy na drugą stronę nasypu. Na asfalcie zrobili barykadę z ziemi. Ciężarówką by się nie przebił. Obok postawili znak, że nie wolno wjeżdżać. Podobało mi się. W oddali dostrzegłem czarnego cruisera. Jechał środkiem szosy. Widać miał swój sposób, żeby się nie zakurzyć. Kto bogatemu w Kazachstanie zabroni? My musieliśmy znów zjechać w pył.

– Więc kolej zostaje... – powiedział trochę do siebie.

– Albo, wiesz, na miejscu – wpadłem na nowy pomysł.

– Co na miejscu?

– No tu sobie auto składasz. Wynajmujesz garaż, mechanika i składasz. Części pewnie są tanie, chłopaki sprytne i za trzy miesiące wyjeżdżasz kazachskim GT na bezkresny asfalt.

– Na przykład z tego garażu w Uralsku.

– Na przykład. Wyglądali na kumatych. Tylko musiałbyś z nimi posiedzieć.

– Trzy miesiące w Uralsku...

– A co ci szkodzi? Od kraju byś sobie odpoczął – zachęcałem. – Części byś szukał w necie, sprowadzał, pilnował, jak składają, klepią. Potem byś firmę założył. Ludzie teraz potrzebują atrakcji. Wiesz, pieniądze i nuda. Nurkują z rekinami, na golasa po Czarnobyliu chodzą, lecą do Sri Lanki, żeby się

wytatuować. A ty byś założył na przykład firmę: Ściganie w Kazachstanie. Kolejki by stały. Silniki byś montował, podkręcał, klatki spawał, żeby się ludożerka nie pozabijała. Tak ci mówię i nic za to nie chcę.

– Pomyślę – odpowiedział.

I trudno zgadnąć, czy na serio, czy po to, żebym się uciszył.

– Pomyślę – powtórzył.

Ale miałem lepszą nazwę dla całego przedsięwzięcia. Postanowiłem jednak zachować ją na wszelki wypadek dla siebie. Z nieśmiałości, ze wstydu zapewne. To wszystko powinno nazywać się Vanishing Point Kazakhstan Limited Company. Bo tak to wyglądało. Z szarą szosą ginącą na horyzoncie, z rozedrganym powietrzem, z krzewami saksaułu, z sinymi od upału wzgórzami, z węzami w norach. Im dalej na południe, tym bardziej tak wyglądało. Nie było tylko ciągłej żółtej linii na asfalcie. Nie było żadnej linii. Nie było też białego dodge'a challenger, ale łatwo byłoby mi opanować zdziwienie i radość, gdyby się pojawił w kadrze. Tak jest z rzeczami i zdarzeniami, które przybywają z dzieciństwa. W siedemdziesiątym albo siedemdziesiątym pierwszym dostałem od ojca książeczkę. Była bodaj zielona, podłużna, miała twardą okładkę, a w środku kilkadziesiąt rysunków i opisów. Nazywała się chyba Samochody. Po prostu. Znalazły się w niej wszystkie ówczesne najważniejsze marki. Na przykład Autobianchi. Pamiętacie? No właśnie. Bo pochłoneła go Lancia, którą zresztą zeżarł potem Fiat. Albo NSU. Też nie? Nie pamiętacie modelu Ro 80 z pierwszym na świecie silnikiem Wankla? Albo modelu Prinz? Jakże przecież podobnego do słynnego później zaporozzca, zwanego zresztą NSU-Kozak. NSU też przepadło, we wnętrznościach Volkswagena. Szkoda. Lecz strony europejskie przeglądałem pobieżnie. Uwagę na dłużej mogła przykuć najwyżej tatra 603 z czterema reflektorami z przodu, umieszczonymi jakoś tak centralnie, cyklopicznie. Czechosłowacka limuzyna z V8 włożonym, jak to wówczas u nich, do bagażnika. Najlepsze jednak znajdowałem na końcu, w rozdziale o autach amerykańskich. Przełom lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych to był złoty wiek firebirdów, superbirdów, mustangów, barracud, cougarów, cyclone'ów, camaro i coronetów. Ani przedtem, ani potem nie było piękniejszych samochodów. Tak rozrzutnych, wulgarnych i wyzywających. Dwa metry na pięć, żeby przewieźć dwie osoby, bo przecież z tyłu mieściło się najwyżej dziecko albo pies. Dziesięć metrów kwadratowych. Pokój w bloku. Wyprofilowane, wychromowane, wygonione jak cygański pałac z blachy, jak coś, co by się chciało wziąć w dłoń i już nigdy nie wypuścić. Clint Eastwood miał rację, że wszystkie auta, które przyszły potem, wyglądały jak depilatory. I jeszcze R6 albo V8 pod maską. Pięć litrów, siedem litrów, sułtański przepych. Trzysta koni, czterysta. W zbiorniku wir jak w wannie, gdy się wypuszcza wodę. Przewracałem strony i nie wierzyłem oczom. Dwadzieścia pięć na sto, trzydzieści na sto, energetyczny potlacz. Trzeba mieć nieskończoność do dyspozycji, żeby zaprojektować coś takiego. Trzeba mieć wizję na pustyni, żeby wyobrazić sobie, jak ten nadprzyrodzony kształt rozcina warstwy powietrza i zostawia za sobą wir, który wygładza się bez śladu. No i benzynę po pięćdziesiąt groszy za galon, czy ile tam ona wtedy kosztowała.

Nie pamiętam, czy w książeczce był rysunek challenger. Musiał być. Teraz po latach to wiem. Nie ma przecież słynniejszego amerykańskiego auta niż ten biały dodge. Ech, pomyślałem, mógłby nas wyprzedzić między Karabutakiem i Aralskiem, na tym kawałku, gdzie przez trzysta pięćdziesiąt kilometrów nie ma nic. Biały challenger zamiast trumiennych cruiserów goniących za petropieniądem. Z Kowalskim o twarzy Barry'ego Newmana w środku. Jeden i drugi niczym utrudzone duchy. Kowalski w białej koszuli, w hipisowskim kubraczku, na amfie. Zamiast w Utah tutaj, na skraju Kyzył-kum. Zamiast na międzystanowej piętnastce – na M32. Myślałem o tym, żeby znieść wyboje i pył, ale nie mogłem sobie przypomnieć, kiedy pierwszy raz widziałem Znikający punkt. Czy w komunizmie w ogóle to puszcza? Może jako przykład kapitalistycznego zniewolenia jednostki? Może. No ale to jest przecież film z rodzaju tych, które się zna, nawet jeśli się ich nie oglądało. Zna się je tak jak stary, powracający sen. Challenger

miał dźwignię zmiany biegów długą jak w traktorze. Kowalski chwilami wyglądał jak Dylan w połowie lat siedemdziesiątych. Kalifornijska policjantka w centrali dowodzenia pyta: „Czy ktoś potrafi wymówić jego imię?”. W ten sposób Kowalski już na zawsze zostaje tylko Kowalskim. Papież, proszę bardzo, Wałęsa owszem, ale to on jest najśłynniejszym Polakiem, tak jak jego dodge najśłynniejszym autem. Słynniejszym niż mustang Bullitta – chociaż wiem, że wielu uważa inaczej.

No bo w jakiś sposób musiałem się tu znaleźć. Skądś się wziąć na tej rozpalonej równinie. Dziecko komunizmu i amerykańskiej popkultury. Spocony, oblepiony kurzem, dobrze po pięćdziesiątce. Wspominałem dawne filmy i dawne samochody, żeby nadać sens terażniejszości. Duszne powietrze krążyło w kabinie, ale było mi dobrze. Odprawiałem postsowieckie on the road, ponieważ uważałem, że nie da się porzucić własnego losu. Może byłem idiotą, ale podobało mi się to.

Tak więc nie byliśmy pod wieczór w Kyzylordzie. Przyjechaliśmy przed północą. Na wylotówce wałęsały się bezpańskie konie. Albo stały na poboczach, ale z zadami na asfalcie. Z przeciwka jechali zwyczajowo na długich, więc bydłęta zjawiały się przed maską dość nieoczekiwanie. To tu, to tam stały radiowozy i migały czerwono-niebiesko, dodając kolorytu i nerwowości. Psiarnia miała pały na baterię i wymachując nimi, kreśliła w ciemności dziwne esy-floresy. Jakimś cudem znaleźliśmy hotel. Zaparkowaliśmy między lśniącymi cruiserami. Osiołek wyglądał tak, jakby całe swoje automobilowe życie tarzał się w błocie, błoto zasychało, a on znowu się tarzał. Mogli sobie pomyśleć, że przyjechaliśmy glinianym autem. Pani w recepcji wzięła nas za duchy. Spojrzała, ale zaraz odwróciła wzrok. Chyba nie pasowaliśmy do pysznego wschodniego wnętrza, do pufiastych otoman, stiuków, kandelabrow, kotar i blatów z podrabianego marmuru. Dopiero gdy Z. przemówił swoją bogatą i elegancką ruszczyzną, nieco uwierzyła w nasze istnienie. Wzięła ostrożnie paszporty i zapytała, czy chcemy pokój na całą dobę, czy na dwanaście godzin. Cóż za ludzki kraj, pomyślałem. Nie łupią cię z fałszywym uprzejmym uśmiechem, tylko proponują to, czego akurat ci trzeba: prysznic i siedmiu godzin snu. Niech się cywilizowana Europa uczy od Kazachów. Pokój był wielki i tak samo ozdobny jak recepcja. Łoża miały rzeźbione wezłowania, klimatyzacja delikatnie szumiała, dywan przyjemnie łaskotał w stopy, a w łazience można było spokojnie rozbić namiot czwórkę. Wszystko za jakieś piętnaście dolców.

– Szkoda, że musimy rano jechać – powiedziałem.

– Tak – odpowiedział Z. – Chciałoby się zostać i zamieszkać w Kyzylordzie.

Czuć było, że zaczyna mu się podobać w Azji. Materace były porządne, kołdry jak z puchu, telewizor na pół ściany. Poszliśmy coś zjeść w restauracji, a potem jeszcze na spacer. Miasto wyglądało ciut ciemnawo. Jak to w tych stronach. Ale auta wciąż jeździły, więc trochę w światłach dało się zobaczyć. Siedliśmy w ogródku na piwie. Komary znad Syr-darii, znad pól ryżowych cięły bezlitośnie. Psikaliśmy się europejskim offem, ale wtedy zlatywało się jeszcze więcej. Z. w dodatku miał szorty. Psikaliśmy się i okładaliśmy. Kazachowie siedzieli nad swoimi piwami bez ruchu i popatrywali na nas spod oka.

– Jesienią jest przyjemniej – powiedziałem.

– A zimą to nawet cała ta Syr-daria musi zamarzać – odpowiedział.

– Można by tu przyjechać na sylwestra – rzuciłem.

– Na oponach z kolcami.

– Dlaczego?

– Bo tu wszyscy tak jeżdżą.

– Skąd wiesz? – zapytałem.

– Słysząc.

Miał rację. Za co drugim autem ciągnął szelestliwy chrzęst.

– Nie zmieniają na lato? – zdziwiłem się.

- Nie wiem. W Rosji jest tak samo – powiedział.
- Szesnastego grudnia dziewięćdziesiątego pierwszego ogłosili niepodległość – przypomniałem.
- Dość późno – powiedział zgryźliwie i klepnął się w łydkę.

Azja Centralna chwilowo jednak przestawała mu się podobać. Dopijaliśmy nerwowo piwo. Śmierdziało od nas chemią. Kazachowie siedzieli jak posągi.

- Nigdy nie jeździłem na kolcach – powiedziałem dla podtrzymania rozmowy. – Jest jakaś różnica?
- Jak jest ślisko, to lepiej się trzyma – odpowiedział i odstawił pustą szklanę.

Toczyliśmy się słonecznym rankiem szerokimi ulicami i mieliśmy najbrudniejsze auto w mieście. Nie żebym się przejmował. Wręcz przeciwnie. Lubię patrzeć na facetów, którzy w myjniach robią woskowanie swoim 4 × 4, a potem wyjeżdżają i wyjmują błoto w spreju. No a ja lubię syf. W drodze jem hot dogi z sosem amerykańskim i się nie przejmuję. Piję kawę. Kapie, wylewa się, trudno. Czasem w środku jest jak w chlewie. Czasem sprzątam. Ale przeglądy robię regularnie. Czasem, gdy gdzieś wyjeżdżam o świcie i powiat jeszcze śpi, zajeżdżam do pustej myjni. Słońce dopiero wstaje i odbija się tęczo w rozpylonej wodzie. Raz na parę miesięcy. Tak więc umiarkowany syf jako znak życia. Ale czytam też dzieła antropologiczne i wiem, że tu, na Wschodzie, wśród potomków koczowniczych ludów wygląd ma znaczenie. Błyszcząca nowa bryka to znak, że niebiosy ci błogosławią, oraz dowód, że twoje życiowe siły są w najlepszym porządku. A jak chodzisz na piechotę albo jeździsz struclem, to znaczy, że na to zasłużyłeś i lepiej się z tobą nie zadawać. Nie mam nowej, to chociaż będę miał wymytą, tak sobie przebiegle pomyślałem.

Wypatrzyliśmy otwarte blaszane wrota i podwórko z mokrym betonowym klepiskiem. Na żelaznych schodkach i stosach łysych opon siedziała w kucki młodzież i ćmiła po jednej fajce na dwoje. Mieli po dwanaście, trzynaście lat i wyglądali jak członkowie młodocianego gangu z amerykańskiego filmu. Patrzyli na nas jak na zbłąkanych frajerów. Zjawiała się na oko szesnastoletnia panna w klapkach, podkasanych szortach, czerwonej podkoszulce i zapytała po rosyjsku, czego chcemy.

- Książkę wypożyczyć – mruknąłem po polsku i pokazałem palcem na szarego osiołka.

Gwizdnęła, aż zadźwięczało w uszach, i krzyknęła coś po kazachsku. Działwa skoczyła do wiader, węży i gąbek. Całkowite rękodzieło. Pieniło się, spływało, ale musiało minąć sporo czasu, nim pokazał się właściwy kolor. Smagła dziewczyna zajmowała się najważniejszym. Reflektorami i felgami. Wiadomo: felgi maczystowsko-wieśniacki fetysz, więc znając wymogi facetowskiej klienteli, szorowała szczotką, szmatą i gąbką, trochę wzgardliwie na nas popatrując. Bo zwykłe stalówki mieliśmy, i to już niezłe rdzą ruszone. W końcu z rezygnacją cisnęła szmatę do wiadra. A sami se z tego syfu błysk zróbcie, pomyślała zapewne w ojczystym języku.

Z godzinę im to zajęło, ale osiołek lśnił jak na sprzedaż. Zostawiliśmy z górką ozdobnych banknotów i wyjechaliśmy z miasta. Opylało się. Asphalt mieli porządny i jak okiem sięgnąć, żadnych inwestycji drogowych. Był czysty, przejrzysty upał. Gigant, Awangarda, Pierwszy Maja – takie miejscowości mijaliśmy rozrzucone wzdłuż torów kolejowych po prawej. Widać było pociągi, całe składy cystern. Z kiwał głową z aprobatą i zamiast cystern widział kontenery z podrasowanymi autami. Z całego serca popierałem pomysł wyścigów przez wielbłądzie wygony. W niecałe trzy godziny byliśmy w Turkistanie. Już widziałem, jak Vanishing Point Kazakhstan robi to w dwie i pędzi w pustynną dal w stronę kirgiskiej granicy. My stanęliśmy, ponieważ chcieliśmy zobaczyć chociaż jeden zabytek. Jeden zabytek na parę tysięcy kilometrów można wytrzymać. Trochę nam zajęło, ale znaleźliśmy go za pomocą mapy z przewodnika. Wielki i piękny był. Kazał go zbudować Tamerlan, więc nie oszczędzono sił, środków ani materiałów. Przez całą drogę nie widzieliśmy niczego tak wielkiego i zarazem pięknego. Bajkonur to przy tym blaszane rumowisko. A ten tutaj wyrastał z gorącego piachu nagle, bezlitośnie i elegancko. Wyobrażałem sobie, jak Timur powołuje go do istnienia skinieniem dłoni. Pstryka palcami i mauzoleum

Chodzą Ahmeda Jasawiego wyrasta z ziemi. Tak jak na skinienie i pstryknięcie Kulawego usypywano piramidy z czaszek. Mówi się, że mauzoleum było tak pięknie, że na jego wzór budowano meczety i medresy w Samarkandzie i Bucharze. I jeśli powstało na nagiej pustyni, musiała to być w dwójnasób prawda. Bo i teraz górowało majestatem nad całym miastem, a może i krajem. Nad blokowiskami w kolorze piachu, nad barakowiskami, nad szklanymi supermarketami, nad sowieckim dziedzictwem, które nieubłagane rozkruszał czas i wszczepiona u narodzin fuszerka. Jak piękny potwór stało wrośnięte dwiema trzydziestometrowymi przyporami, surowe, w kolorze mokrej gliny, zwieńczone turkusową kopułą. Bóg wie, jakie wiersze pisywał Ahmed Jasawi, ale musiały na Kulawym zrobić wrażenie. U nas nawet Mickiewicz nie ma niczego podobnego. Ani w Anglii Byron, ani w Rosji Puszkina. A może żaden poeta na świecie nie ma. Wysokiego na czterdzieści metrów, bez ozdób, z wejściem jak do wnętrza ziemi. Było paru kazachskich turystów. Mężczyźni mieli spodnie w kant, koszule z krótkimi rękawami i komórki przy paskach. Kobiety złotą biżuterię, buty na wysokich obcasach i powiewne suknie. My wyglądaliśmy jak obdartusy, ale weszliśmy. W środku panował półmrok, chłód i pustka. Tylko w centralnym pomieszczeniu pod kopułą stał gigantyczny kocioł z ciemnego metalu. Ponoć dar od samego Kulawego. Chyba nikt nigdy nie rozpałił pod nim ognia. Bo jak tu okopcić podarunek Timura? Obszedłem go trzy razy w prawo, zgodnie z ruchem słońca, co w tym mrocznym wnętrzu mogło nabrać jakiegoś głębszego sensu. Sam Jasawi kazał podobno wybudować podziemny meczet. Dwieście lat później Kulawy wznosił mu naziemną pieczarę wielką jak zamczysko. Spędził niewolników z Transoksanii, Chorezmu, Mogolistanu i Persji, nie troszcząc się o to, ilu z nich umrze w drodze, a ilu podczas budowy. Ich kości spoczywają pod fundamentami. Ale wewnątrz panował chłód i wcale nie chciało mi się wychodzić. Z gdzieś przepadł. Może robił zdjęcia. Wszyscy zresztą robili. Błyskały lampy. Nikt się nie czepiał. Nie chciało się wychodzić w ten upał i jechać w głąb kraju, w którym niewiele było. Kiedyś musiało być jeszcze mniej. Kulawy nie znał silnika spalinowego. Nie znał nawet lokomotywy. Ciekawiło mnie, co myślał, gdy patrzył z wysokości siodła na te bezkresne, nieurodzajne przestrzenie. Dziesięć, dwadzieścia, sto dni drogi, żeby zawładnąć kolejnym spłachciem piasku z jakimś miastem pośrodku. Sto, dwieście, tysiąc hektarów porośniętych ostrą trawą i kolczastymi zaroślami. Dwa tysiące hektarów solnisk. Kamienie, żwir, skały. I jeszcze dalej, by zagarnąć pod kopyta konia abstrakcyjną przestrzeń. Czyste panowanie. Geometria władzy. Linie posiadania wykreślone na płaskim i bezludnym. Zdobyć wszystko po horyzont, a potem po następny i następny. Każdego dnia tyle, ile wytrzyma konnica. Do końca ziemi i po kres swoich lat. Szlakiem zburzonych, spalonych, splądrowanych miast. Zupełnie jakby mu przeszkadzały, zasłaniając widnokrąg. Jakby chciał ze swojej ukochanej Samarkandy ogarnąć spojrzeniem cały świat, który miał nadzieję podbić.

Podobało mi się w Azji. Byłem niby Europejczykiem, ale mi się podobało. Miała rozmach. Rodzaj nieskończoności, której brakowało rozgadanej i dygresyjnej Europie. Z rozkapcianego siedzenia osiołka mogłem sobie wyobrazić, że w końcu zajadę na kraniec ziem. Że jego gudrajdy o masywnym bieźniku zagarną pod siebie cały świat niczym kopyta konnicy Tamerlana. Tak mogłem sobie roić. W Europie byłoby to nie do pomyślenia. W Europie w ogóle mało rzeczy da się już pomyśleć, ponieważ większość została pomyślana i, co gorsza, wykonana. Dlatego spacerowałem w chłodzie i rozmyślałem o Kulawym, który usypywał piramidy z czaszek i budował poetom mauzolea piękne jak chtoniczne potwory. Dlatego spaliłem około pięciuset litrów benzyny, zanim tu dojechałem. I byłem gotów spalać nadal, aż zajadę na skraj ziem.

Cóż, w monumentalnych budowlach ma się monumentalne myśli. Z półmroku wynurzył się Z.

– Grób jest, ale nie da się wejść – powiedział. – Przez kratkę można popatrzeć.

– Widać coś? – zapytałem.

– Właściwie to nic. Ale ludzie zagląдают.

– Nic nie widzą i zagląдают – stwierdziłem.

– Zupełnie jak u nas – powiedział.

Z ociąganiem wyszliśmy na skwar.

Ech, jak się jechało po tym asfalcie. Był równy, czarny i nowy, jakby wczoraj zjechały z niego maszyny. Niewiarygodnie równy i nowy. Jak dar z kosmosu dla kraju Trzeciego Świata. Jak bitumiczny cud. I linie białe jak mankiety i równe niczym od ekierki.

– Ropa i gaz – powiedział Z.

– Ropa i gaz – westchnąłem.

– Widziałem Astanę na zdjęciach – dodał po chwili.

– Jak Szanghaj, ale z większą fantazją – potwierdziłem.

Nie czułem na kierownicy najłżejszej wibracji, żadnego drżenia.

– Czasami to nie jest takie złe, jak jeden człowiek rządzi krajem – powiedział bardziej do siebie niż do mnie.

– W sensie estetycznym kraj wtedy rzeczywiście nabiera wyrazu – zgodziłem się po namyśle.

– Jeśli w dodatku krajowi to odpowiada, to nie ma o czym mówić – powiedział, poprawiając swoją samolotową poduszczkę.

– Myślisz, że ktoś w ogóle pyta kraj?

– To są tylko nasze przesady – odpowiedział. – W Iraku też był gaz i była ropa. Zaczęły się pytania i widać, jak się to skończyło.

Nie podjąłem tematu, chociaż częściowo chyba się zgadzałem. Wciąż brzemię białego człowieka. Wciąż ta mania edukacji i cywilizacji. Zwłaszcza tam, gdzie jest ropa i gaz. Owszem, byłem za demokracją, ale jednocześnie podobało mi się tankowanie za grosze. Nie mogłem sobie poradzić z własnym cynizmem, dlatego wolałem się zająć prowadzeniem. Ateki prawie ucichły. W Austrii nie mieli takiego asfaltu. Pobocza były wybetonowane. Drapieżne ptaki przelatywały nad tym wszystkim i rzucały cienie. Szosowa baśń. I końca nie było widać. Na południe i na południe. Chwilami miałem uczucie, że płynę w powietrzu, że odrywam się od kazachskiej ziemi. Dlatego zjeżdżałem raz w lewo, raz w prawo, żeby sprawdzić przyczepność. Ale trudno było się przyzwyczaić. Mieliśmy za sobą tysiące kilometrów dziur i wądołów. Wyrw i uskoków. Garbów, żwiru, kamieni, wielbłądów, baranów i Mad Maxa przed Kyzylordą. A tu ta utopia. Więc po jakiejś setce musieliśmy jednak zjechać i odpocząć w czajchanie. W przydrożnym baraku obsadzonym młodymi topolami. Wewnątrz czuć było starą baranią. Brodaci starcy siedzieli na tapczanach. Siedzieli boso z podwiniętymi nogami. W tiubietijkach, w chałatach, jak sto, jak dwieście lat temu. Wybudowali im drogę jak ze snu, a oni siedzieli, gadali i popijali z czarek zieloną herbatę. Obok tapczanów stały plastikowe klapki i rozdeptane skórzane pantofle. Widziałem zrogowaciałe pięty starych mężczyzn. Palenie chyba było zabronione. Dostrzegli nas kątem oka, ale z godnością nie przerwali narady w sprawie losów świata. Przeżyli Czyngis-chana, przeżyli Kulawego, przeżyli Dżugaszwilego i mieli zamiar przeżyć gładką jak stół bilardowy czteropasmówkę za oknem. Kobieta w czepku i fartuchu donosiła im dzbanki z herbatą. Bóg wie, skąd się tu wzięli. Wokół nic nie było. Na placu stało kilka starych busów. MB100, takie jak ten, z którego resztek pozyskaliśmy gumowe odboje w Uralsku. Ale donikąd się nie spieszyli. Wjeżdżały wciąż nowe dzbanki. Niektórzy coś jedli, ogryzali kości. Rozmawiali, ale nie podnosili głosu. Mieli brązowe pomarszczone twarze i rzadkie siwe brody. Byli chudzi. Wysuszeni słońcem tej krainy bez cienia. Znów pomyślałem, że moje życie przypomina gonitwę. Że wciąż nerwowo klepię się po kieszeniach i sprawdzam, czy mam telefon, portfel, paszport i kluczyki. Że wciąż przeliczam dni i kilometry. Ale że nie umknę własnemu losowi, choćbym się zesrał.

– Ciekawe, czy mają blińczyki – powiedział Z.

– Nie wygląda – odpowiedziałem.

– Asfalt mają, a blińczyków nie? – powiedział ni to ze zdziwieniem, ni w zadumie.

– Azja – odpowiedziałem. – Rachatłukum, chałwa, sorbet.

Popatrzył do wnętrza czarki z mętym płynem, a potem na mnie.

– Blińczyk to nie jest trudna potrawa. Do Uralska cały czas były.

Rzeczywiście były, bo Z. tylko nimi się odżywiał. Z miodem, z twarogiem, a raz nawet z kawiozem. Ja jadłem pilaw. Pilaw też był wszędzie i wcale się za Uralskiem nie skończył, tylko wręcz odwrotnie.

– Myślisz, że oni chcieliby jeść blińczyki? – wskazałem dyskretnie na starców.

– Jakby spróbowali, toby mogli zachcieć – odpowiedział.

– Nie wyglądają na spragnionych nowości.

– Zmodernizują się. Nie mają wyjścia. Nie przetrwasz bez modernizacji.

– Oni jakoś przetrwali – próbowałem bronić straconej pozycji.

– Na pewno mieli w dzieciństwie szczepienia, do szkoły mogli chodzić.

– Mogli, ale nie musieli. Ze szczepieniami też nie wiadomo. Rewolucja była, basmacze. Myślisz, że Frunze za nimi ze szczepionkami jeździł?

Tak sobie rozmawialiśmy, aż skończyła się nam herbata.

*

I znowu w drogę! Na południowy wschód! Jak latającym dywanem po tym nówka bitumie, przez Törtköl, przez Köktöbe, Bögen było trochę z boku. W siną azjatycką dal. Z ledwo dychającą klimą, z głuchym świstem powietrza w kłamorach na dachu, z poczuciem, że można by tak do Chin, do Indii. Tylko przemknąć przez tę postsowiecką pustać, a potem najkrótszą drogą w stronę Tienszanu i na przykład przełęczą Torugart albo przełęczą Kulma, albo przełęczą Karabel na drugą stronę Gór Niebiańskich, o czym niegdyś marzyła Ella Maillart, spoglądając z wysokości czterech tysięcy metrów na Kotlinę Kaszgarską, na Ujgurię i na złowieszczą otchłań Takla Makan. Albo prosto na południe, do stóp Hindukuszu i w lewo, w głąb Korytarza Wachańskiego, wzdłuż rzeki Pandż i Wachan, przez owczarskie osady Sarhadd, Langar, Savab Khana, kamieniste pustkowia o barwie brązowego kurzu, z cieniem Karakorum po prawej, aż do przełęczy Wachdzir na prawie pięciu tysiącach metrów i wtedy osiołkowi zaczęłoby brakować powietrza, straciłby moc i tak musielibyśmy dociągnąć do przełęczy Mindgteke, ale potem byłoby już z górki. I bylibyśmy w Chinach. Z Indiami i Kaszmiem po prawej. Ech, w trzy dni by się taką drogą dojechało. We dwa nawet, gdyby wcześniej wstawać. Do Kaszmiru. I na Takla Makan, żeby jeszcze na koniec śmignąć sobie słynną Cross-Desert Highway, jakieś sześćset kilometrów przez rozpalone piaski z jedną stacją benzynową i knajpą gdzieś w połowie. Takie się ma marzenia, gdy człowiek w Centralnej Azji poczuje trochę równego asfaltu pod kołami. Całkiem jak w młodości, gdy się czytało książki. Na przykład Roericha, któremu buddyzm bezboleśnie mieszał się z leninizmem, Szambala z Sowietami, a i zapewne sam Lenin z Siakjamunim. No ale w zasadzie był malarzem i jak przestawało mu się roić o powrocie złotego wieku ludzkości, to czytało się bardzo dobrze, bo widział rzeczy bardziej, niż były widzialne. Azja mu się w spektrum optyczne zamieniała, przez które jechał konno, na wielbłądzie albo ówczesnym autem, a czasem szedł na piechotę. Przez świat zaraz po stworzeniu się poruszał, przez pierwsze pięć dni Genesis. Przez Gobi, Ałtaj, Tienszan i Takla Makan jechał przed Adamem. Jak się w młodości przeczyta coś takiego, właściwie jest się zgubionym i czeka tylko na moment, by dobinsonsy zamontować, bańki na wodę zabrać i na benzę, i pojechać, i sprawdzić, czy to wszystko prawda. Więc sunęliśmy teraz, frunęliśmy na spalinowym czarodziejskim dywanie dwa litry

pojemności, a mnie te wszystkie nazwy materializowały się przed oczami na podobieństwo fatamorgan. I pusto było. Prawie nic asfaltowej czerni nie kalało. Tylko na dwukilometrowym podejździe, na lekkim łuku w lewo wlokły się dwie ciężarówki z naczepami. Dla czystej radości zredukowałem na czwórkę i smyrnąłem je w pięć sekund. Czułem się szczęśliwy. Z. chyba też, bo spokojnie drzemał.

Stali w jakiejś wybetonowanej pipidówie. Na betonowym placu naprzeciw betonowej ściany. W szarej ładzie z pootwieranymi drzwiami. Jeden wysiadł i machnął tą pasiastą pałą z bateriami w środku, co w nocy zapalała się na czerwono. Grzecznie zjechałem i czekałem. Podszedł i kazał iść do łady. Poczłapałem spokojnym krokiem. Nie mogłem jechać więcej niż pięćdziesiąt. Byłem pewien. Z łady waliło chłopskim smrodem i benzyną. Jeden podał mi rękę. Drugi nie mógł, bo siedział w głębi. No ale taki mieli zwyczaj. Najpierw podawali rękę. Nie jakoś przesadnie przyjacielsko, raczej taką sflaczałą.

– Pięćdziesiąt jechałem – powiedziałem, żeby przejąć inicjatywę.

Ten na miejscu kierowcy wskazał na siedzenie obok. Obszedłem auto i wcisnąłem się do środka. Powietrze parzyło. Obrócił w moją stronę niewielki laptop na uchwycie. Na ekranie leciał piękny film z zielonym osiołkiem, jak na podwójnej ciągłej dzielnie wyprzedza dwa zasapane kamazy. Za drugim z nich, na początku łuku, miga przez chwilę znak, że sześćdziesiąt.

– Dawaj jeszcze raz – powiedziałem, bo nie mogłem się nadziwić urodzie filmiku: po horyzont żółty step, czarny asfalt i pomarańczowe kamazy. I osiołek. Tak zielony, jakby z fabryki wyjechał. Oraz szybki i zwinny. Oraz cyferki na dole, że łoimy sto dziesięć.

– Priewyszenije skorosti. Piat’diesiat kilometrow.

– I podwójna ciągła.

– Odin chuj. Nu, jeśli ty nastaiwajesz...

Patrzyłem na ekran i żałowałem, że nie mam pendrajwa. Z drona to zrobili, z satelity? Gdzieś musiała stać kamera. Ale gdzie kamera na tej pustyni? Na słupie? Pod kamieniami? Drugi radiowóz sobie przysypali piachem i badyłami? Ostrość była super, na zbliżeniu blachy, road movie jednym słowem. Wróciłbym i puszczał sobie w zimowe wieczory. I kolegom na dowód bohaterstwa. To musiało być jakieś pół godziny po tym, jak wyszliśmy z czajchany. Obejrzałem trzeci raz i pies za kierownicą wyłączył ekran.

– Nie nastaiwaju – powiedziałem. – Tak mi się wymknęło.

Przez betonowy plac siedmioletni chłopiec ciągnął osła na postronku. Czarne cienie wlokły się za nimi. Zwierzę było chude, miało zmierzwioną sierść i wcale nie chciało iść. Dalej znów zaczynał się piach i stały lepianki o płaskich dachach. Czuć było palony nawóz. Chłopiec i osioł niby szli, ale wszystko wydawało się zupełnie nieruchome. Zanurzone w gęstym gorącu. Ten film, ten ekran do niczego tu nie pasowały. Może w lepiankach mieli telewizory? Żeby wiedzieli, czego od nich oczekuje władza? Żeby mogli wykonywać polecenia? Żeby oglądali jakiś mamiący szajs, podrzucając do pieca krowie placki? I jeszcze my złowieni w tę sieć, która rozpościerała się nad krajem niczym pajęczyna wysnuta z Ak Ordy, jej złocistej iglicy nasadzonej na coś w rodzaju stepowego Casa Poporului Ceaușescu. Nie dało się skryć.

Ten za kierownicą patrzył na mnie nieruchomo spod wielkiej okrągłej czapy. Patrzył przez czarne szparki. Miał nalaną twarz. Jak oni wszyscy w tych mundurach i samochodach. Tkwili w bezruchu, czekając na łup. Obrastali tłuszczem. On też błyszczał się na brązowo. I patrzył gdzieś z oddali. Z dawna jakby. Z miejsca, o którym nie mogłem mieć pojęcia. Tego drugiego nie widziałem, ale czułem jego obecność za plecami. Czułem jego zapach. Byłem w wojsku, siedziałem w więzieniu. Tak czuć od facetów zamkniętych razem w ciasnych pomieszczeniach. W celi, na komisariacie, w radiowozie. To było groźne, ale się nie bałem. Przyjechałem tutaj z własnej woli i znałem zasady. Tak mi się w każdym razie zdawało. Ten za kierownicą zapalił papierosa. Na paczce był obrazek z gnijącym ludzkim mięsem.

Wydmuchnął dym i zsunął czapę na tył głowy. Ledwo się mieściła pod sufitem auta. Przy każdym jego ruchu docierało do mnie gorąco. Splunął przez otwarte drzwi.

– Oficjalny sztraf ili nieoficjalny? – zapytał.

– A kakaja raznica?

Sięgnął za osłonę przeciwsłoneczną i podał mi zafoliowaną kartkę z okrągłymi pieczęciami. Tam było napisane ile za co. Priewyszenije o pięćdziesiąt kosztowało sto dwadzieścia dolarów. Nie bawili się w żadne tenge, boby im się zera nie pomieściły. W życiu dałem psiarni ze dwie łapówki. Nie wiedziałem, jak to się robi. Nie to, że jestem wrogiem korupcji. Trochę jestem, ale trochę też za ludzkim kontaktem, a nie tylko martwą literą prawa. Ale nie wiedziałem, jak to się robi, i dałem tylko raz albo dwa, jak sami poprosili. Tak jak tutaj.

– Wolałbym jednak nieoficjalny – powiedziałem i oddałem mu cennik.

Wetknął go z powrotem za osłonę, splótł dłonie na kierownicy i zapatrzył się w dal.

– Wosiem’diesiat – powiedział, nie odwracając wzroku.

– W Mołdawii nieoficjalny jest połowina – odpowiedziałem.

We wstecznym lusterku zobaczyłem czarnego cruisera. Musiał łośić dobrze ponad setkę, ale ten z tyłu zdążył wyskoczyć i machnąć pasiastą pałą. Wyglądało na to, że cruiser nie ma zamiaru się zatrzymać, ale w końcu stanął jakieś sto metrów przed osiołkiem, a potem zaczął cofać tak samo szybko, jak nadjechał. Glina podszedł do otwartego okna, ale po pięciu sekundach zasalutował, a tamten ruszył z piskiem.

– To jedź do Mołdawii – powiedział mój sąsiad kompletnie niezainteresowany akcją na poboczu. – Poczemu ty nie pojechał w Mołdawiju? Na chuj ty prijechał w Kazachstan i tiepier’ chcesz mnie dać tolko połowinu? Połowinu bierut w Mołdawii.

– Przyjechałem, ponieważ chciałem zobaczyć na własne oczy dziewiąte co do wielkości państwo świata.

– Dlatego bierzemy siedemdziesiąt procent. Ze względu na powierzchnię. Mały kraj, mały procent. Duży kraj, procent większy.

– Przecież to nie kraj bierze, tylko ty.

– Wy tam w tej waszej Europie nic nie rozumiecie. Posmotri na moj mundir. Czej on?

– Gosudarstwiennyj – odpowiedziałem ostrożnie, bo nie byłem pewien, czy dobrze akcentuję.

– Da, gosudarstwiennyj. No gosudarstwo snaruży, a wnutri ja. Starszina Farchatbek Irismietow. Poni majesz?

– Teoretycznie oczywiście tak, bo jestem dzieckiem tego samego systemu, ale wewnątrznie się z tym nie zgadzam i proponuję pięćdziesiąt procent – odpowiedziałem nieustępliwie.

Wtedy po raz pierwszy od dziesięciu minut się poruszył. Zdjął prawą rękę z kierownicy i obrócił się w moją stronę.

– Kak tiebia zowut?

Zorientowałem się, że nawet nie wziął ode mnie dokumentów i nasza rozmowa była jak najbardziej prywatna. Nie interesowały go moje personalia. Interesowały go moje pieniądze. Państwo jeszcze między nas nie wkroczyło.

– Andrzej – odpowiedziałem.

– Tak posłuszaj, Andriusza: ty nie masz nic do zaproponowania. Ty, blad’, jesteś zatrzymany przez kazachską policję za wykroczenie drogowe. Ty możesz tego nie wiedzieć, ale tylko od kazachskiej policji zależy, czy nie popełniłeś jeszcze czegoś grubszego.

– To znaczy niby czego? – zapytałem kpiąco i hardo.

– Na przykład obrazy prezydenta – odpowiedział głuchym głosem.

– Jakiej obrazy? – Całkiem mnie zatkało. – Ja nawet nie wiem, jak się ten wasz prezydent nazywa. I

nawet nie wiem, czy to prezydent jest, a nie premier na przykład. Na zdjęciach go widziałem, bo wszędzie wiszą. Przy drodze stoją, jakby ruchem kierował.

– A widzisz... Mogłeś pomyśleć: „A co to za chuj tutaj stoi?”.

– Nie pomyślałem wszakże.

– Możesz to udowodnić? Wiesz, ile to kosztuje?

Przechylił się w moją stronę, otworzył schowek i zaczął w nim grzebać. Burdel miał tam niezwykły. Jakieś żarcie niedojedzone, paczki po fajkach, jakieś odznaki, naboje luzem, chyba jeszcze do tetetki, zaśniedziałe, ze spiłowanymi czubkami, talia kart z gołymi babami, papierzyska, paczki tengów pospinane gumkami i jeszcze waliło przyprawą do kebabu. Wyciągnął w końcu zafoliowane A4, całkiem jak to od priewyszeń, zatrzasnął klapę i zaczął się wczytywać w dokument. W końcu podetknął mi go pod nos.

– Smotri.

– Po kazachsku jest.

– Na razriady smotri – powiedział i pokazał paluchem. Miał czarny paznokieć.

Stało, że od dwóch do pięciu lat. Nie było nic o dolarach. Próbowałem w myślach wyliczyć siedemdziesiąt procent od dwójki albo piątki, ale mi nie szło.

– No ale nie pomyślałem. W ogóle nic nie myślę, jak prowadzę, żeby nie stwarzać zagrożenia na drodze. No, może pomyślałem, że to jakaś reklama, piosenkarz jakiś albo aktor. U nas piosenkarzy stawiają. Jechałem i podziwiałem piękno Kazachstanu. O przyrodzie może rozmyślałem, ale nie o polityce. W ogóle się nie znam na polityce, a co dopiero na waszej. Naród wybrał sobie prezydenta, to go ma. Mnie nic do tego. My mamy swojego, wy swojego i niech tak pozostanie.

– No ale przyznaj się: pomyślałeś.

– Nie pomyślałem. Mam swojego.

Znów powrócił do swojej pozycji z ramionami wspartymi na kierownicy. Tylko czapkę zsunął jeszcze bardziej do tyłu. Patrzył przed siebie. Na upał.

– Wy tam o wszystkich prezydentach tak myślicie – powiedział.

– Gdzie znaczy?

– W zachodnich liberalnych demokracjach – powiedział z westchnieniem i zsunął czapkę całkiem na kark.

Usłyszałem ruch z tyłu. Ten drugi wyskoczył z auta i kątem oka dostrzegłem, jak biegnie z wyciągniętą pałą. Zatrzymał burą ładę. Podszedł do okna od strony kierowcy. Stał długą chwilę, miarowo uderzając się pałą o udo. Widziałem tylko jego plecy i ten regularny gest. W którymś momencie przełożył pałę do lewej dłoni, a prawą wyciągnął. Trwało to ułamek chwili. Łada zasmoliła na czarno i odjechała, wlokąc tyłek po asfalcie.

– Trochę w tym racji jest – odpowiedziałem dyplomatycznie. – Na tym w zasadzie zachodnia demokracja polega, że on rządzi, a ty masz go za chuja. On o tym wie i się trochę stara, bo chce, żebyś go znowu wybrał.

Auto przysiadło, tamten znów umościł się z tyłu. Sapał. Zapalił. Poczujęm dym i pot. Może rozpiął mundur. Też się pociłem. Drzwi były otwarte tylko od strony kierowcy. Pomyślałem, że nie wytrzymam tak długo. Że zemdleję. Oni mieli wprawę. Godzinami siedzieli na poboczach. Asfalt i beton były gorętsze niż powietrze. Siedzieli i czekali. Jak wszyscy tutaj. Jak handlarze, jak żebracy, jak starcy w tiubietijkach. Czekali. Wiedzieli, że i tak stanie się to, co ma się stać. Nadjedzie stara łada, leszcz z Polski, ktokolwiek. Nie było innej możliwości.

– Ja był praw – powiedział ten z przodu.

– Co do zasady może i tak – odpowiedziałem. – Ale jeśli idzie o osobiste uczucia względem waszego

przywódcy, to nie. Daję słowo. Jestem wychowany w szacunku dla innych kultur, ustrojów oraz systemów politycznych. Nie narzeka się na władzę krajów, które się odwiedza, ponieważ jest to nieeleganckie. Jak się nie podoba, można gdzie indziej pojechać. Do liberalnej demokracji na przykład, jak szef raczył zauważyć. Byłem w Rosji, byłem w Chinach, w Ameryce byłem i nigdzie nie chciałem zmieniać ustroju. Widziałem przewodniczącego Mao w szklanej trumnie i ani mi przez myśl nie przeszło, by wyrażać opinie. Przeszedłem szybkim krokiem w pełnej skupienia ciszy. Wyglądał jak żywy, tylko śpiący. Przeszedłem zgodnie z ruchem wielotysięcznej kolejki. We wszystkich krajach tak się zachowuję. Im dalej od mojego, tym bardziej. Nie jestem kretyńcem.

Tak. Pociłem się, ponieważ nie dawał mi spokoju nieoficjalny przelicznik. Musiał być w pieniądzu, bo co im by było po mojej odsiadce w azjatyckich kazamatach. Wyglądali na starych pragmatyków betonowych poboczy. Niemal słyszałem, jak tamten z tyłu ślini palce i przelicza kolorowe tengi z burej lady. Czuję ziemistokwaśny zapach zniszczonych banknotów. W myślach robiłem rachunek wszystkiego, co miałem przy sobie. Dolary, euro, ichnie i resztki rubli. Poutykane to tu, to tam na czarną godzinę, która właśnie nadchodziła. No ale to było gównno, drobiazg. Na parę priewyszeń by starczyło. A tu przecież obraza majestatu faceta, który trząsł dziewiątym co do wielkości krajem świata. Ropę miał, gaz miał, a ja tutaj z jakimiś drobniakami. Nie uda się, nie ma prawa. Do Szymkentu pojedziemy, do bankomatu, pistolet przystawia, konto wyczyszcza. Czuję, jak pot mi spływa po plecach. Gorący był i zimny zarazem. Wszystko miałem mokre. Koszulę, gacie. A ten z przodu przymknął jeszcze drzwi, jakby przeciągu się bał.

– Ja znał, kak tolko ja was uwidieł – powiedział, nie odrywając wzroku od upału.

– A co ty mogłeś widzieć albo wiedzieć? – powiedziałem podniesionym głosem, żeby dodać sobie odwagi, i spociłem się jeszcze bardziej. – Że na jakimś zadupiu na prostej wyprzedzam zasranego kamaza? Spaliny mu zmierzcie, jak chcecie się w cywilizację bawić. A nie jakiś nadzór elektroniczny żeście se w piachu poustawiali. Osły wam z głodu zdychają, na poboczach leżą, a wy tu jakiegoś matrixa odpierdalacie. Osły najpierw nakarmcie. Zdechłe sprzątnijcie. Kamery to se w tych waszych kabarynach pozakładajcie, żeby było widać, jak hajs liczycie.

Nie wiem, czy to wszystko powiedziałem, czy tylko mi się wydawało. W każdym razie ten z przodu poruszył się wreszcie. Ale nie spojrzał nawet na mnie, tylko klepnął parę razy w klawiaturę i odwrócił ekran w moją stronę. Najpierw były paski, coś przeskakiwało, a potem obraz się uspokoił i zobaczyłem, jak stoimy, Z. i ja, i sikamy. Najprawdopodobniej w środku pustyni Kyzyl-kum. Próbowałem sobie przypomnieć, gdzie to było, ale nie mogłem. Po horyzont był piach i suche zielsko. Nie dało się oszukać. Nawet z tyłu nie wyglądaliśmy na Kazachów.

– Sorry, ale nie macie krzaków – powiedziałem.

Klepnął w klawiaturę i obraz się oddalił. Wtedy zobaczyłem, że stoimy pod prezydenckim billboardem. Oblazły był i wypłowiąły, ale rozpoznawalny. Trzy na cztery metry. Prezydent głaskał dzieci albo rozmnażał ryby. Tak. To musiało być koło Aralska. Koło wyschniętego jeziora, więc rozmnażał ryby jak Jezus. Płastugi jakieś, karpie, coś takiego, ale trochę dziecięce łepetyny przypominało. A my szczaliśmy niżej. Stanęliśmy, bo to był jedyny kawałek cienia. Koło Aralska przez setki kilometrów nic nie rośnie. Nigdzie nic nie rośnie. Kraj udaru słonecznego. Na pewno każdy tam stawał się odlać. Może poza kierowcami tirów, bo oni mieli się za co schować. Ale spróbujcie w południe schować się za osiołka. Kręciło mi się w głowie. Na karku czułem oddech tego z tyłu. Tak mi się wydawało. Od początku nie powiedział słowa. Popatrzyłem w stronę naszego auta. Z. siedział nieporuszony. Właściwie to słabo go widziałem, bo szyby odbijały słoneczny blask. A może wcale nie siedział? Może wysiadł i kucnął w cieniu? Chciałem, żeby podszedł, ale wcześniej umówiliśmy się, że priewyszenia, podwójne ciągłe i całą resztę robimy każdy na swój rachunek. No więc chciałem, żeby przyszedł, ale się nie mazgałem. Mój

sąsiad znowu klepnął w klawisz i ekran zgasł.

– Nie było innego miejsca?

Ten z tyłu powiedział to po polsku. Z lekkim akcentem, ale po polsku. Myślałem, że jest niemową. Chciałem się odwrócić. Z wdzięczności. Po tygodniu ktoś oprócz Z. odezwał się do mnie w moim języku.

– Siedź – usłyszałem.

Ten z przodu zamknął drzwi. Po chwili czułem, że dach promieniuje gorącem jak elektryczny piecyk. Pomyślałem o czapce, którą zostawiłem w aucie. Kiedyś była zielona, ale dawno wypłowiła od słońca. Kupiłem ją na Węgrzech w Tesco, gdy jechałem do Mołdawii. Już po tygodniu straciła kolor. Od besarabskiego słońca. Potem od albańskiego, potem od gobijskiego, od pamińskiego. Zgubiłem ją w Biszkeku. Po paru godzinach poszukiwań odnalazłem pod krzesłem w agencji turystycznej Koczownik. Wierzyłem, że przynosi mi szczęście w podróży. Była paskudna, wyglądałem w niej jak podstarzały idiota, ale ją nosiłem. Wierzyłem, że chroni od pomieszania zmysłów pod wysokim, bezlitosnym słońcem.

– Pójdę po czapkę – powiedziałem.

– Siedź – usłyszałem znowu.

– Tylko po czapkę. Zaraz wrócę.

– Każdy tak mówi.

– Rodaku, głowa mnie boli.

– Jaki ja twój rodak?

– Po polsku przecież mówisz.

– Babka i dziadek mówili w domu, to się nauczyłem. Ale jestem obywatelem Kazachstanu oraz jego urzędnikiem, więc mnie pod chuj nie bierz.

– A szanowna babcia i dziadek, oby żyli wiecznie, jak do Kazachstanu...

– Tradycyjnie. Pociągiem. A ty pod prezydentem szczałeś...

Usłyszałem ciężkie westchnienie i szelest. Jakby się wygodniej rozparł. Próbowałem go dostrzec w lusterku, ale pokazywało tylko brudnawy sufit. Wydawało mi się, że dodatkowo odbija gorąco, i poczułem, że mam suche i piekące oczy. Jakby mi ktoś piaskiem sypnął.

– Nie zauważyliśmy. Patrzymy: cień, to stanęliśmy. Nikt się nie przyglądał. Pod słońce było. Wiesz, jak to jest, jak się szczać chce...

– U siebie też tak stajecie i lejecie?

– U nas co jakiś czas są kible – odpowiedziałem wyzywająco i zaraz tego pożałowałem, ponieważ jak ognia wystrzegałem się okazywania wyższości cywilizacyjnej, której zresztą nie odczuwałem. To znaczy odczuwałem, ale zdawałem sobie z tego sprawę. Sam częstokroć odczuwałem cywilizacyjną niższość, więc wiedziałem, jak to smakuje.

– Wiem – odpowiedział. – Babcia i dziadek opowiadali mi o Polsce.

– Tej przedwojennej rozumiem, oby żyli jak najdłużej.

– Tak. Przedwojennej. Oboje odeszli z tego świata – powiedział beznamiętnie. – Ale już wtedy mieliście drewniane sracze.

– To po wsiach, bo jeden generał kazał budować. Niech spoczywają w pokoju. Ale przy drogach chyba jeszcze nie.

– No widzisz. A u nas się w piachu kucalo – powiedział bez żalu, niemal pogodnie i usłyszałem, jak pstryka zapalniczką, a potem rozszedł się syfiasty zapach.

Wszyscy tutaj smalili ten badziew. Na paczkach były foty z rakiem tego albo tamtego, jak z podręczników medycznych, ale i tak smalili. Zaciągnął się, a potem wypuścił chmurę prosto w mój kark.

– Do tej pory się kuca. Ale odchodzi od prezydenta na pewną odległość – ciągnął lekkim tonem. – I

wiesz, dziadkowie, niech spoczywają, chcieli, żebym został Polakiem. Ale mnie jakoś nie ciągnęło. Rozmyślałem nad tym, ale nie ciągnęło.

– A w Polsce byłeś? – zapytałem w nadziei, że chociaż czasowo opuścimy Kazachstan.

– Nie. Ojciec był.

– Gdzie?

– W wojsku.

– I co? Podobało mu się?

– W lesie stali. Latem chłodno było. Nawet nieźle, mówił. Ale dużo nie widział.

– Nie mówił, żeby wracać?

– Dokąd?

– No do Polski.

– Ma dwa tysiące owiec...

– Mógłby sprzedać i potem kupić nowe. U nas są owce – chwaliłem ojczyznę, jak mogłem. – Albo stare przywieźć pociągiem.

– ...i jest Kazachem.

Z przeciwka nadjechał tir. Miał kirgiskie blachy, a na plandece napis „Pizza prosto z pieca”.

– Z Polski sprowadzają i jeżdżą – powiedział ten z tyłu.

– Kirgizi to żadna cywilizacja. Kumys i tyle – rzucił kierowca.

– Nie chciało mi się wysiadać – powiedział niby-rodak.

Ile już tak siedzieliśmy? Dziesięć minut? Pół godziny? Komórkę też zostawiłem. Nic się nie działo. Jakby w ogóle nie mieli żadnych zamiarów. Jakby nie wiedzieli, co mają ze mną zrobić. Spróbowałem otworzyć okno. Nie działało. Wydychali powietrze, a ja je wdychałem. Obrzydliwe to było. Byli młodsi i grubszy ode mnie. Nie miałem szans. Powinienem uciec. Jak jest władza, to zawsze lepiej uciekać. Oparłem się o drzwi i delikatnie lewą ręką wymacałem klamkę. Pomyślałem, że jak pociągnę, to będę wiedział, czy nie są zablokowane. Pomyślałem, że jak wyskoczę, to zdążę. Dziesięć metrów i już. Kluczyki miałem w kieszeni, więc tylko wyjąć po drodze, wskoczyć, odpalić i wio! Prosto przed siebie do jakiegoś pierwszego zjazdu, do miejsca, gdzie da się przeskoczyć rów i potem w step. Po żwirze, po piachu z tumanem kurzu z tyłu, z włączonym przodem, żeby się osiołek trzymał czterema kopytkami podłoża i na grzbiet nie wykopyrtnął, bo przecież króciutki jest, wysoki, kanciasty, ze sztywnym mostem z tyłu. Tamci z tym swoim struclem nie mieliby szans. Zaryliby gdzieś od razu. Ten z tyłu wysiada i pcha, gazują, kamienie spod kół lecą, guma śmierdzi, sprzęgło tak samo, chłodnicę pewnie mają zasraną kamieniem i muchami, więc zaraz temperatura sto dwadzieścia, wywali im uszczelkę spod głowicy i pozamiatane. Albo michę se rozwałą na jakimś kamiole. Strucel to strucel. A my z osiołkiem w step! Brzuszek zasłonięty stalową blachą, kopytka obute w ateki, więc pędzimy jak dawni jeźdźcy w stronę horyzontu. Wyschnięte łożyska rzek, słone zapadliska, kolczaste krzaki, nic to, wolność przede wszystkim. Trójka, cztery tysiące obrotów, czasem czwórka, gdy się całkiem wypłaszczony i wygładzi, tył trochę umyka, więc kontra, gazu z tym cudnym czuciem na kierownicy, że koła lekko uciekają, że przyczepność na samej granicy, że jeszcze odrobina, a się przedobrzy i wtedy jest jak w zimie na gołoledzi, znaczy dupa z przodu, wsteczny i fontanny spod kół, żeby się wydostać na prostą, i dalej, dalej przez sypką grząskość, piętnaście na sto, osiemnaście na sto, ale mam przecież w kanistrach jeszcze czterdzieści, więc pocałujcie mnie, zaraz zapadnie zmierzch i zniknie pióropusz pyłu, który włokę za sobą, zacznie się noc i wtedy stanę za jakimś wzgórzem, znajdę bezpieczny wąwóz, wyłączę silnik, wysiądę, przytulę się do rozgrzanego boku dzielnego bydłatka i będę nasłuchiwał, jak z cichym trzaskiem stygnie i rozpręża się metal, rozpręża się żeliwo, stal i aluminium, jak w przewodach uspokajają się płyny, jak gorący olej skapuje w dół bloku i wokół zalega cisza aż po Ałtaj, po Tienszan i Sinkiang. Wtedy położę się w jeszcze

ciepłym cieniu osiołka, przyłożę ucho do ziemi i niczym niegdysiejszy Najman albo Nogaj będę nasłuchiwał, czy aby nikt nie podąża moim śladem. A potem zasnę na wznak wpatrzony w niskie, gwiazdziste niebo Turkiestanu Wschodniego.

I chuja mi robią, bo jestem Polakiem, który kocha wolność. Będę szczał pod każdym prezydentem, jaki się nawinie, i o każdym prezydencie będę myślał, co mi się spodoba. Albo w ogóle nie będę o nich myślał, bo nie zasłużyli. Wstanę przed świtem, wstawię czajnik na gaz, zaleję neskę i chińską zupkę w plastikowym pojemniku wielkości dzieciennego wiaderka. Dodam baraniej albo końskiej tuszonki. Nadciągną chmury i na step spadnie deszcz. Nie będzie kurzu i stanę się niewidzialny w płaskim krajobrazie. Pojadę prosto na wschód, potem trochę na północ i znowu na wschód, omijając Szymkent i Taraz. Będę stawał przy samotnych jurtach i glinianych lepiankach o płaskich dachach. Będę pił kumys i podziwiał końskie maści. W podzięce zostawię ciastka dla dzieci, a dla dorosłych papierosy z medycznymi wizerunkami i wódkę, których zapas mam w bagażach. Gdy zapytają, odpowiem:

– Uciekam przed prezydentem.

Starcy pokiwiają głowami.

– Wot mołodiec! Przed prezydentem ucieka! Nikomu się jeszcze nie udało, a on, widzicie, próbuje! Mołodiec! Widać, że nie z naszych, tylko przyjezdny. Nasi mądrzejsi są.

Tak by mówili. Siedziałbym z nimi przy żeliwnym piecyku i dokładał suszonego nawozu do ognia, na którym stałyby czajnik z herbatą. Młodzież jak to młodzież: chodziłaby wokół, kopała w opony i pytała, ile osiołek kosztuje. Młodzież wszędzie jest taka sama. Tak to widziałem. Że się przemknę, że w końcu opuszczę ten kraj niezauważony, bo przecież jestem Polakiem i nikt mi nie będzie mówił, gdzie mam się odlewać. Całe życie jak mi ktoś mówił, że mam to czy tamto, to się oddalałem. Wychodziłem i nie wracałem. Ruscy przez trzydzieści lat do niczego mnie nie mogli zmusić, to i Kazachowie mnie nie zmuszą. Priewyszenie, podwójna ciągła, proszę bardzo. Takie są zasady na całym świecie. Ale od moich myśli, od mojej duszy wara. Nie będę klękał przed cielcem przylepionym do blachy na pustkowiu. Cielcem, co do którego światowa opinia jest podzielona.

– Światowa może i podzielona – odpowiadają starcy znad swojej herbaty – ale tutaj to on rządzi, a my słuchamy, ponieważ u niego jest władza. Tak było zawsze. W czasach gdy kucaliśmy w piasku i jeszcze wcześniejszych. Bez władzy skakaliśmy sobie do gardeł jak zwierzęta, nie wiedząc, kto jest najsilniejszy. Władza jest dobra, bo przynosi pokój.

Tak mówili, a ja dorzuciałem sprasowanego gówna do ognia. Dym miał piękny, piołunowy zapach.

– I co? – zapytałem. – Byłem waszym gościem, a jak przyjdą i będą pytać, to mnie zdradzicie?

– Jesteś gościem, podarowałeś nam papierosy i wódkę, więc cię nie zdradzimy. Powiemy, że odjechałeś nocą, więc nie wiemy w jakim kierunku. Tyle możemy zrobić. Dlatego najlepiej, żebyś odjechał nocą, gdy wszyscy śpią, żebyśmy nie musieli kłamać. Kłamstwo nie jest niczym złym, ale może się wydać. Zostawiłeś papierosy i wódkę. Księżyc wyjdzie przed północą i będzie jasno świecił.

Tak zrobiłem. Gdy zasnęli, wstałem cicho. Żeliwny piecyk był prawie zimny. Wyszedłem. Księżyc stał nisko nad horyzontem. Jurty i lepianki rzucały długie granatowe cienie. Było tak cicho, że słyszałem chrapanie dobiegające zza wojłokowych ścian. Podszedł pies. Poczuję, jak jego łeb dotyka mojego kolana. Machnął dwa razy ogonem. Podrapałem go za uchem. Miał tłustawą skołtunioną sierść. Z oddali snuł się piołunowy zapach. Nikła nitka.

– Nie zdradzisz mnie? – zapytałem.

Machnął jeszcze raz ogonem. Poszedłem w stronę auta. Ruszył za mną krok w krok.

– Nie zdradzisz – powiedziałem do siebie.

Otworzyłem tylne drzwi, opuściłem oparcie kanapy i wymacałem torbę z prowiantem. Odnalazłem ćwierćkilogramową puszkę i pociągnąłem zawleczkę. Postawiłem tuszonkę na piasku. Pies spojrzął na

mnie i na chwilę jego oczy w świetle księżyca zaślniły złotozielonym blaskiem. Wziął puszkę ostrożnie do pyska i napiętym, uważnym krokiem zniknął za glinianym węglem. Wsiadłem i delikatnie przymknąłem drzwi. Przekręciłem kluczyk. Jak zwykle zapalił natychmiast. Włączyłem jedynekę i ruszyłem w stronę księżyca. Było tak jasno, że nie musiałem zapalać świateł. Widziałem kępy suchych krzewów, kamienie i horyzont, to wystarczało. Pomyślałem, że odtąd będę poruszał się tylko nocą. Jak dawne karawany, które unikały bezlitosnego skwaru. Znajdę przecież jakąś skałę albo wąwóz, jakiś cień, żeby przeczekać w bezruchu od świtu do zmierzchu. Będę niewidzialny. Wymknę się. Zmylę pościg. Wyprowadzę w pole. Przecież zmykałem całe życie. Nie rozpalę ognia, żeby nie poczuli dymu. Trochę wrzątku wystarczy, trochę neski. Mój nowy przyjaciel pies mnie nie zdradzi. Starcy nie będą musieli kłamać, żeby mnie ocalić. Wyjadę na wzgórze i wyślę esemesa do Z.: „Gdzieżeś się, do chuja, podział? Jadę pustynią na wschód. Będę próbował przez zieloną na wysokości Akyrttöbe”. Tak, będę próbował. Co to w końcu za granica, jak po jednej i drugiej nic nie ma? Jakaś ścieżka jest na mapie. Miejscowi pewnie chodzą. Żeby tylko wszystkie te rzeki po drodze były płytkie. Może nawet wyschnięte. Assa, Tasayq, Tałas. Wejdę i sprawdzę. Jak będzie poniżej pasa, to dam radę. Kiedyś w Mongolii widziałem, jak miejscowi pokonują wezbraną rzekę Kobdo. Podnieśli maskę i owinęli filtr powietrza owczą skórą. Assa, Tasayq, Tałas, a potem na południe. Nocą, nad ranem w stronę jaśniejącego widnokręgu. Sam. Może powinienem zabrać psa? Za dnia strzegłby mnie przed obcym. Konserw starczyłoby dla nas dwu. Czarny pies i ja. Niewidzialni nocą, za dnia ukryci w plamie cienia. Silnik pracował tak cicho, że słyszałem chrzęst zgniatanych traw. Przez otwarte okno czułem piołunową woń. Zostawała na oponach, na podwoziu. Księżyc był tak jasny, że musiałem odwracać wzrok, bo oślepiał. Włączyłem radio. Szumiało, jakby przesypywał się w nim piach. To jest Azja i nigdzie nie spierdolisz, pomyślałem. Tutaj w pojedynkę nikt nie ma szans. Gdy widzisz samotne zwierzę, to znaczy, że jest chore i umiera. Samotny człowiek żebrze. Z tym swoim zachodnim indywidualizmem wyglądasz tutaj jak jakiś zasraniec. Dwóch spasionych musiało ci to wytłumaczyć. Azji się zachciało. Że się niby przemkniesz z tymi wszystkimi myślami, że ładnie, że nieskończoność, przedwieczność, że jakaś geologiczna religia, że krew może i wycieka, ale szkielet żyje przecież wiecznie, więc można doświadczyć czegoś w rodzaju oświecenia? A tu prezydent, psiarnia i władza. Mądrzy starcy wiedzą, że dopiero wtedy jest pokój. I tak będzie na całym świecie. Będzie jak kiedyś, bo strach powrócił w wielkim stylu. Nadciągnie i tam, skąd przyjechałeś. Tam, gdzie roiłeś o jakimś hipisiarskim oświeceniu, o bezkresie Azji, o wodach rzeki Oksus przepadających w piaskach czarnej i czerwonej pustyni, przepadających niczym człowiecze pięć minut w nieskończoności kosmosu. A tu zamiast chałupniczej mistyki będą pełne gacie i wyjdzie cwany jołop, który ci wytłumaczy, jak jest, i opowie swoją wersję znanego „nie lękajcie się”, albowiem wezmę was wszystkich za twarz, wezmę też wszystkich innych, wezmę świat cały i na wieki wieków amen. A może wcale nie jołop? Może prorok i mesjasz, za którym cały lud ziemi pójdzie? Bo lud ziemi nie lubi, jak ma pełno w gaciach? A lubi za to wiedzieć, jak jest? A ty całe życie sam byłeś jołopem, który wierzył, że jakoś się uda? Że się przemknie? Że przeznaczeniem jest samotność pod bezkresnym niebem, gdzie krew wycieka i wsiąka, a kość bieleje po kres czasów. A tu chuja! Zanim ci coś wycieknie, wsiąknie i zbieleje, to najpierw padniesz plackiem przed cwany jołopem, który ci powie, jak jest. Przed mesjaszem klapniesz jak długi. Jak będziesz za bardzo wierzął, to lud ci pomoże. Nie bój żaby.

No ale miałem jeszcze ze ćwierć w baku i dwa pełne kanistry. Miałem zgrzewkę wody i dwadzieścia litrów w czarnym worku armii szwajcarskiej. Miałem reduktor, żeby przebyć grząskie piaski, sypkie zwirowiska i piargi. Liczyłem na cień topól nad rzeką Tałas. I potem na ścieżkę wiodącą na kirgiską stronę, a tam to już luz. W kraju, w którym niedawno rządziła kobieta, musi być przecież inaczej. W którym – choć bądź co bądź, muzułmańskim i nieco maczystowskim – na banknocie o nominale pięćdziesięciu somów też występuje kobieta: Kurmanjan Datka, czyli Caryca Ałtaju albo Królowa

Południa, która w XIX wieku pogoniła Ruskim kota. Tak więc byle do Kirgistanu, kraju biednego, ale wolnego, gdzie rządzą kobiety. A później dalej. Gdzie oczy poniosą. Do Sinkiangu, a potem może i w kosmos.

– Nawet o tym nie myśl – usłyszałem i poczułem rękę na ramieniu. – Nie ma wolności na tym świecie, więc nie marnuj czasu. Raczej się zastanów, jak zmasać niewątpliwą winę, którą nowoczesne środki inwigilacji udokumentowały. Masz jakieś propozycje?

Siedziałem w suce i byłem spocony. Kierowca spał z otwartymi ustami. Odchylił fotel, a czapę opuścił sobie na oczy. Ręce miał opuszczone wzdłuż ciała, dłonie odwrócone i szczerze mówiąc, wyglądał tak, jakby go zastrzelili na służbie. Ale chrapał. W jakiś sposób mnie to pocieszało.

– Jest wolność – spróbowałem podnieść głos, ale z tej duchoty i gorąca wyszło mi jakieś westchnienie. – Jest wolność i ja jej doświadczam chociażby w podróży przez wasz bezkresny kontynent.

– Tere-fere – mruknął tamten, ale zdjął łapę z mojego ramienia.

– My, Polacy, zawsze byliśmy za wolnością. – Tym razem nabrałem powietrza i wyszło mi trochę lepiej. – Za naszą i waszą.

– Obejdzie się. I nie wciskaj mi ciemnoty. Sami siebie wzięliście za ryj i nie możecie nawet podskoczyć. A było się szarpać? Było przeciw ościeniowi wierzcąć? Było zamęt parlamentarny czynić? Porządek ustalony burzyć? Dwadzieścia parę lat jak psu w dupę. I będzie mi tu jeszcze o jakimś eksporcie idei opowiadał...

– A co ty o wolności wiesz?! Co ty, kurwa, wiesz o Polsce w tym swoim płaskim jak deska Bangladeszu, w tej obsranej piaskarni, gdzie nawet osły zdychają z głodu, co ty wiesz?! – krzyknąć chyba musiałem, bo kierowca lekko się poruszył i zachrapał głęboko i donośnie, jakby dławił się muchą.

– TV Polonię mam na satelicie – odpowiedział spokojnie.

– No i co?

– Prezydenta wczoraj pokazywali.

– A waszego nie pokazują?

– Pokazują. Ale wasz jakiś wystraszony i wyglądu nie ma. Nasz lepszy. Nikogo się nie boi.

– Taaa... Ruskich się nie boi... – prychnąłem lekceważąco.

– Gaz ma. Ropę ma. Nie boi się – powiedział i chyba ziewnął. – Demokratyczny świat nie pozwoli na żadne fiu bǳiu.

– A jak wejda?

– Nie wejda. Nie opłaca się. Wolą handlować. Wejście zrobili na Ukrainę. Politycznie na lata im starczy. Ruski mądry jest.

– Dobrze macie z tym gazem – powiedziałem cicho.

– Tak jak wy z wolnością – odparł nieco szyderczo. – Możecie rurociągiem wysyłać przez Morze Kaspijskie. Ropa za wolność.

Poczułem, jak się pochyła i dyszy mi w kark.

– Wróćmy jednak do negocjacji. Co proponujesz?

– Nie wiem – odpowiedziałem bez namysłu.

Bo naprawdę nie wiedziałem. Było mi mdło i słabo. Godzinę już tu siedzieliśmy? Dwie? Słońce świeciło teraz z prawej, prosto w moje okno.

– Nie wiem – powtórzyłem.

Gorąco mi było. Ten z tyłu wydzieliał temperaturę jak stałocielna Godzilla.

– No to ja ci powiem – sapnął chrapliwie. – Zwiążemy was i rzucimy mu do nóg. Najpierw zamkniemy w Szymkencie, żebyście sobie na betonie poleżeli razem z naszymi złodziejami i bandytami i się musieli bić o kubek wody, a jak już sobie poleżycie, to was zawieziemy gdzieś dalej, żebyście sobie

znowu poleżeli.

– A do nóg kiedy? – zapytałem z lekką nadzieją.

– Symbolicznie powiedziałem. On się śmieciami nie zajmuje. Od śmieci jesteśmy my. Poleżycie na betonie, na piasku poleżycie.

– Będą nas szukać.

– Kraj duży, zgubić się łatwo. A znaleźć trudno. Czasem nie sposób.

– Będą szukać przecież. Rodzina, konsul, rząd w końcu będzie, bo swoich obywateli nie porzuca przecież na pastwę – powiedziałem stanowczym tonem.

– No a powiedz ty mi, kochanieńki, ilu nie odnalazł? W piachach karagandzkich, w Stepie Głodowym? Tyle lat miał.

– Ale oni umarli. W piachu ich szkielety pogrzebane.

– No właśnie.

– Co no właśnie?

– Właśnie to.

– Że w piachu? Ludzie! Dwudziesty pierwszy wiek jest! Szczaliśmy na pustyni! Żeby tam chociaż jakiś Stalin wisiał! Ale tylko prezydent. Z naszym byłym się koleguje! Nasz mu w sprawach demokracji doradza i jak lud szczęśliwym uczynić, a ty mi tu o piachu opowiadasz! Kurwa! Do konsulatu dzwonię!

Naparłem z całej siły na drzwi, ale nawet nie drgnęły. Przywaliłem najpierw w tapicerkę, a potem w szybę. Tylko zadudniło, jakby z blachy była. Ten za kierownicą zaczął się budzić. Poczuję łapsko na ramieniu. Było bardzo ciężkie, ale się nie poddawałem.

– Z.! Z.! Jesteś tam? Do piachu nas chcą! Kurwa! Jak zesłańców! Dzwon do konsula! W telefonie mam pod „konsulkazach”!

Kierowca obudził się na dobre. Przeciągnął się i dostałem łokciem w skroń, aż mi pociemniało w oczach. Odwrócił się w moją stronę, wypełniając całe wnętrze. Też był jak Godzilla. Trudno było zrozumieć, jak się w ogóle w tym psiarskim struclu pomieścili.

– Dwinu! jemu w jebło? – zapytał.

– Jeszcze uspiewiesz.

Siedziałem wciśnięty w fotel i drzwi. Chciało mi się wyć. Popatrzyłem w stronę osiołka. Przez brudne szyby prawie nic nie było widać. Stał nieruchomy i porzucony.

– Auto znajdą – powiedziałem z ponurą rezygnacją.

– Nie znajdą – odpowiedział ten z tyłu.

– Też zakopiecie? – zapytałem i wyobraziłem sobie, jak wyprowadzają osiołka na pustynię, na skraj wielkiego dołu. Stoi pokornie i patrzy zgasłymi reflektorami w głąb swego przeznaczenia. Piasek osypuje się bezszelestnie. Metalowe ciało stygnie. Zielona karoseria dawno straciła blask. Widać wszystkie blizny, zarysowania i wgniecenia. Ale korozji jeszcze nie. Mógłby przemierzyć szmat świata. Odpala przecież w pół sekundy, nie bierze oleju. Mógłby jeszcze pokonać niejedną bród, niejedną górę, o zmierzchu zaparkować w cieniu rozłożystego drzewa, a rosa osiadałaby mu na masce, na dachu i szybach, przynosząc ulgę po kurzu i spiekocie dnia. A tutaj dół, koparka już czeka, okrutni ludzie w mundurach palą papierosy i żaden nie ma pojęcia, gdzie osiołek był, co widział i jaką dzielność ma w swoim prostym benzynowym sercu.

– Nie. Szkoda auta. Małe, stare, ale się jeszcze przyda – powiedział niedbale.

– Sam jesteś stary i mały – wymknęło mi się niechcący.

– Na części pójdzie i ślad nie zostanie – powiedział obojętnie, nie zwracając uwagi na obelgę, a mnie krew uderzyła do głowy.

– Na części! Sam, kurwa, pójdiesz na części! Osiołek na części! Ty psiarska melepeto! Ćwiartować

będziesz, zbóju przydrożny?! Gumówką, co? Palnikiem byś chciał? A chuja! Tę swoją sucz se potnijcie! Śmierdzi w niej jak w sraczu! Żyletka z niej jedna nie wyjdzie, bo przegnita od dachu po progi! Będziesz mnie tu straszyl, rezunie jeden?! Mnie?! Polaka?! Milion kilometrów zrobiłem po kontynentach różnych, jak ty żeś latami stał przy krawężniku i pierdział w tapicerkę! Tkniesz osiołka, to zginiesz!

Straciłem jego łapsko, odwróciłem się i spróbowałem klęknąć na fotelu, ale walnąłem głową w podsufitkę. Udało mi się jednak chwycić go obiema rękami za mundur na piersi. Chciałem wyjechać mu z czaszki, ale zagłówek przeszkadzał, więc ciągnąłem go tylko ku sobie, żeby chociaż odgryźć mu nos. Ciężki był, mięsowaty jak martwy wieprz, tak sobie myślałem mściwie w nadziei, że jest muzułmaninem. Ale nie dał się ruszyć. Czapka mu tylko spadła. Próbowałem dobrać mu się do gardła, udusić gnoja. Trochę się odsunął i ręce miałem za krótkie. I ten cholerny zagłówek. Na chuj im te zagłówki, skoro prawie zawsze stali? Chciałem mu czymś przywalić, ale nic nie było. Nic. Pasiaste pały gdzieś chyba upchnęli. Z piąchy chciałem, ale się uchylił. Osiołka ćwiartować! Żeby se jakiś pastuch traktor zrobił jak u nas? Albo dwukółkę dla wielbłąda z tylnego mostu? Z drugiej spróbowałem mu wyczesać, ale byłem coraz słabszy. Ciemniało mi w oczach.

– Nu chwatit – usłyszałem z tyłu.

Ten drugi szarpnął mnie i poczułem jego przedramię na szyi. Poczułem, jak miażdży mi krtań, a lewarek biegów wbija mi się w kręgosłup. Jeszcze próbowałem, ale był silny jak King Kong. Twarz Polaka z pochodzenia zjawiała się tuż przy mojej. Wstrzymałem oddech.

– A wiesz, rybeńko, jak ta wieś się nazywa?

Oczy wychodziły mi z orbit. Spróbowałem pokręcić głową, chociaż myślałem, że gównno mnie to obchodzi i niech sobie tę wieś w dupę wsadzą.

– Otóż, mój złociutki, ta wieś Tamerlan się nazywa.

Wtedy straciłem przytomność.

Ktoś stuknął w okno. Z. stał w swoich szortach i sandałach i dobijał się od mojej strony. Namacałem korbkę i opuściłem szybę.

– Co tak długo? – zapytał.

– Ich się spytaj – odpowiedziałem.

Obszedł auto. Kierowca siedział bokiem z nogami na ziemi. Słysząc było, jak od czasu do czasu spluwa. Z. zapytał o to samo, tylko po rosyjsku.

– Upiortyj. I niesgoworcziwyj – odpowiedział glina. – Goworit, czto u niego niet dienieg.

– A skolko wy chotitie? – zapytał Z.

– My chotieli wosiem' diesiat. No sorok toże sojdio. Pozdno uże.

Z. wyjął portfel i odliczył cztery dziesiątki. Tamten wziął, odwrócił się do mnie i powiedział:

– Nu, a ty czego źdiosz? Wylezaj.

Ten z tyłu przesiadł się na moje miejsce i zatrzaskał drzwi. Mieli niewyraźne miny. Nie chciał im zapalić. Kręcili raz i drugi, ale nawet nie prychnął.

– Chodź, bo każą nam pchać – powiedziałem.

Ruszyliśmy w stronę osiołka. W środku było gorąco. Pachniało trochę benzyną, trochę plastikiem i wysiedzianą tapicerką. Zapalił od razu. Czerwony dziobek wskaźnika paliwa zwisał smutno w dół.

– W Szymkencie zatankujemy – powiedział Z., jakby zgadywał moje myśli.

Włączyłem kierunkowskaz i wolno ruszyłem przed siebie. Na końcu wsi zwolniłem i się obejrzałem. Na białej tablicy widniał czarny napis „Tamerlan”. Z. też się przyjrzał.

– Jak tamten? – zapytał.

– Chyba tak – odpowiedziałem.

Osiołek zaraz się rozgrzał i odnalazł swój równy, zadowolony pomruk. W oddali w zachodzącym

słońcu płonęły na złoto pierwsze szczyty Tianszanu.

WYDAWNICTWO CZARNE sp. z o.o.

czarne.com.pl

Sekretariat: ul. Kołłątaja 14, III p., 38-300 Gorlice

tel. +48 18 353 58 93, fax +48 18 352 04 75

mateusz@czarne.com.pl, tomasz@czarne.com.pl

dominik@czarne.com.pl, ewa@czarne.com.pl, edyta@czarne.com.pl

Redakcja: Wołowiec 11, 38-307 Sękowa

redakcja@czarne.com.pl

Sekretarz redakcji: malgorzata@czarne.com.pl

Dział promocji: ul. Marszałkowska 43/1, 00-648 Warszawa

tel./fax +48 22 621 10 48

agnieszka@czarne.com.pl, dorota@czarne.com.pl

zofia@czarne.com.pl, marcjanna@czarne.com.pl

magda.jobko@czarne.com.pl

Dział marketingu: honorata@czarne.com.pl

Dział sprzedaży: piotr.baginski@czarne.com.pl

agnieszka.wilczak@czarne.com.pl, urszula@czarne.com.pl

Audiobooki i e-booki: anna@czarne.com.pl

Skład: d2d.pl

ul. Sienkiewicza 9/14, 30-033 Kraków

tel. +48 12 432 08 52, info@d2d.pl

Wołowiec 2016

